

Helena Sekuła:

DZIEWCZYNA ZNIKĄD:

ZYSK I S-KA

WYDAWNICTWO

Dziewczyna znikąd

Copyright © by Helena Sekuła, 1964

All rights reserved

Dziewczyna znikąd

Copyright © by Helena Sekuła, 2009

All rights reserved

Projekt okładki

Anna M. Damasiewicz

Redaktor techniczny

Teodor Jeske-Choiński

ISBN 978-83-7506-277-9

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. (061) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26

Dział handlowy, tel./

fax (061) 855 06 90

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

I. Czerwone drzewa

Niespotykaną popularność i błyskawiczną karierę Piotr Radley zawdzięczał paryskiej wystawie swych prac. Paryż wylansował go i ustawił w czołówce fotografików o światowej sławie.

Skromny fotoreporter, znany tylko kolegom po fachu i czytelnikom niektórych warszawskich tygodników o nie największym nakładzie, stał się z dnia na dzień sławnym artystą-fotografikiem, którego prace — fascynująco nowatorskie — wprawiły w zachwyt zblazowaną stolicę świata.

Piotr Radley w Paryżu był pierwszy raz w życiu. Z żarliwością neofity chłonał legendarną atmosferę miasta wielbionego przez tyle pokoleń pisarzy.

Czy Paryż go olśnił?

Nie można było na to pytanie dać odpowiedzi, patrząc na jego świetne zdjęcia. Piotr Radley nie utrwalił ani jednego fragmentu miasta. Fotografował przeważnie ludzi. Jego zdjęcia były reprodukowane przez prawie wszystkie ilustrowane magazyny Francji. Nazwisko niezbyt znanego warszawskiego fotoreportera rozślawiły paryskie tygodniki, a następnie prasa całej niemal Europy.

A wszystko zaczęło się od kieliszka czerwonego wina wypitego w popularnym bistro w Dzielnicy Łacińskiej. Piotr Radley przeglądał tam próbne odbitki świeżo zrobionych zdjęć. Z niektórych był niezadowolony — uważał, że jeszcze raz należałoby poprawić korekcję. Nie spostrzegł, że od kilku minut

jakiś mężczyzna, siedzący przy sąsiednim stoliku, ze wzrastającym zainteresowaniem zagląda mu przez ramię.

Radley sięgnął po następną odbitkę.

— Fenomenalne! niespotykany nastrój! — Usłyszał głośno wyrażoną opinię. Odwrócił głowę.

- 5 -

— Pan jest amatorem? — Szczupły brunet w binoklach zdradzał niekłamane zainteresowanie.

— Fotoreporterem — mruknął Radley.

— Medard Lagneau — przedstawił się brunet.

Radley bez entuzjazmu wymienił swoje nazwisko i wyciągnął dłoń do tamtego. Lagneau opanował zdziwienie, jakie ogarnęło go pod wpływem rezerwy okazanej mu przez fotografa.

— Nic panu nie mówi moje nazwisko? — zapytał po prostu i bezceremonialnie wyjął z ręki Radleya odbitkę, która go tak zainteresowała.

Fotografia przedstawiała rząd ciemnych drzew na tle chmurnego, szkarłatnego nieba. W pierwszej chwili trudno było określić, co sprawiało, że ten monotony pejzaż przykuwał uwagę i długo nie pozwalał oderwać od siebie wzroku. Może niesamowita barwa nieba, podobna do koloru płomieni, z groźnie skłębionymi chmurami? Może ekspresja drzew wywołujących wrażenie szarpanych, wyginanych groźnym wichrem? Jeszcze chwila, a wychyła się z kadru i legną zwalone pokotem. Usłyszy się trzask korzeni, łamanych gałęzi, czerwone niebo rozedrą błyskawice, a może stanie się coś strasznego, czego nie można sobie wyobrazić?

Lagneau — zapatrzone w zdjęcie — zapragnął nagle, żeby to straszne już się stało; poczuł się zmęczony niepokojem zastygłym w tym niesamowitym prostokącie papieru.

— Jestem od niedawna w Paryżu—wyzwolilo go spod wrażenia lakoniczne wyjaśnienie Radleya.

— Cudzoziemiec? — domyślił się Lagneau.

— Tak — skinął głową tamten.

— Pracuję dla kilku ilustrowanych magazynów — mówił Lagneau. — Nie, nie jestem fotografikiem — zaprzeczył żywo.

— Ja oceniam, krytykuję... Najlepiej objaśnię, jeżeli powiem, że to ja wylansowałem takich mistrzów fotografii jak... — wymienił kilka nazwisk fotografików o światowej sławie.

— Pan mnie chce wylansować? — uśmiechnął się z niedowierzaniem Radley.

— Tak. — Lagneau nie zwrócił uwagi na ironiczny ton fotografa. Przysiadł się do niego bez zapytania, podsunął sobie plik odbitek i za chwilę oglądanie ich pochłonęło go bez reszty. Wybrał piętnaście fotografii.

— Kupuję je — oświadczył. — Płacę za odbitki, prawa autorskie i tantiemy według ustalonego cennika. Jeszcze dzisiaj gotów jestem spisać umowę na dalsze... powiedzmy, trzydzieści sztuk. Tematy pozostawiam do pańskiego uznania — do-

dał szybko. — Zgoda?

Oszołomiony Radley zgodził się.

— Będzie pan sławny — powiedział Lagneau po podpisaniu umowy — iw niedalekiej przyszłości będzie pan o wiele więcej żądał i otrzymywał za swe prace — uśmiechnął się. — Ale zdaje się, że obaj zrobiliśmy nie najgorszy interes.

Opublikowanymi fotografiami Radleya natychmiast zajęli się specjaliści i znawcy — jednym słowem krytycy. Zaczął „Le Monde”. Autor obszernego artykułu wyrażał się bardzo pochlebnie, niemal entuzjastycznie o pracach polskiego fotografika. Krytyk z niepozobawioną wdzięku, dużą pewnością siebie jak zwykle wyjaśniał czytelnikom, co artysta myślał, czuł i co usiłował wyrazić, tworząc ten lub inny kadr. Prawdopodobnie sam twórca nie potrafiłby lepiej określić swoich stanów wewnętrznych towarzyszących powstaniu dzieł, a może znalazłby się w dużym kłopotcie, gdyby się od niego tego domagano.

Krytyk „Le Monde” pisał w zakończeniu recenzji, że oto został odkryty artysta o rzadkiej wrażliwości i bardzo indywidualnym talencie. Jego prace cechuje niepowtarzalny nastrój, ekspresja, życie.

Mniej więcej to samo pisała prawie cała prasa francuska.

Radley podbił Paryż i stał się modny. Paryski dowcip dnia głosił, że Francję najbardziej absorbuje OAS i... Radley. Póź-

- 6 -

- 7 -

niej, w starej kamieniczce przy placu Vendôme, została zorganizowana wystawa jego prac. Obudziła ogromne zainteresowanie i nową falę entuzjastycznych publikacji prasowych.

Posypały się zamówienia na jego prace z wielu państw.

Oczywiście sukcesy warszawskiego fotografika nie pozostały bez echa w kraju. Kilku poszukującym tematu krytykom stworzyły okazję do napisania ciętych artykułów, w których pognębili swoich kolegów po fachu, przypisując krytyce polskiej kompromitujący brak zainteresowania rodzimymi talentami, co — o hańbo! — robi za nią, jak zwykle, zagranica.

Wielu poczuło się dotkniętych osobiście — mimo że w enuncjacjach nie wymieniono żadnego nazwiska — więc grupa recenzentów „dotkniętych” odpowiedziała natychmiast na napaść z temperamentem i swadą.

Po niedługim czasie dwa obozy krytyków zmagaly się zajadle na łamach prasy polskiej. W dalszych publikacjach nazwisko Radleya powtarzało się coraz rzadziej — na przykład w tytule: „Casus Radley” — i czytelnicy przestawali rozumieć, o co toczą zażarte boje, tępiąc się z zimną zaciekłością, dwa skłócone obozy wtajemniczonych. Ale nie rozumieli tylko laicy.

Gwoli bezstronności należy przyznać, że obie grupy, przynajmniej w kilku zdaniach — ostatecznie nawet największy artykuł ma ograniczoną objętość — zgodnie chwalili Radleya, przypisując każdy sobie pierwszeństwo w odkryciu, a przynaj-

mniej większą genialność w interpretacji prac Radleya. W takiej aurze sławny już fotografik powrócił do Warszawy. Wobec tego wydarzenia swary recenzentów przycichły, natomiast zaczęto z wyjątkową jednogłośnieścią domagać się zorganizowania wystawy prac wybitnego artysty.

Prasa zapowiedziała otwarcie wystawy jako ewenement w życiu artystycznym stolicy.

Wystawę otwarto w Pałacu Kultury i Nauki. Wejście zdobił plakat: powiększona reprodukcja „Czerwonych drzew” Piotra Radleya, które dały początek jego sławie.

W dużej sali, wśród licznie zgromadzonej publiczności, wiceminister Kultury i Sztuki przeciął wstęgę, powiedział kilka okolicznościowych słów, uścisnął dłoń fotografa.

Wystawa została otwarta.

Błyskały flesze, terkotały kamery telewizyjne i filmowe, zaferowani operatorzy robili umiarkowane zamieszanie, wiecznie śpieszący się reporterzy przeciskali się bliżej do upatrzonych ludzi noszących znane nazwiska i prosili o kilka słów na temat wystawionych prac — których ani oni, ani ich „ofiary” nie zdążyły jeszcze obejrzeć. Im nazwisko było bardziej znane, tym gorliwiej biegał reporterski ołówek, aby nic nie uropić z cennej wypowiedzi.

Trzeba przyznać, że reporterzy mieli w czym wybierać.

Wśród publiczności byli znani intelektualiści, literaci, ministrowie, dyplomaci, przedstawiciele świata artystycznego stolicy, zdaje się kilku generałów, nie mówiąc już o dyrektorach departamentów i pułkownikach, których zebraby się dobra kompania. Bardzo licznie przybyli koledzy po fachu artysty i rzesza snobów. Ci ostatni, oglądając wystawione prace, ostentacyjnie demonstrowali znajomość rzeczy, głośno cytując co mętniejsze fragmenty przeczytanych recenzji.

Brać reporterska z szaleństwem w oczach dopadała coraz to inną ofiarę i z szybkością rakiety odrzutowej aplikowała delikwentowi serię pytań. To był dziennikarski dzień. Najskromniejszy pracownik działu miejskiego redakcji (specjalność „michałki”) — wysłany jako „obsługa własna” pokazywał lwi pazur i zamieniał się w Kischę.

Wreszcie otoczyli gwarnym stadkiem Piotra Radleya i równie szybko, chociaż nieco przytomniej, zaimprovizowali konferencję prasową.

Poważni recenzenci i ci, co mieli się za poważnych, nie popolitowali się w taki sposób — wyraźnie stronili od wyrobników pióra.

- 8 -

- 9 -

Koledzy po fachu artysty spacerowali małymi grupkami i w skupieniu przyglądali się wystawionym pracom, z rzadka wymieniając fachowe uwagi:

— To trąci kuchnią...

— Zrobione pod publiczność...

— Techniczne kuglarstwo — powiedział jeden z nich o „Czerwonych drzewach”.

W rogu sali grupa znawców i wtajemniczonych nie tylko w arkana fachu rozprawiała z niebywałym ożywieniem. Tu metodycznie i z zapalem nicowano życie prywatne Piotra Radleya.

— To hochsztapler — zaopiniował z przekonaniem wtajemniczony.

— Reporterzyna tolerowany z litości w tygodnikach — poparł wtajemniczonego inny znawca.

— A jednak się wybił i zna go niemal cała Europa — wyrwał się nietaktownie jakiś przypadkiem zabłąkany laik.

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie. Fachowcy uporczywie, z lodowatą pogardą wpatrywali się w laika. Wreszcie niewtajemniczony zrozumiał, że popełnił gafę nie do darowania, nie wytrzymał nerwowo niemego bojkotu i zemknął z grona znawców.

— To alkoholik; piętno nałogu noszą jego zdjęcia, chociażby te „Czerwone drzewa”. Czy normalny człowiek może w taki sposób zobaczyć pejzaż? — Już bez przeszkód potoczyła się dalsza wymiana poglądów.

W dniu otwarcia na wystawę ściągaly tłumy. Wokół Pałacu Kultury pełniło służbę kilku umundurowanych milicjantów. Spacerowali odmierzonym krokiem, byli służbiści i wyjątkowo grzeczni. Przy jednym z bocznych wejść nudził się dobroduszny kapral.

Na podejździe zatrzymała się taksówka — trzasnęły drzwiczki. Jej pasażer, szpakowaty, elegancki mężczyzna wbiegł po stopniach i nie zwracając uwagi na kaprala, pchnął obrotowe drzwi.

- 10 -

— Pan nie wejdzie — niespodziewanie zaoponował kapral.

— Do mnie pan mówi? — zdziwił się szpakowaty pan.

— Zmiatać, ale już! — powiedział zwięźle milicjant.

Elegancki mężczyzna stał niezdecydowany.

— Mam ci dwa razy powtarzać? — chciał wiedzieć brutalny kapral.

— Panie władzo... — Szpakowaty pan, niezrażony, zaczął pertraktacje.

— Chcesz usiąść za opór władzy? Najmniej pół roku, artykuł 129 kaka — wyczerpująco poinformował kapral.

Elegancki pan zaniechał wreszcie prób porozumienia się z milicjantem i z godnością rozpoczął odwrót.

— Pozbawiony kultury dwunóg — mruknął gentleman wyprowadzony z równowagi, ale na tyle cicho, żeby źle wychowany milicjant nie usłyszał.

Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, już nie krępując się, wygłosił jeszcze kilka opinii na temat kaprala i jego rodziny.

Ostrożność eleganckiego pana była przesadna, ponieważ

uwagę milicjanta po utarczce słownej natychmiast zaabsorbowało coś innego. Kapral przybrał najbardziej dziarską postawę, sprężył się słuźbiście, ręka podskoczyła do daszka czapki, obcasy stuknęły — po schodach szybko zbiegł pułkownik Henryk Lis.

Sierżant Pylak — kierowca jego służbowego wozu, zgrabnie podjechał przed wejście.

— Na Puławską — powiedział Lis, wsiadając do samochodu.

— Gdzie pułkownik załatwił taki szykowny spodeń? — zdziwił się Pylak, gdy Lis wysiadał przed gmachem Komendy Głównej Milicji.

Lis spojrział na szofera, nie rozumiejąc.

— Kieszeń — wyjaśnił krótko kierowca. — W spodniach

— uzupełnił.

- 11 -

Pułkownik odruchowo dotknął tylnej kieszeni spodni. Była równo przecięta w kształcie litery L. Pylak z miną eksperta obejrzał dziurę.

— Dolina! — orzekł po chwili. — Portfel pułkownik ma?

Lis gorączkowo obszukał pozostałe kieszenie — portfela nie znalazł.

— Nie... możliwe — bąknął bez przekonania. — Portfel na pewno zostawiłem w domu.

— Ma pułkownik szczęście — westchnął obłudnie kierowca. — Bo to cięcie na porteczkach jest fachowe! Bezczelni! Obrobić pułkownika milicji! — monologował Pylak. — To dlatego, że po cywilnemu, do munduru oni mają szacunek.

Pułkownik Lis bardzo szybko znalazł się w swoim gabinecie. Jeszcze raz dokładnie obszukał całe ubranie — nie ulegało wątpliwości, że portfel zniknął.

— Niech natychmiast przyjdzie major Korosz — polecił sekretarce.

— Pana ukochany zwierzchnik ma niewyraźną minę — poinformowała dziewczyna wchodzącego inspektora.

Lis rzeczywiście był niewyraźny, czuł się niewypowiedzianie głupio wobec faktu, że padł ofiarą złodzieja.

— Wróciłeś ze święta narodowego? — zdziwił się Korosz.

— Byłem przekonany, że w tej chwili przeżywasz niepowtarzalne wzruszenia artystyczne.

— Już przeżyłem — mruknął niepewnie Lis, demonstrując uszkodzoną kieszeń.

Korosz przezornie powściągnął uśmiech na widok nieszczęśliwej miny przyjaciela.

— Zdaje się, że zostałeś okradziony... — zaczął ostrożnie.

— Co za genialna dedukcja! Zdaje się... — przedrzeźniał majora. Nie mógł darować inspektorowi dobrego humoru. —

1 Dolina — kradzież kieszonkowa.

- 12 -

O ile mnie pamięć nie myli, już dość dawno pracujesz nad

sprawą wzrastającej ilości — położył nacisk na ostatnie słowo — kradzieży kieszonkowych...

— Ściśle od dwóch miesięcy — uzupełnił major. — Dotychczas prowadzę rozeznanie środowiskowe.

— A tymczasem doliniarze spokojnie okradają twego szefa — poskarżył się żałośnie Lis.

— Jeżeli szef jest niedołęga... — mruknął pod nosem major.

— Co mówisz? — nie usłyszał Lis.

— Że przykry wypadek, Heniu — powiedział szybko major. — Co ci ukradli?

— Trzy tysiące złotych, dowód osobisty i jakieś nieważne papiery.

— Legitymację służbową masz?

— Mam. Z przyzwyczajenia noszę w górnej kieszeni — wyjaśnił pułkownik.

— Pieniądze przechowuj w PKO! — z namaszczaniem pouczył Korosz. — O kradzieży musisz złożyć oficjalne zameldowanie — używał sobie major. — Po znajomości przyjmę je sam.

— Jeszcze jedna niewykryta kradzież — westchnął sceptycznie Lis. — Dla celów statystycznych, ku rozszerzeniu wiedzy majora Korosza.

Zadzwoił telefon. Pułkownik podniósł słuchawkę.

— Pułkownik Lis, słucham?

Z bardzo dziwnym wyrazem twarzy wysłuchał pułkownik swego rozmówcy.

— Dzwonił chargé d'affaires ambasady francuskiej — wyjaśnił, odkładając słuchawkę. — Okradziono go na wystawie — spojrzał wymownie na Korosza.

— Lepiej ci? — dowiadywał się inspektor. — Masz towarzysza niedoli. Co mu ukradziono? Potrzebuję szczegółów dla celów statystycznych...

- 13

Odpowiedź Lisa znowu przerwał sygnał telefonu. Słuchając rozmówcy, pułkownik zasepił się.

— Dzwonił pisarz Y — okradziony na wystawie — zawiadomił majora. — Co ty na to, Andrzeju?

— Ja? Nic — zastrzegł się niewinnie inspektor. — Masz godne towarzystwo — wzruszył ramionami.

Trzeci telefon był od znajomego prokuratora, którego również okradziono na wystawie.

— To przestaje być zabawne — westchnął Lis. — Może być awantura, Andrzeju.

Znowu zadzwonił telefon — po chwili nastąpiła seria dzwonek. Informacje telefoniczne podobne były do siebie.

— Minister X — okradziony na wystawie.

— Aktorka Z — okradzona na wystawie.

— Prezes... korespondent zagraniczny „Paris Match”...

Falę dzwonek, po której zapadła cisza, zakończył telefon

od sławnego fotografika Piotra Radleya, który również padł ofiarą złodziei.

— Czy to, jak dla mnie, nie za liczne towarzystwo? — zapytał Lis ogarnięty wątpliwościami.

— Jestem tego samego zdania — zgodził się skwapliwie major.

— ...Uwielbiam drakę... — jęknął śpiewnie Lis. — Przewiduję kolosalną awanturę za tę kompromitację.

— Do kompletu brakuje tylko telefonu od resortowego wicepremiera — stwierdził ponuro Korosz.

— Nie był na wystawie — westchnął z ulgą Lis.

— Policzmy nokauty — zaproponował major. — Przyjąłem sześć zgłoszeń.

— Ja osiem plus zameldowanie Radleya.

— Razem z tobą szesnastu okradzionych. — Korosz już nie starał się ukryć zdenerwowania.

— Zgadza się. — Pułkownik panował nad sobą. — O szesnastu za dużo. Kto zabezpieczał wystawę?

14

— Cieślik z jedną zmianą służby X i służba mundurowa — powiedział inspektor.

— Dawaj tu tego genialnego wywiadowcę! — zażądał Lis.

— Mam nadzieję, że cała heca nie skrupi się na Cieśliku — wstawił się major.

— Masz dobrą nadzieję — zgodził się Lis. — Skupi się na mnie.

Porucznik Cieślik, kierownik grupy tajnej służby milicji, zjawił się niebawem na wezwanie Korosza.

— Subiektywną adekwatność eksponowanych fotogramów i fotokopii... — zamiast powitania zaczął Cieślik. Przerwał rozpoczęte zdanie, ponieważ dopiero teraz zauważył stojącego przy oknie pułkownika Lisa.

— Melduje się porucznik Cieślik, na rozkaz! — zawołał z przesadą. — Chciałem zorientować majora w czynnikach, jakie decydują o skończonej dojrzałości dzieła artystycznego, o czym każdy kulturalny człowiek wiedzieć powinien — wyjaśnił skromnie, zezując na Lisa.

Pułkownik bez uśmiechu spojrział na wywiadowcę.

— Pokażcie mi swoje dokumenty, poruczniku — zażądał.

— Dokumenty? — nie zrozumiał Cieślik. — To gestia Ireny, mojego zastępcy. Ale proszę, w każdej chwili są do sprawdzenia. Czy pułkownik życzy kasę pancerną na Puławską? Wprawdzie ciężka i mało poręczna, ale... Pułkownik życzy?

— zakończył tonem sprzedawcy sklepowego.

— Chcemy obejrzeć wasze dokumenty — wyjaśnił Korosz.

— Proszę bardzo — Cieślik skłonił się niesłychanie wytwornie w kierunku oficerów i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przez chwilę jego dłoń zastygła w tym geście — na twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie, pod palcami nie wyczuł znajomej wypukłości portfela.

15

Szybko przeszukał inne kieszenie — rezultat był podobny. Teraz już gorączkowo zaczął wyrzucać zawartość kieszeni na biurko, ale portfela nie było.

— Zgubiłem? — przeniósł badawcze spojrzenie z inspektora na pułkownika.

— Może portfel został w domu? — bez przekonania odpowiedział Korosz.

— Nie — zaprzeczył Cieślik. — Ze względu na wystawę zmieniłem legitymację. Dzisiaj byłem fotografikiem, skromnym, ale z perspektywami na przyszłość... można powiedzieć: obiecującym — skomentował swoim zwyczajem.

— Cieślika też okradziono! — stwierdził ze zdumieniem Korosz, patrząc na Lisa.

Dopiero teraz porucznik poczuł się nieswojo.

— Jestem pierwszy jeleń — jęknął.

— Przesada — pocieszył go major. — Pierwszym jest nasz nieoceniony szef.

Lis spiorunował Korosza wzrokiem.

— To pułkownika też? — upewnił się ze współczuciem Cieślik.

— Też — warknął wściekle Lis.

— Przede wszystkim musimy zastanowić się — podjął major — jak wyjść z tego wszystkiego możliwie obronną ręką.

— Tu cię boli — mruknął Lis.

Major dyplomatycznie nie usłyszał uwagi przyjaciela.

— Manto i tak dostaniemy, a największe Cieślik — stwierdził z melancholią porucznik.

— Co dotychczas wiemy o kradzieżach kieszonkowych? — zmobilizował się Lis. — Proszę! — zrobił gest w kierunku inspektora. — Przypomnij nam, Andrzej.

— W ciągu ubiegłych pięciu lat ilość zgłoszonych kradzieży kieszonkowych waha się od... do... rocznie. Sprawy wykryte stanowią czterdzieści pięć do sześćdziesięciu procent tej liczby.

— Rewelacje! I tego wszystkiego zdążyłeś się dowiedzieć w ciągu dwóch miesięcy? Popatrz, popatrz — skrzywił się z pogardą Lis.

— Cierpliwości, Heniu — upomniał go łagodnie major. — Na przestrzeni ostatnich dwóch lat Wydział Techniki i Taktyki Przestępczości zaobserwował ciekawe zjawisko. Wprawdzie ilość kradzieży nie wzrosła, ale zdecydowanie zmienił się skład społeczny okradanych. O ile w ubiegłych latach gros kradzieży kieszonkowych stanowiły kradzieże w sklepach, na bazarach, w popularnych środkach komunikacji miejskiej, o tyle teraz największy procent — który wzrasta — przypada na kradzieże dokonywane w luksusowych hotelach, samolotach i pociągach kursujących na międzynarodowych liniach,

w ambasadach, eleganckich restauracjach...

— W Radzie Państwa jeszcze nie było? — zjadliwie upewnił się pułkownik.

— Nawet Korosza jeszcze nie okradziono — odciął się major. — Wracając do tematu, można stwierdzić, że wzrasta ilość poważnych kradzieży, natomiast zmniejsza się liczba kradzieży drobnych, przy niezmienniejącej się na ogół globalnej.

— Dialektyka — westchnął milcząco dotychczas Cieślik.

— Wyniki? — zapytał pułkownik.

— W ciągu dwóch miesięcy zlikwidowano: Związek Dwudziestu Sześciu — największą z dotychczas znanych organizację doliniarzy, działającą na terenie Wrocławia, dwanaście mniejszych zespołów kieszonkowców, działających w różnych regionach kraju, oraz inne małe zespoły, operujące w Warszawie, Łodzi, Krakowie i podobnych co do wielkości miastach. Ponadto obserwuje się trzydziestu kieszonkowców — podejrzanych o recydywę.

— Środowisko? — rzucił następne pytanie Lis.

— Całe dotychczas znane środowisko — i to zlikwidowane, i to, które obserwujemy — to kieszonkowcy przeciętnej klasy operujący, jak już mówiłem, w pociągach, tramwajach, na bazarach, w sklepach — lub też początkujący w rzemiośle.

- 16

- 17

— Kto wobec tego, twoim zdaniem, okrada podróżnych na międzynarodowych liniach lotniczych, w luksusowych hotelach, kto okradł siedemnastu ludzi na wystawie Radleya? — indagował Lis.

— Piętnastu! Już się przywiązałem do tej liczby — z żalnym grymasem poprawił Cieślik. — Tylko piętnastu, pułkowniku.

— Asy — powiedział Korosz. — To nie znaczy, że tamta grupa, o której poprzednio mówiłem, nie próbuje szczęścia na bardziej luksusowym terenie.

— Co wiesz o Asach?

— Nic. Dotychczas nic — mruknął Korosz.

— Co, niewidzialni, czy jak? — nastawał Lis.

— W każdym razie dotychczas nie zostali przez nas rozpoznani.

— Temat można uznać za wyczerpany — westchnął Lis.

— Poruczniku, inspektor przekazuje wam sztafetę, proszę o sprawozdanie z wystawy.

— Na wystawę nie przedostał się żaden ze znanych nam kieszonkowców. Nawet emerytów fachu, o których wiadomo, że są dawno nieczynni, nie wpuszczaliśmy. Za to daję głowę — powiedział z przekonaniem Cieślik.

— Jeszcze ją macie, poruczniku? — powątpiewał Lis.

— Podkreślam, że żaden ze znanych — z naciskiem powtórzył wywiadowca. — Chcieli dostać się do Pałacu Kultury — zwrócił się do majora — Ziółko, Złoty Polo, Messerschmitt

— wymienił jeszcze kilka pseudonimów — żaden nie dotarł nawet do hallu. Służba mundurowa załatwiała ich niewytwor-
nie, ale skutecznie.

— Jak widzę, to obu wam najbardziej przypadła do gustu hipoteza Asów. Niewidzialni, nieuchwytni geniusze kieszonki, królowie doliny! Robią jatki na głośnej wystawie, pod nosem jednej z najlepszych grup tajnej służby i mimochodem okradają jej kierownika. Nie byle kto was okradł, poruczniku — As!

- 18 -

— Cenię fachowców — mruknął Cieślik.

— Heniu, rzecz nie polega na terminologii — pojednawczo wtrącił major. — Drażni cię termin: Asy? Możemy powiedzieć, że są to kieszonkowcy wysokiej klasy, nieznanymi jeszcze milicji. Zgoda?

— Coraz lepiej. Znak Zorro! Obłąd — fuknął Lis. — Ale do rzeczy. Co robimy w sprawie tych... powiedzmy... piętnastu kradzieży? Musimy odnaleźć skradziony łup!

Oficerowie popatrzyli na siebie, żaden nie kwapił się z odpowiedzią.

— Założmy program minimum — odezwał się wreszcie Korosz. — Znajdźmy przynajmniej dokumenty.

Porucznik Cieślik spojrzął bystro na majora, a później pzezował w stronę pułkownika.

— Jakie masz propozycje? — podejrzliwie zapytał Lis.

Major wyciągnął papierosa, stuknął nim o pudełko, później zaabsorbowała go płonąca zapalka. Cieślik z nagłym zainteresowaniem przyglądał się swoim paznokciom.

— No, śmiało, panowie — obłudnie zachęcał Lis. — Śmiało! Nagle opuściła was inwencja?

— To może pułkownik, jako bardziej doświadczony i starszy stopniem... doradzi nam, poinstruuje? — poprosił perfidnie Cieślik.

Lis przyjrzał się wywiadowcy jak ciekawemu okazowi, ale nie zdążył przekazać swoich myśli. Przerwał mu sygnał telefonu. Pułkownik podniósł słuchawkę.

Korosz z Cieślikiem wymienili spojrzenia — czekali na osiemnaste zgłoszenie o kradzieży. Jednak nic nie odczytali z twarzy swego szefa.

Lis spokojnie odłożył słuchawkę, poprawił krawat i obciągnął marynarkę.

— Wzywa mnie Komendant Główny — powiedział, wychodząc.

Cieślik z bolesnym wyrazem twarzy spojrzął na majora.

- 19 -

— Manto? — wskazał palcem w kierunku drzwi. Zachmurzony Korosz niechętnie wzruszył ramionami.

— Najgorzej to z dygnitarzami niewiedzącymi, że istnieją komisariaty — ubolewał Cieślik. — Szef służby to stanowczo za mało. Zginie słomianka spod drzwi albo ukochany kundel, to zaraz musi o tym wiedzieć Komendant Główny! Niżej

pułkownika milicja się nie liczy. Lis dostanie wycisk? — zapytał z westchnieniem.

Major połączył się telefonicznie z sekcją koordynacji.

— Proszę o przesłanie akt wszystkich znanych kieszonkowców — zażądał.

— Jeżeli coś wiedzą o nieznanym, to też — nie darował Cieślik. Potem wywołał przez selektor lokal służby X.

— Kiciu — zaczął miękko do dyżurnego. — Zbierz ten cały ogródek jordanowski, a szczególnie pierwszą zmianę i bądź uprzejmy zawiadomić ich, że... są wały, a nie tajna służba, paskudnie wystawione do wiatru przez dolinę...

Po tym wstępie przekazał informacje o kradzieżach na wystawie i zarządził ostre pogotowie dla całego oddziału, którym kierował.

Korosz rozmawiał z Komendą Miasta. Wydał polecenie, aby natychmiast służba mundurowa wszystkich komend dzielnicowych Warszawy sprawdziła alibi znanych kieszonkowców. Doliniarzy nie mających alibi w godzinach otwarcia wystawy — zatrzymać i dostarczyć na Puławską.

— Wierzy major, że da nam to jakieś wskazówki? — zapytał sceptycznie Cieślik.

— Nie wierzę. Robię to tylko tak, dla spokoju sumienia — powiedział Korosz.

— Szkoda czasu — mruknął wywiadowca. — Ułożmy małą, a gustowną listę, dzisiaj przekażę wezwanie i na rano będzie miał major komplet.

— Nie zaproszę ich przecież do Komendy — obruszył się major.

- 20

— Tego nie powiedziałem — zgorszył się Cieślik. — Lisek umarłby z obrzydzenia, jakby zobaczył, z kim się major towarzysko zadaje.

— Kogo proponujecie z Warszawy?

— Messerschmitta i Rączkę — powiedział Cieślik.

— Rączka od dawna już nie pracuje? — zapytał major.

— Od piętnastu lat i chyba nie będzie już pracował, podobnie jak Messerschmitt.

— Z czego się utrzymują?

— Obcinają kupony i hodują róże — skrzywił się wywiadowca. — Poza tym przypuszczam, że szkołą młode kadry.

— Macie dowody?

— Jakbym miał, to nie mówiłbym, że przypuszczam — wzruszył ramionami porucznik.

— Sądzicie, że Rączka może pomóc?

— To maestro i chluba lwowskiej jeszcze doliny, majorze. Jego słowo wiele znaczy w tym środowisku.

Oficerowie przeglądali akta i wymieniali opinię na temat interesujących ich osób. Kraków... Wrocław... Szczecin... Łódź... Katowice...

Dziesięciu wystarczy — major odsunął stertę teczek. —

Prawie kadra narodowa w tej dyscyplinie — powiedział, przyglądając się spisowi.

— Sam kwiat kieszonki, w tym kilku dostojnych emerytów — pochwalił Cieślik. — Gdzie major zamierza urządzić ten zlot?

— Ponieważ spotkanie — westchnął Korosz — będzie miało charakter towarzyski, więc myślę, że powinienem zachować wszelkie reguły gry, ale przecież nie zaproszę ich do Bristolu. Jak sądzicie, poruczniku?

— Proponuję Dziadka Truciciela — podpowiedział Cieślik.

— Knajpa? — skrzywił się Korosz.

— Prywatne mieszkanie. Czysta meta na Oboźnej, prowadzona przez doliniarza w stanie spoczynku. Łącznie piętnaście lat odsiedzianych wyroków. Pechowiec!

- 21

— Paser? — uniósł brwi Korosz.

— Major mnie nie rozumie. To czysty lokal, czysty jak łąka. U Dziadka Truciciela zatrzymują się wprawdzie profesjonaliści, ale nigdy w trakcie albo po pracy. Azyl! Dziadek daje noclegi, karmi, oczywiście za godziwą opłatą — z tego się utrzymuje.

— Miejscowy komisariat toleruje ten lokal?

— Jeszcze nikt nie zabronił przyjmować u siebie znajomych lub przyjaciół. Dziadek melduje natychmiast każdego gościa. Wszystko zgodnie z konstytucją i przepisami. Poza tym jeszcze nie zdarzyło się, żeby u Dziadka milicja cokolwiek znalazła. Żadnej paserki, żadnej wpadki. Sami doliniarze dbają o opinię lokalu na Oboźnej. Powtarzam: azyl!

— Niech będzie Dziadek Truciciel — zgodził się Korosz.

— Tylko... majorze... — Porucznik starał się oględnie sprecyzować myśl, patrząc z troską na inspektora. — Sam jestem „cofnięty na honorze” przez dolinę na dzisiejszej wystawie, ale oni — uderzył dłonią w spis „reprezentacji narodowej” — mają swoją ambicję. Jak płaszczyzna towarzyska, to...

— Mam włożyć frak? — dowiadywał się ubawiony major.

— Major rozumie — tłumaczył wywiadowca. — Dowodów na tę dziesiątkę nie mamy żadnych, z tej kompromitacji trzeba się jakoś wydostać. Ja, jak muszę, to jestem gentlemanem, oni to rozumieją. No, rozejm! Major jako osoba inteligentna powinien pojąć moje intencje... — Cieślik był coraz bardziej zafrasowany.

— Jestem inteligentny — stwierdził skromnie major. — Zannotujcie tekst zaproszenia, poruczniku:

Major Korosz, inspektor służby kryminalnej, zaprasza pana... na spotkanie u Dziadka Truciciela w dniu... o godzinie...

— Mam nadzieję, że nie wyślecie depech na ozdobnych blankietach, poruczniku?

II. Kolacja u Dziadka Truciciela

Dziadek Truciciel — przygarbiony, starszy mężczyzna o mlecznobiałych włosach — przewiązany fartuchem, wyciągnął z pieca brytfannę z upieczoną gęsią.

W mieszkaniu panował upał. Rozpalona, malinowa płyta kuchni rzucała blask na jego pokrytą kropelkami potu twarz. Z nabożnym skupieniem badał widelcem rumianożółtą skórkę upieczonego ptaka. Oględziny wypadły pomyślnie i gęś powędrowała na szeroki parapet okna.

Dziadek z westchnieniem spojrzął na duży, głośno tykający zegar, umieszczony na kuchennym kredensie. Sprawdził temperaturę wody w zlewie, z którego obiecująco wystawały główki butelek Eksportowej w srebrnych kapslach i zabrał się do przyprawiania jarzyny w wielkiej fajansowej salaterce. Sądząc po sposobie, w jaki przyrządzał potrawy — jego groźne przezwisko było żartem — Dziadek Truciciel sprawiał wrażenie dobrego kucharza.

Pracowitą ciszę kuchni rozdarł rytmiczny dźwięk dzwonka. Dziadek przerwał mieszanie w salaterce — nasłuchiwał przez chwilę. Powtórzył się umówiony sygnał. W taki sposób dzwonili swoi.

Nie odpasując fartucha, wybiegł do przedpokoju. Szczękniętą odsuwany zamek — do mieszkania wszedł krępy, silny mężczyzna.

Gospodarz stał bez ruchu, zaskoczony widokiem nieoczekiwanego gościa.

— Czołem! — uśmiechnął się przybyły. — Co stoisz jak pomnik?

— Max, jak Boga kocham, Biały Max! — ucieszył się Truciciel. — Zatrzymasz się u mnie? — W pytaniu drgnął niepokój.

- 23

Biały Max spojrzął uważnie na gospodarza.

— U mnie dzisiaj będzie milicja — pośpieszył z wyjaśnieniem Dziadek.

— Boisz się?

— Był milicjant, nie znam go, to żaden z miejscowych, kazał przygotować kolację na dzisiaj. Myślałem, że to jakiś paskudny kawał...

— Pieniądze dał? — zainteresował się Biały Max.

— A jakże, dał — skinął głową Dziadek. — Ale mi niewyrażnie — zwierzył się z troską. — Co oni wymyślili? Boję się, że to jakiś podstęp.

— To dla nas ta kolacja — powiedział Biały Max. — Dla dziesięciu z ferajny. Zaraz będziesz ich tu miał. Nic się nie martw.

— Czego oni od was chcą?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Max. — Myślę, że dzisiaj się dowiemy.

Przed ósmą osobliwi goście majora Korosza zapełnili mieszkanie na ulicy Obożnej.

Dziadek z czułością witał każdego nowo przybyłego i lokował w obszernym pokoju.

Gdy major wszedł, dziewięciu gentlemanów na jego widok podniosło się z miejsc. Panowie byli w ciemnych garni-

turach i nieskazitelnie białych koszulach o modnym kroju. Kolejno podchodzili do Korosza, witając go z szacunkiem, ale bez uniżoności.

— Rączka z Warszawy — przedstawił się starszy, tęgi mężczyzna.

— Kogut z Gdańska — uśmiechnął się do majora drobny, mały człowieczek.

— Obrączka — Wrocław. — Dłoń Korosza uścisnął olbrzym o nieproporcjonalnie małych, prawie kobiecych rękach. W tej chwili wszedł do pokoju jeszcze jeden, lekko zdyszany, gość.

— Relikwiarz z Krakowa — przedstawił się.

— Musiałeś się spóźnić? — skrzywił się z dezaprobatą Biały Max.

— Pociąg miał opóźnienie — usprawiedliwił się Relikwiarz.

— Samoloty też są dla ludzi — zauważył Kogut.

Dziadek Truciciel z przejęciem zlustrował nakryty do kolacji stół. Potem przyniósł różową prymulkę w doniczce owiniętej karbowaną bibułką i ustawił ją na środku. Przekrzywiając głowę, przyjrzał się krytycznie swemu dziełu.

Poprosił panów do stołu i zniknął w kuchni, starannie zamykając za sobą drzwi.

Panowie bez pośpiechu, ale i nie ociągając się, zasiedli do stołu. Obserwowali Korosza.

Major zaczął napełniać kieliszki. Relikwiarz i Kogut pomogli mu w tym.

— Dziękuję za przyjęcie zaproszenia. — Inspektor uniósł kieliszek.

Panowie zgodnym ruchem pochylili głowy i równie zgodnym opróżnili kieliszki.

Mimo szybko po sobie następujących „kolejek” nastrój był sztywny, goście majora maskowali napięcie udaną swobodą, jednak żaden z nich nie uczynił najmniejszej aluzji do przyczyn, jakie mogły zgromadzić przy stole towarzystwo o tak niecodziennym składzie.

— Słyszeli panowie o wystawie Piotra Radleya? — zapytał bez wstępów major.

— Ostatniej znakomitości w dziedzinie fotografii — podchwycił Relikwiarz.

Z wypowiedzi pozostałych inspektor mógł wywnioskować, że nazwisko fotografika i dzieje jego błyskawicznej kariery nie są obce zgromadzonemu gentlemanom.

— W dniu otwarcia na tej wystawie dokonano siedemnastu kradzieży kieszonkowych... — poinformował major.

- 24

- 25

Dziesięć par oczu z zainteresowaniem wpatrzyło się w inspektora.

— Nie przyszedłem prawić morałów — ciągnął Korosz. —

Interesy naszych zawodów zawsze będą sprzeczne. Nie muszę podkreślać, że milicja jest od tego, aby uniemożliwiać wykonywanie waszego fachu. W tym wypadku — uśmiechnął się major — przyznaję, nie potrafiliśmy zapobiec waszej akcji. Siedemnastu ludzi okradziono na wystawie z wyjątkową maestrią. Cenię fachowców w każdej dziedzinie. — Major bezwiednie powtórzył określenie Cieślaka.

— Kogo zrobiono? — zainteresował się Rączka.

— Charge d'affaires ambasady francuskiej, korespondenta zagranicznego „Paris Match”, attache prasowego ambasady Iranu, nie mówiąc już o ministrze X, pisarzu Y... i jednym pułkowniku milicji — z niesmakiem skrzywił się Korosz.

Dziesięciu gentlemanów wymieniło znaczące spojrzenia, wygolone twarze powłókł niekłamany wyraz zażenowania.

— Panowie — ciągnął z wyrzutem major — kompromitacja przed zagranicą. Francja wylansowała Piotra Radleya, a w Polsce okradają jej przedstawicieli, i to gdzie? Na wystawie prac fotografika, któremu Paryż przyniósł sławę. Nie chodzi mi już o ministra X czy pisarza Y — ostatecznie to swoi. Ale na przykład ambasador Jej Królewskiej Mości królowej Holandii?

— Błąd — stwierdził autorytatywnie Kogut. — Błąd psychologiczny. Siedemnastu dygnitarzy naraz... — Powiódł wzrokiem po zgromadzonych kolegach. — Zacznie się piekło. Milicja przyciśnie notowanych? — zwrócił się do majora.

— Przyciśnie — przyznał ze skruczą inspektor.

— Myślę, że major nie podejrzewa tutaj zgromadzonych?

— Olbrzym Obrączka zatoczył krąg swą maleńką dłonią.

— Oczywiście nie — zgodził się z przekonaniem Korosz.

— Wyłącz się — powiedział z niesmakiem Biały Max. — Gdyby było inaczej, nie piłbyś wódki u Truciciela, tylko kawę w Pałacu Mostowskich.

— Nie podejrzewam bez dowodów — przytaknął major i spojrzął z bólem na Messerschmitta.

— Nie wpuszczono mnie do Pałacu Kultury — bystro wyjaśnił Messerschmitt. — Wybrałem się tam wyłącznie w celach turystycznych. Wasi podwładni, majorze, odnoszą się do obywateli niesłychanie brutalnie — zaopiniował z urazą.

— Zwrócę im uwagę — z powagą zapewnił inspektor.

— Czego major od nas oczekuje? — zapytał Rączka.

— Zwrotu skradzionych przedmiotów i to... możliwie szybko — powiedział dobitnie. — Wyjątkowo mi się śpieszy — dodał z nonszalancją.

— Wszystkich? — upewnił się milczący dotychczas Relikwiarz.

— Wszystkich — rozwiął jego nadzieje Korosz. Dziesięć męskich twarzy powłókla chmura. W ciszy, jaka zapadła po oświadczeniu inspektora, gentlemani oswajali się z wygórowanym — ich zdaniem — żądaniem majora.

— Przewiduję trudności — zaczął ostrożnie Rączka. Zawiesił głos i przyjrzał się z troską inspektorowi. Chciał spro-

wokować pytanie, ale major nie był ciekaw, jakiego rodzaju są te trudności. — Postaramy się pomóc — zapewnił po chwili z westchnieniem.

Pozostali panowie gorliwie zaaprobowali oświadczenie kolegi.

— Jeżeli ten skok zrobiły manusy1 nam w jakiś sposób znane — powiedział szybko Rączka — to...

— Dyplomata od siedmiu boleści! — przerwał mu Biały Max. — Panie majorze — zwrócił się do Korosza — jeżeli to zrobili chłopaki z hewry2, to zapewniam, że w ząbkach przy-' Manus — doświadczony złodziej.

• Hewra — szajka, ściśle współpracująca grupa przestępcza. niosą cały łup. Ale poza ferajną pracują metery1 i różne pęta-ki, cała masa fryców. Kto na takich ma wpływ? Kogo oni posłuchają? Mnie? Rączki?

— To szumowina — z przekonaniem wtrącił Rączka. — Ich trzeba dusić jak pluskwy. O fachu nie mają pojęcia, a o honorze czy etyce zawodowej to już nie ma co wspominać. Banda, banda partaczy... — zrezygnowany machnął ręką.

— Zróbcie weryfikację — z powagą doradził Korosz.

— Majora to ubawiło — pokiwał głową Biały Max.

— Tradycja w zawodzie ginie. Ot, co! — westchnął Rączka.

— Wie major, ile terminowałem w fachu? Osiem lat! Osiem lat, przed wojną, we Lwowie. To był uniwersytet! Przez osiem lat nie zrobiłem żadnej samodzielnej roboty, nie dlatego, że nie miałem ochoty albo okazji. Uczniowie nie mieli prawa. A prawa doliny były przestrzegane lepiej niż boskie. Dintojra2 sądziła szybko i surowo. Od jej wyroku nie było odwołania ani apelacji, jak nie przymierzając, w sądzie państwowym. Ale związek nie tylko karał, związek płacił zasiłki chorym, utrzymywał rodziny tych, którzy dostali wyroki... żaden „dziki” nie popracował długo w zawodzie. Trzydzieści lat temu nikt z nas nie znał nawet określenia „dziki” czy „papracz”. Każdy musiał podporządkować się związkowi i zdać egzamin ze swoich umiejętności, a możecie mi wierzyć, majorze, że egzamin nie był łatwy... ja musiałem ściągnąć sygnet mojemu mistrzowi. Nie wiem, czy major zdaje sobie sprawę, co to jest... ściągnąć pierścień z palca człowiekowi, który wtedy miał za sobą dwadzieścia lat praktyki w zawodzie, a jego specjalnością była biżuteria. Mój mistrz nie miał ani jednego wyroku, w żadnej policji nie był notowany, to był as nad asy. Jak przyszła okupacja — błąd strach padł na manusów. Wszystkich notowa-1 Meter — złodziej mistrz.

2 Dintojra — tu: zwyczajowy sąd w środowisku złodziejskim. nych Niemcy wygarniali bez pardonu i do obozu! A w obozach to w pierwszej kolejności przez komin. To związek tym, co figurowali w kartotekach — wydał lewe papiery. Może się major śmiać, ale patriotyzm też był. Przez całą okupację na polecenie związku skoki robiło się tylko na Niemców, foks-trottów i takich, co robili grube interesy ze szopami. Żadne-

go Polaka nie obrobiono — za to groziła dintojra. A ile broni doliniarze nakradli Niemcom... Dlaczego to mówię majorowi? Bo mam wątpliwości, czy tę wystawę zrobili znane nam urki. Mnie to wygląda na fryców...

— Dlaczego pan tak sądzi? — nie wytrzymał major.

— W naszym zawodzie obowiązują trzy prawa: solidarność, solidarność, solidarność — wyskandował Rączka. — Każdy manus musi pamiętać o pozostałych. Musi zrezygnować nawet z największego zysku, jeżeli to może ściągnąć przykrości i wzmożone represje na kolegów. Takie jest żelazne prawo urków — podkreślił z dumą.

— Każda kradzież pociąga represje — mruknął Korosz.

— Szczególnie jak złapią na gorącym uczynku — skrzywił się ironicznie Rączka. — Który z doświadczonych doliniarzy zrobi ministra? No, który? — Rączka zwrócił się do milczących kolegów. — Żaden! — odpowiedział po chwili sam. — A wie major dlaczego? Bo to w ostatecznym rachunku nieopłacalne, to szkodliwe. Dwudziestu, trzydziestu szarych ludzi okradzionych w jednym czasie i jednym miejscu nie przyniesie takich szkód jak jeden dygnitarz... a tu siedemnastu na jednej obębnionej przez gazeciarzy wystawie! Przecież teraz wasi podwładni wściekną się i wyczyszczą wszystkich notowanych, będą ich nękać miesiącami, a jeżeli który nie pamięta, co robił w dniu otwarcia tej cholernej wystawy, to ma zapewnione państwowe wyżywienie najmniej na trzy miesiące. Czy Urka — złodziej.

- 28 -

- 29 -

w takich warunkach będą mogli żyć? Długo nie! Chude dni nastaną dla nich. Może nie mam racji, panie majorze?

— Nigdy nie uwierzę, że tę wystawę zrobili partacze — potrząsnął głową major.

— Ja nie kwestionuję ich umiejętności — powiedział Rączka. — Tylko boję się, że to zrobili ludzie, na których my — zatoczył krąg dłonią — nie mamy wpływu, że mimo najszczerzych chęci nie będziemy mogli zadośćuczynić żądaniu pana majora...

— Za znanych nam ręcymy—wtrącił z przekonaniem Biały Max. — Jeszcze słowo weteranów—wskazał kolegów—coś u nich znaczy, a może major być pewny, że to słowo nie będzie łagodne. Powiem więcej: Jeżeli to ktoś ze znanych, to... — zawahał się przez chwilę i powiódł wzrokiem po kolegach — to milicja otrzyma nie tylko zwrot łupu, ale i sprawcę.

— Słusznie — powiedział Obrączka. — Na nic lepszego taki łobuz nie zasługuje.

— Truciciel! — zawołał Biały Max. — Podaj koniak z mlecznej drogi, na nasz rachunek.

Jak wyczarowany zjawił się z kuchni Dziadek i postawił na stole butelkę martella z pięcioma gwiazdkami.

Gdy major opuścił gościnny lokal na Oboźnej, nad War-

szawą płonęło niebo w późnym, zimowym świetle. Stopy tonęły w miękkim, białym puchu niedawno spadłego śniegu. Dał ostry, mroźny wiatr.

III. Efekty porozumienia

— Majorze...

Korosz niechętnie uniósł głowę znad rozłożonych papierów.

W uchylonych drzwiach gabinetu stała sekretarka.

— Prosiłem, żeby nie przeszkadzać — złagodził wymówkę uśmiechem.

— Polecone przesyłki do majora — powiedziała dziewczyna.

— To proszę przyjąć.

— To są polecone, nadane jako wartościowe, pocztą lotniczą, imiennie na nazwisko majora Korosza — tłumaczyła cierpliwie. — Major musi sam pokwitować odbiór. Inaczej listonosz nie odda.

— Gdzie pani przetrzymuje tego upartego listonosza? —

Inspektor podniósł się zza biurka.

— Jest w sekretariacie.

Korosz otrzymał pięć pakietów, w których znalazł starannie ułożone dokumenty, pieniądze i drobiazgi skradzione: ministrowi X, chargé d'affaires ambasady francuskiej, ambasadorowi Królestwa Holandii, attaché prasowemu Iranu i znanemu pisarzowi Y.

Po skonfrontowaniu ze spisem zaginionych przedmiotów okazało się, że wszystko zostało zwrócone. Z największym pietyzmem potraktowano ministra X. Wśród dokumentów i drobiazgów należących do niego znalazło się passe-partout do teatru, a nawet stary program ze sztuki granej w teatrze Jaracza.

W kilka godzin później major Korosz kwitował następne przesyłki nadesłane pocztą lotniczą. Około południa na biurku majora znalazły się wszystkie dokumenty należące do sie-

- 31 -

demnastu ludzi okradzionych na wystawie, nie wyłączając dowodu osobistego pułkownika Lisa i legitymacji fotografika, którą w tym dniu posługiwał się Cieślik.

Korosz wezwał porucznika.

— Olśniewające wprost efekty operacyjnej pracy milicji!

— zakpił wywiadowca, przeglądając nadesłane przedmioty. —

Major musiał być nieśtychanie uroczy na tej kolacji. Zawsze wierzyłem w pańskie talenty towarzyskie. Czyżby zwrócili absolutnie wszystko? — zapytał z niedowierzaniem.

— Moje talenty towarzyskie wystarczyły na pięć osób: ministra, cudzoziemców i jednego pisarza. Pozostałym zwrócono tylko dokumenty.

Cieślik z zainteresowaniem oglądał stemple i nalepki na opakowaniach.

— Próżny trud, poruczniku — powiedział inspektor. —

Ten materiał nic nam nie wyjaśni. Każdą przesyłkę nada-

no w innym mieście. Oczywiście wszystkie wysłano w jednym dniu.

— Nielicha organizacja — stwierdził Cieślik. — Ja na miejscu majora nie wierzyłbym w te ich przypowiadki o upadku fachu i obyczajów cechowych.

— A kto wam powiedział, że wierzę? — obruszył się major.

— Czy pułkownik Lis już wie o tym niesłychanym triumfie służby kryminalnej? — dowiadywał się Cieślik, wskazując ze wstrętem na biurko majora.

— Jeszcze nie — mruknął inspektor — ale zaraz się dowie. Porucznik z podejrzaną swobodą zerwał się z miejsca i nagle przypomniał sobie o pilnej sprawie, którą miał załatwić.

— A w powrotnej drodze, majorze — zapewniał gorliwie, nieznacznie przesuając się w stronę drzwi — przywiozę Ziółko, tego kieszonkowca bez alibi. Może mu się coś dopasuje?

— W głosie porucznika drgnęła nadzieja.

— Siadajcie, poruczniku. Rozmowa z Lisem nie potrwa długo — uspokajał go obłudnie Korosz.

— Właśnie — mruknął Cieślik. — Przewiduję mowę krótką a treściwą. Ja mam bardzo czuły słuch, majorze, jestem muzykalny — żalił się wywiadowca.

— Odwagi, poruczniku — podtrzymywał go na duchu Korosz.

— Czy to wypada, żeby serdecznej rozmowie oficerów sztabowych przysłuchiwał się jakiś porucznik? Ja jestem taktowny, majorze... ja nie lubię spoufalać się z szarżą...

— Właśnie liczę na to, że w towarzystwie niższego oficera mniej oberwie wyższy — objaśnił pogodnie major. — Ja też mam wyostrzony słuch — zwierzył się.

Po tym oświadczeniu zadzwonił do Lisa. Zrezygnowany wywiadowca usiadł skromnie w najdalszym kącie gabinetu na brzeżku krzesła.

— Pierwsza część zadania została wykonana pomyślnie — ze sztuczną swobodą zawiadomił wchodzącego Lisa. — Odzyskaliśmy wszystkie dokumenty i część łupu.

Pułkownik z rękoma w kieszeniach nachylił się nad biurkiem Korosza. Przez chwilę przyglądał się starannie ułożonym przedmiotom.

— Trzeba to dzisiaj przekazać zainteresowanym — zagadywał go major.

— Niezły kawałek dobrej pracy — pochwalił Lis. — Sprawców też macie? — zapytał od niechcienia.

— Jesteś strasznie wymagający, Heniu — zgorszył się major. — Sprawców też będziemy mieli. Powoli!

— A paserów? — Lis ze zmarszczonymi brwiami przeniósł wzrok z majora na Cieślika.

Porucznik z najniewinniejszą miną wytrzymał to spojrzenie.

— Ujęliśmy Ziółko — przytomnie pośpieszył z odsieczą

majorowi.

— Co mu udowodniono? — nie dał się zbyć Lis.

- 32 -

- 33 -

— Jeszcze nic — ze skrucą przyznał Cieślik. — Ale brak mu alibi.

— Andrzej! — Ton Lisa nie wróżył nic dobrego. — Jaką drogą odzyskaliście te dokumenty?

— Operacyjną — mruknął Korosz.

— Banda! Banda opryszków, a nie oficerowie — ryknął nagle Lis.

— Dwóch oficerów i zaraz banda — jęknął z wyrzutem Cieślik.

— Jesteście żalosny błazen, poruczniku — sapnął rozzłoszczony Lis.

— Tak jest — sprężył się Cieślik.

— Major Korosz i porucznik Cieślik zostaną ukarani — pułkownik przybrał oficjalny ton.

— Porucznik nie brał udziału w tej operacji — zastrzegł się major.

— Ach, ty obrońco uciśnionych — z pogardą powiedział Lis. — A poza tym kłamiesz. Powtarzam, że obaj zostaniecie ukarani.

— Przyjąłem do wiadomości — zjeżył się nagle inspektor.

— Ale te dokumenty przekaz zainteresowanym, niech przynajmniej to mam z głowy.

— Tajfun minął — odetchnął z ulgą Cieślik, kiedy za Lisem zamknęły się drzwi. — Opryszki... — naśladował głos i gesty pułkownika. — Myślałem, że będzie gorzej.

— Ja też — przyznał major. — Gdzie macie to Ziółko? Cieślik z energią podskoczył do selektora.

— Nadziejo milicji! — wezwał dyżurnego — dostarcz na Puławską to „Ziolo”, ale elektronowo, sam Korosz chce go uścisnąć.

Niebawem w gabinecie Korosza stawił się schludny, rumiany milicjant.

— ObywatelumajorzekapralBurasekmeldujesięnarozkaz!

— wyrzucił z siebie jednym tchem.

34

Major gestem zaprosił go, żeby usiadł.

— Przywiozłem tego Ziółko — zawiadomił już zupełnie normalnym tonem.

— Co o nim wiecie?

— Miałem z nim incydent na wystawie fotograficznej w Pałacu Kultury. Można referować? — Kapral był najwyraźniej przejęty.

— Trzeba — zachęcił Korosz.

— W tym dniu byłem dowódcą patrolu w sile jeden plus dwóch. Nasza dyslokacja była rozlokowana przy wejściach od strony Alei Jerozolimskich. Zaleciłem funkcjonariuszom

godną postawę do spokojnych obywateli i zdecydowaną do elementu przestępczego...

Pierś inspektora rozdarło ciężkie westchnienie, zrezygnowany wsparł głowę na rękę — kapral należał do typu milicjantów elokwentnych, będących postrachem zarówno spokojnych obywateli, jak i swych zwierzchników.

— ...stałem właśnie, lustrując teren...

— Streszczajcie się — jęknął Korosz.

— Co proszę, obywatelu majorze?

— Opiszcie sam incydent.

— Więc mówię do Ziółki, grzecznie mówię, obywatel nie wejdzie. To on robi wariata i pyta: do mnie pan mówi? A do kogo miałem mówić, jak na schodach tylko on i ja. To powiedziałem bezkompromisowo: zjeżdżać! To on mnie Wątuje: panie władzo... To mu zapodałem, że za opór władzy może usiąść z artykułu 129 — błysnął kapral znajomością kodeksu.

Wprowadzony po chwili do gabinetu majora Ziółko olśniewał wyszukaną elegancją stroju i manierami światowca. Ciągnęła się za nim smuga zapachu wody kolońskiej. Przedstawił się i wyciągnął na powitanie dłoń.

— Cieszę się, że poznałem pana, majorze. Cenię ludzi inteligentnych — powiedział z przekonaniem. — Niestety, z ubo-

35

lewaniem muszę stwierdzić, że nie wszyscy przedstawiciele władzy są równie kulturalni...

Inspektor przyjął komplement bez zmrużenia oka.

— Gdzie pan był w dniu otwarcia wystawy Piotra Radleya?

— Z kobietą, którą kocham i... która mnie kocha — uzupełnił, a później znacząco popatrzył na majora.

— Gdzie państwo byliście, kto to może potwierdzić i kim jest ta kobieta?

— Panie majorze — na twarzy Ziółki odmalowało się bolesne napięcie — jestem człowiekiem honoru, szczególnie w stosunku do kobiet, które mi zaufały. Jest pan mężczyzną i nie wątpię, że doskonale się rozumiemy...

— Zapewniam pana, że nie narażę honoru tej damy — zgrywał się major.

— Otóż to! Panie majorze, jest to dama godna ze wszechmiar szacunku, kobieta zameżna, o nazwisku znanym niemal w całej Polsce, związana towarzysko z czołówką intelektualną Warszawy... toteż z tych względów gotów jestem ponieść wszystkie konsekwencje tego bolesnego dla mnie nieporozumienia, ale pod żadnym pozorem nie wyjawię — pan daruje, majorze — nawet panu, nazwiska tej uroczej, przesubtelnej istoty. — Po tej oracji Ziółko patrzył w sufit.

— W jakim celu chciał pan wejść na wystawę?

— Panie majorze — w głosie starego złodzieja brzmiał delikatny wyrzut — zbędne jest wyjaśnianie, w jakim celu lu-

dzie na pewnym poziomie oglądają wystawy. A poza tym miałem się tam spotkać z kobietą, o której wspominałem. Ona z racji swojej pozycji towarzyskiej i zawodowej musiała być obecna na otwarciu.

— Jeżeli to nawet nie jest prawdziwe, to jednak dobrze wymyślone — mruknął inspektor.

Korosz bez pośpiechu pogrzebał w szufladzie biurka i po chwili ułożył na jego blacie złotą bransoletkę.

- 36 -

— Zna pan ten przedmiot? — Inspektor spojrzał na wytwornego pana.

— Doskonale — zapewnił Ziółko i wiele mówiący uśmiech pojawił się na jego twarzy.

— Skąd się to wzięło w pańskiej kieszeni? — Major delikatnie poprawił ułożenie jednego ogniwa bransoletki.

— Zapomniała ją u mnie — bez namysłu wyjaśnił Ziółko. Major poczuł pewien rodzaj podziwu dla tupetu i bezczelności tego znanego złodzieja.

— Zazdroszczę panu niesłychanego szczęścia u pięknych i bogatych kobiet, które zdejmują u pana nawet biżuterię...

— Pan nie powinien być trywialny — zgorszył się Ziółko.

— La donna e mobile! Wie pan, czym odpłaciła ta kobieta za pańską miłość? W dniu wystawy złożyła zameldowanie, że została okradziona.

— Nigdy w to nie uwierzę! — boleśnie jęknął Ziółko.

— Taka jest rzeczywistość — major bezradnie rozłożył ręce. — Przykro mi, ale muszę pana zatrzymać pod zarzutem kradzieży. Tym bardziej że ta niegodziwa kobieta twierdzi, że nigdy pana nie widziała na oczy, a my nie mamy powodów jej nie wierzyć.

— Już to major sprawdził? — chciał wiedzieć Ziółko.

— Sprawdziłem. Jak to było naprawdę z tą bransoletką?

— Panie majorze — zaczął z namaszczeniem. — Ja tej bransoletki nie ukradłem. Ze zgrozą zobaczyłem ją dopiero wtedy, gdy podczas rewizji milicjanci znaleźli ją w moim płaszczu. Nie wiem, skąd się wzięła... Może mi ją ktoś podrzucił przez złośliwość?

— Nudzi mnie pan — ziewnął major. — Jak się pan zdecydował na trzeci wariant opowiadania, to proszę mi dać znać przez profosa aresztu.

— Zawiodłem się na panu, majorze — westchnął z bólem Ziółko, opuszczając gabinet Korosza w asyście brutalnego kaprała. — Nie ukradłem tej bransoletki, mimo że pozory

37 -

świadczą przeciw mnie! — zawołał Ziółko, odwracając się w drzwiach.

Milicjant energicznie pomógł mu opuścić gabinet majora.

— Mamy pierwszego fanatyka sztuki — zawiadomił pułkownika Korosz i opowiedział przebieg rozmowy z wytwor-

nym Ziółko.

— Ile kradzieży na wystawie możesz mu udowodnić?

— Jedną.

— Skromnie — skrzywił się Lis.

— Nie rozumiem, dlaczego on tak głupio łąże?

— Poradź się wróżki — mruknął Lis. — Czy to samo zeznał do protokołu?

— O ukochanej kobiecie odmówił zeznań, ale że nie wie, skąd się znalazła bransoletka w jego kieszeni, to podpisał.

— Kogo masz oprócz Ziółki?

— Jeszcze dwóch. Brak im alibi na dzień wystawy, ale nie przewiduję znalezienia dowodów.

IV. Jedynaczka dyplomaty

Megafony dworcowe zapowiedziały:

— Pociąg pośpieszny do Zakopanego — przez Kielce, Kraków — stoi na torze pierwszym przy peronie D.

Wskazówki zegara nad wejściem wskazywały, że do odjazdu zakopiańskiego pociągu pozostało pięć minut.

Wielka, ponura hala Dworca Głównego w Warszawie pełna była śpieszących się ludzi. Przebiegali numerowi obwieszeni bagażem, okienko informatora oblegał niesforny tłum. Mniej cierpliwi rezygnowali z oczekiwania na zasięgnięcie języka w informacji i szukali na własną rękę potrzebnych wiadomości. W ogólnym pośpiechu i nerwowości tylko bileterzy byli opanowani, spokojni. Wiedzieli, z jakiego toru odjeżdża jaki pociąg, gdzie stoi automat z biletami peronowymi, którędy się idzie do restauracji pierwszej klasy. Sprawdzając bilety, równocześnie informowali podróżnych chętnie i wyczerpująco. Megafony zapowiedziały podstawienie ekspresu do Paryża.

Razem z kłębami mroźnej pary wlała się nowa fala podróżnych. Niektórzy strząsali z siebie śnieg, inni, przeciskając się i potracając ludzi, biegli do okienka po bilety.

Przy kasach uformowały się długie kolejki.

Do pierwszej z brzegu kasy podbiegła, utykając, lekko zdyszana dziewczyna. Spod białej chusteczki wymykały się ciemne, puszyste włosy. Postawiła oklejony różnokolorowymi nalepkami neser, rzuciła nań rękawiczki i mnąc w dłoni czerwone banknoty stużłotówek, zaczęła z determinacją przeciskać się do kasy.

Karna kolejka podróżnych na chwilę oniemiała. W złowrogiej ciszy rząd ludzi zwarł się w milczącym, solidarnym po-

- 39 -
rozumieniu — nie było szczeliny, w którą intruz mógłby się wcisnąć.

Młoda kobieta poprzez ramię mężczyzny stojącego przy samym okienku cisnęła przed kasjerkę swoje zmięte setki.

— Zakopane, pośpieszny, pierwsza klasa! — zawołała gorączkowo.

Mężczyzna przy okienku, suchy, nerwowy pan, spojrzał

z naganą na bezceremonialną niewiastę.

— Bardzo pana przepraszam — dotknęła jego rękawa ma-
leńką, delikatną dłonią. — Miałam wypadek w drodze na dwo-
rzec... Urwał mi się obcas... Zakopiański pociąg zaraz odje-
dzie, a ja muszę jechać — powiedziała błagalnie.

Nerwowy pan przesunął oczyma po sylwetce intruza.

Dziewczyna miała zaróżowioną, bardzo młodą twarz, rozpię-
te futerko i płyciutkie, eleganckie pantofelki. U jednego z nich
rzeczywiście brakowało obcasa.

Nerwowy pan życzliwie zrobił miejsce przy kasie i odsu-
nął swoje pieniądze, dając pierwszeństwo intruzowi. Tego by-
ło za wiele oczekującym — zawrzało.

— Tu jest kolejka! — oznajmiła z naciskiem pulchna blon-
dynka opięta szczelnie w malinowe elastiki.

— My też czekamy — poparł ją grubas, dziesiąty w kolej-
ce.

— Pani miała przykry wypadek. — Mężczyzna przy kasie
wziął intruza w obronę. — Odpadł jej obcas od pantofelka —
wyjaśnił pojednawczo.

— Pantofelka! — powtórzyła z sarkazmem blondynka. —
W podróż należy ubierać się stosownie — zaopiniowała złym
głosem, świdrując oczyma smukłą sylwetkę intruza. Wysu-
nęła godną atlety nogę w czarnym buciku z cholewką. Mali-
nowe elastiki bezlitośnie obcisnęły pękate biodra i krótkie,
potężne łydki.

Młodzieniec — jakich pełno na dworcach, w przekrzywio-
nej czapce i z rękami w kieszeniach — ironicznie przymrużył
oczy i ostentacyjnie przyjrzał się „malinowym elastikom”. Na
jego twarzy pojawił się obraźliwy grymas.

— Pani powinna nosić habit! — powiedział głośno.

W kolejce rozległy się tłumione śmiechy. Sprowokowana
blondynka podjęła wyzwanie.

— Dlaczego? — zapytała niemądrze.

— Żeby to ukryć! — Młodzieniec ruchami dłoni narysował
w powietrzu kształt jej bioder.

— Łobuz! — pisnęły malinowe elastiki.

Kolejka znowu zawrzała, rozległy się śmiechy, głosy pełne
oburzenia pod adresem bezczelnego młodzieńca, padło kil-
ka ogólnych uwag o dzisiejszej młodzieży. Z temperamentem
wygłaszano kontrowersyjne opinie.

W ogólnym podnieceniu zapomniano o sprawcy tego za-
mieszania, dziewczynie w rozpiętym futerku, która kupiła bi-
let i niezauważona odeszła.

Do kasy dotarł właśnie grubas, który niedawno protesto-
wał przeciwko „intruzowi”, zażądał biletu, sięgnął po port-
fel... niestety nie znalazł go. Ze wzrastającym zdenerwowa-
niem bezskutecznie obszukiwał kieszenie.

— Okradziono mnie — jęknął w panice.

— Proszę dobrze poszukać — doradziła kasjerka.

— Nic z tego, szukałem — grubas, stojąc bezradnie, zata-

rasował okienko.

— Proszę szybciej kupować bilety! Nam się śpieszy! — niecierpliwił się ktoś stojący dalej.

— Co się stało? — zainteresował się mężczyzna z plecakiem.

— Okradziono mnie — ocknął się delikwent.

— Trzeba wezwać milicjanta!

— Proszę odsunąć się od okienka...

— Gdzie jest milicja?!!

Rząd ludzi przed kasą zafalował, pośpiesznie sprawdzano zawartość kieszeni, dotykano portfeli, trzaskały zamki damskich torebek.

- 40 -

- 41 -

— Gdzie moja walizka? — pisnął histerycznie kobiecy głos.

— Trzyma ją pani w ręku...

— Mnie też zginęły pieniądze!...

— Ludzie, nie róbcie paniki — uspokajał jakiś mężczyzna.

— Odsunąć się od kasy!...

Wreszcie wśród podekscytowanych ludzi zjawił się przedstawiciel porządku w stopniu plutonowego. Kolejka do kasy złamała się i otoczyła drobnego chłopaka z paskiem pod brodą.

— Kogo okradziono? — Plutonowy z marszem na twarzy bystro zlustrował grupę ludzi.

— Mnie — jęknął w nagłej ciszy grubas.

— I mnie... — odezwał się zboląły drugi głos.

— Proszę ze mną — zażądał plutonowy.

— Ja muszę jechać do Gliwic — oznajmił płacząco grubas.

— Za co pan kupi bilet? — przytomnie zapytał plutonowy.

— Tu się kręcił taki chuligan, to na pewno złodziej — mściwie poinformowały „malinowe elastyki”.

— Proszę ze mną — plutonowy zwrócił się do blondynki.

— Poda pani jego rysopis.

Okradzeni i świadkowie w towarzystwie plutonowego poszli w stronę komisariatu dworcowego.

Ciemnowłosa dziewczyna, śpiesząca się na zakopiański

— pośpieszny, nie zdążyła na pociąg. W dworcowej restauracji zamówiła kawę, zdjęła uszkodzony bucik — obejrzała go z zainteresowaniem. Z neseseru wyjęła drugą parę pantofli i zmieniła obuwie. Bez pośpiechu wyszła z restauracji przejściem wiodącym wprost na peron.

Na najbliższym torze stał ekspres do Paryża. Luksusowe, piękne wagony połyskiwały w świetle lamp ciemnym granatem. Podróżni bez pośpiechu zajmowali miejsca, tuż za nimi numerowi lokowali bagaż. Rozbrzmiewały różnojęzyczne rozmowy.

Ciemnowłosa dziewczyna niezdecydowanie patrzyła w okna Wagonów.

Wysoki mężczyzna w skórzanym płaszczu otoczył ją niespodziewanie ramieniem i lekko uniósł. Ze śmiechem postawił ją z powrotem na peronie, nachylił się — dziewczyna sięgała mu do ramienia — i pocałował ją w czoło.

— Nareszcie jesteś—wziął z jej rąk neseser, znowu otoczył ją ramieniem i podprowadził do stopni wagonu. Jej wiotka figurka wydawała się jeszcze bardziej filigranowa przy tym rośłym mężczyźnie.

Megafony zapowiedziały odjazd ekspresu Warszawa-Paryz. Rozległ się gwizdek dyżurnego ruchu odprawiającego pociąg.

Dziewczyna stała w otwartym oknie przedziału, zapatrzona w oddalające się wolno światła dworca.

Mężczyzna łagodnie odsunął ją i zamknął okno. Usiadła bez słowa.

— Dzisiaj grasz — uśmiechnął się do niej.

— Mam straszną tremę, boję się, że nie potrafię — powiedziała z lękiem.

Zmarszczył brwi i obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

— Jesteś bardzo młoda, okropnie młoda — westchnął z naganą. — Zdejmij ten pierścionek z turkusem. Na kilometr widać, że to imitacja.

Posłusznie ściągnęła z palca pierścionek z błękitnym oczkiem.

— Wstań!

Wstała i przeszła się po przedziale. Miała drobną twarz, wielkie, zielone oczy, ciemne, zrosnięte brwi. Była zgrabna, długonoga, ubrana ze spokojną, dostatnią elegancją. Miała wdzięk, poruszała się z gracją.

- 42 -

43

— Siadaj — rozkazał. Podał jej papierosa i ogień. — Masz być spokojna, powściągliwa, kulturalna. Żadnego slangu, pamiętaj. Weź pieniądze — podał jej plik pięćsetek. — Ułóż je tak w portfelu, żeby było widać. Zaraz przejdiesz do restauracyjnego. Zamówisz drogą kolację, możesz być leciutko roztargniona, nie za wiele... może ci upaść portfel... dobrze byłoby, aby banknoty wypadły.

— Ciągłe się boję, że nie potrafię — powiedziała błagalnie.

— Bez hysterii — upomniał ją surowo. — Wiesz, że tego nie lubię.

— Postaram się — zapewniła gorąco.

— Daj bilet — zażądał.

Podawała mu beżowy kartonik. Mężczyzna pogładził ją po gestych, lśniących włosach.

— Powtórz sobie zasady, mała. Spotkamy się w restauracyjnym.

Wyszedł z przedziału, roztargnionym spojrzeniem przebiegł po twarzach pasażerów. Mijał puste korytarze, zaglądał do przedziałów. Ekspres szedł już pełnym biegiem, miarowo postukiwały koła.

Wreszcie spotkał znajomego. Dostrzegł go przez szybę mijanego przedziału. Gestem zaprosił go na korytarz.

— Co za spotkanie! — zawołał z przesadną radością.

— Witam — mruknął tamten bez entuzjazmu.

— Dokąd pan jedzie? — dowiadywał się.

— Zamierzałem do Paryża, ale zdaje się będę musiał wysiąść dużo wcześniej — powiedział z bladym uśmiechem.

— Radzę na najbliższej stacji — zaznaczył z naciskiem mężczyzna.

— Nie można przynajmniej do Łodzi? — poprosił tamten.

— Wykluczone — potrząsnął głową. — A to... na kawę — podał swemu rozmówcy dwie pięćsetki.

Znajomy z westchnieniem popatrzył na banknoty, niezdecydowany trzymał je przez chwilę w dłoni, potem, ociągając się, schował do wewnętrznej kieszeni.

— Zupełnie nie dajecie żyć — zrezygnowany pokiwał głową.

— Życie nie kończy się na międzynarodowych ekspresach

— stwierdził mężczyzna. — Żegnam — uniósł rękę w geście pozdrowienia.

Znowu przemierzał korytarze, zaglądał do przedziałów pod byle pretekstem. W złączach wagonów otarł się o zażywnego starszego pana.

— Cześć, Złoty — wyciągnął dłoń na powitanie. Starszy pan nie wyjął rąk z kieszeni.

— Witamy się bez podawania rąk — powiedział z brzydkim grymasem.

Mężczyzna nie wydawał się dotknięty niegrzecznym zachowaniem Złotego.

— Wsiądziesz na najbliższej stacji — zawiadomił go.

— A jeżeli nie? — W oczach Złotego zamigotały przekorne błyski.

Pominał to pytanie milczeniem, wyjął dwie pięćsetki i bilet kolejowy.

— Tysiączek na drobne wydatki i bilet do Zakopanego — oznajmił, podając banknoty i kartonik. — Bilet na pośpieszny pierwszej klasy — wyjaśnił.

— Kpiny? — Złoty nie wyjął rąk z kieszeni. — Pośpieszny do Zakopanego dawno odszedł, poza tym nie jesteśmy na dworcu Warszawa Główna. Ekspres jest w biegu pół godziny.

— Do Zakopanego będzie następny po północy. Z najbliższej stacji zdążysz. Dobrze ci radzę.

— Nie proszę o radę.

— Bierz pieniądze i... do zobaczenia.

— Schowaj te groszaki i zajmij się swoimi sprawami — po-

wiedział spokojnie Złoty.

— Właśnie to robię.

— Nie zajmuj się moją skromną osobą, to nie dla ciebie zajęcie.

— Życzę sobie, abyś opuścił pociąg!

— A ja sobie życzę, żebyś poszedł do diabła — powiedział bez złości Złoty. — Nudzisz mnie — wyjaśnił dobrodusznie.

— Ten upór ci się nie opłaci — zagroził mężczyzna.

— Słuchaj, jadę do Poznania i żadna siła nie zawróci mnie z drogi, a najmniej twoje groźby. Więc nie zużywaj energii na próżno. Adieu! — Bez pośpiechu minął go i poszedł, nie oglądając się, korytarzem wagonu.

Mężczyzna uczynił gest, jakby go chciał zatrzymać, ale oparował się. Wsparł łokcie na metalowej poprzeczce okna i odprowadził wzrokiem zażywną sylwetkę Złotego. Potem poszedł do wagonu restauracyjnego.

Ciemnowłosa dziewczyna już siedziała przy czteroosobowym stoliku, naprzeciw dwóch panów. Na śnieżnym obrusie stały półmiski z przekąskami. Przy nakryciu kobiety połyskiwało czerwienią wino w cienkim szkle. Panowie popijali jakiś trunek z małych, pękatych kieliszków.

Pytali o coś dziewczynę, ich twarze zdradzały życzliwe zainteresowanie. Odpowiadała im powściągliwie, ze zdawkowym, pełnym rezerwy uśmiechem.

Mężczyzna, stojąc w przejściu, z roztargnieniem powiódł oczyma po twarzach ludzi zajmujących stoliki i wyczekawszy moment, gdy jeden z partnerów młodej kobiety spojrział w jego stronę, skłonił się jej z szacunkiem.

Dziewczyna zapytała o coś swoich towarzyszy, a potem zrobiła zapraszający gest w jego stronę. Zawahał się chwilę, zanim podszedł do stolika.

— Mój znajomy — przedstawiła go, nie wymieniając nazwiska. — Panowie byli tak uprzejmi, że przygarnęli mnie do swego stolika.

Po wymianie grzeczności z obu stron, z których wynikało, że wszystkim jest niezmiernie przyjemnie, mężczyzna zamówił dla siebie kolację.

— Pani znowu do Paryża? — W głosie mężczyzny drgnęła leciutka nutka zazdrości.

— Tym razem na dłużej — skinęła głową.

— Przerwała pani studia?

— Studia skończę w Paryżu, oczywiście jeżeli mego ojca nie przeniosą w ciągu najbliższych dwóch lat na inną placówkę.

— Co ma pani przeciwko warszawskiemu uniwersytetowi? — zażartował.

— To mój rodzic ma coś przeciwko mej samotności w Warszawie. Uważa, że mogę stać się zbyt samodzielna... ze szkoda dla studiów.

— Oczywiście nie ma racji — wtrącił jeden z przysłuchujących się panów.

— Najwyżej... troszeczkę — ze skruchą przyznała dziewczyna.

Potoczyła się rozmowa. Dwaj sympatyczni panowie — handlowcy jadący do Wiednia — odnosili się do młodziutkiej, pełnej wdzięku dziewczyny z protekcyjną życzliwością, z jaką większość ludzi dojrzałych traktuje ładne i trochę rozpieszczone młode kobiety.

Wszystkich mężczyzn ubawiła stanowczość odmowy studentki, gdy jej znajomy chciał uregulować rachunek również i za jej kolację.

Gdy w pośpiechu wyciągała z torebki banknot, aby podać go kelnerowi, wypadł jej portfel i jego zawartość rozsypała się po podłodze wagonu. Kelner i jej towarzysze pozbierali pieniądze. Maskując speszenie z powodu swej niezręczności, niedbałym ruchem zgmiotła plik banknotów i wepchnęła byle jak do płaskiej, eleganckiej koperty.

Na towarzyszach podróży rozpieszczona jedynaczka dyplomaty zrobiła wrażenie, że nie przywiązuje zupełnie wagi do wartości pieniędzy, nie znając wysiłku ich zarobienia. To-

- 46 -

- 47 -

też nie byli zaskoczeni, gdy na ich zaproszenie do bridża po kolacji zaproponowała pokera.

Jedynie znajomy dziewczyny zgorszył się żartobliwie.

— Proszę nie psuć zabawy — poprosiła błagalnie. — Już niedługo mój ojciec postara się o to, żebym nie czuła się zbyt dorosła. — Pokiwała głową z komicznym przekonaniem.

Wreszcie całe towarzystwo wśród żartów przeniosło się — na zaproszenie dziewczyny — do przedziału przez nią zajmowanego.

Rozpoczęła się gra. Zaczęto od niewielkich stawek. Z początku wszyscy grali chłodno, trwał jeszcze nastrój, jaki towarzyszył im przy kolacji. Uwaga panów mimo woli dzieliła się między pokera a dziewczynę, która ze skupionym wyrazem twarzy, niczym pilna uczennica na egzaminie, zajmowała się wyłącznie grą.

Po kolejnym rozdaniu i licytacji dziewczyna dostała pokera, zagarnęła cały bank i zaczęła się wyraźnie hazardować. Z błyszczącymi oczyma i wypiekami na twarzy zaczęła grać bardzo śmiało, drapieźnie, podwyższała stawki... Dopisywało jej szczęście.

Po dwóch godzinach nikt nie pamiętał, że jednym z partnerów jest rozpieszczona młoda dziewczyna. Naprzeciw siebie siedziała czwórka rozemocjonowanych graczy, rosło napięcie — wzrastały stawki.

Dziewczynie sprzyjało szczęście. Wygrywał również jej znajomy.

Partnerzy, ogarnięci emocją, niejasno uświadamiali sobie, że młodziutka studentka jest tęgim graczem i mimo błyszczących oczu i wypieków na twarzy potrafi zachować lodowaty

spokój. Zaczynając grę, byli pewni, że biorą udział w niewinnej zabawie, a nie wiadomo kiedy dali się wciągnąć w ostry hazard — ale były to zaledwie strzępki myśli.

Około północy znajomy studentki zaproponował przerwanie gry.

— Nie, nie! — zaprotestowała. — Pan jest wygrany, decyzja o przerwaniu gry należy do panów. Może panowie chcą jeszcze grać? — zapytała.

Panowie nie chcieli, zdali sobie sprawę, że przegrali kilka tysięcy złotych. Poczuli do pięknej dziewczyny niejasny żal, do którego za nic na świecie nie przyznaliby się nawet przed sobą.

— Jutro poprosimy o rewanż — skłonił się jeden z partnerów.

— Ależ oczywiście — zgodziła się dziewczyna.

Ale nazajutrz nie było rewanżu. Po północy jedynaczka dyplomaty i jej znajomy, niezauważeni przez nikogo, wysiedli w Poznaniu.

- 48 -

V. Złoty Polo

Padał gęsty śnieg. Wielkie płatki wirowały w kręgach światła ulicznych latarni. Na przystanku na ulicy Czerniakowskiej zatrzymał się pojedynczy, prawie pusty wagon nocnej linii tramwajowej „33” —jedeny łącznik o tych późnych godzinach między centrum Warszawy a Sadybą i Wilanowem.

Motorniczy, okutany w kozuch, usiłował przebić wzrokiem zalepioną szybę wozu. Ale poza mdłymi plamami mijanych latarni, nie widział prawie nic. Prowadził wóz na wycucie, znanym na pamięć szlakiem.

Za zasłoną oddzielającą motorniczego od pomostu kiwał się pijak — usiłując ze zmiennym szczęściem zachować równowagę. Wiódł przy tym nieustanny monolog monotonnym, przerywanym czknięciami głosem. Motorniczy od czasu do czasu pytał go, gdzie wysiada. Bez zniecierpliwienia, ot tak, dla spokoju własnego sumienia, bo pijaczyna tym tramwajem robił już trzeci kurs. W zasadzie należało go wysadzić z wozu, ponieważ za dwa kursy nie płacił, ale nie miał już ani grosza, a załoga tramwaju nie miała serca porzucić go w taką pogodę — ledwo trzymającego się na nogach — w bezludnych okolicach miasta.

— Niech jeździ — machnął ręką konduktor. — Otrzeźwieje, to przypomni sobie, gdzie mieszka. A tak... jeszcze zamarnie.

I pijak jeździł, nie wadząc zresztą nikomu.

Konduktor sennie liczył i owijał w papier słupki bilonu.

Na przystankach coraz to jakiś pasażer przechodził na pomost tramwajowy, mocował się chwilę z ciężkimi drzwiami wagonu, by zanurzyć się w białej, cichej pustce peryferyjnej dzielnicy.

- 50 -

Niebawem w wagonie pozostał tylko jeden pasażer — pijany na pomoście.

Tramwaj hamował przy niewidocznym przystanku. Konduktor z przyzwyczajenia półgłosem zawołał:

— Czerniakowska, cmentarz!

Na pomoście pijany przerwał monolog i, przechyliwszy głowę, szklanymi oczkami zapatrzył się w głąb oświetlonego wagonu.

— Cmee...ntarz?... To ja wysiadam — zdecydował. — Ja tu mieszkam przy cmentarzu — objaśnił.

Zaczął niezgrabnie gramolić się z tramwaju. Potknął się na oślizłym stopniu wagonu i, straciwszy do reszty równowagę, runął twarzą w miękki puch śniegu. Wsparł się na rozcapierzonych dłoniach, podciągnął kolana i dźwignął się na czworaki. Ale wtedy opadła mu na oczy czapka.

Z początku motorniczy ze stoickim spokojem obserwował te bezowocne praktyki, ale gdy pasażer zniechęcony wysiłkiem znieruchomiał na śniegu, z nogą umieszczoną zbyt blisko torów, z westchnieniem przywołał konduktora.

— W płaskorzeźbę — zaopiniował konduktor, oglądając ze znanstwem pijaka.

— Co z nim zrobić? — zmartwił się motorniczy. — Chyba brać z powrotem? Niech jeździ!

Ale konduktor wyszedł z wozu, pochylił się nad pijakiem i pomógł mu wstać.

Dotarli wreszcie, nie bez trudu ze stron obu, do najbliższych sztachetek. Tu tramwajarze pozwolili mu na samodzielność, przyglądając się przez chwilę, jak sobie radzi. Ale radził sobie zupełnie dobrze, widać było, że ma dużą praktykę w poruszaniu się przy pomocy płotu. Uspokojeni co do losu pasażera, szybko wracali do wozu.

Nie zdążyli dojść do tramwaju, gdy dogonił ich utyłany w śniegu pijak. Ostatnie kilka metrów, gdzie nie było się o co wesprzeć, przebył, raczkując. Chwycił motorniczego za płu kożucha.

51

— Duch... straszy — zakwilił przerażony. Tramwajarze mieli już tego dość. Konduktor potrząsnął kłopotliwym pasażerem i zagroził, że teraz nie odprowadzą go nawet do płotu.

— Deliryk — sapnął ze złością motorniczy.

— Jak Boga kocham, duch... — Pijkowi ze strachu minęła czkawka. — Jęczy... jak Boga kocham! — walnął się w pierś pijak.

Tramwajarze spojrzeli na siebie, poruszył ich niekłamanym strach w tonie pijaka. Zostawili go swemu losowi i poszli szybko jego szlakiem.

Zza cmentarnego parkanu dobiegł cichy jęk. Przez chwilę nasłuchiwali. Jęk powtórzył się.

— Jest tam kto?! — zawołał motorniczy. Zrobiło mu się nieswojo w tej pustce zasypywanej śniegiem.

— Ra...tuj...cie —jęknął ktoś zza parkanu.

Rozejrzeli się za jakimś wejściem. Ale już znalazł się obok nich pijak. Widocznie powietrze otrzeźwiło go, poruszał się o własnych siłach. Wskazał furtkę.

Nim dotarli do miejsca, z którego docierał głos, pijak już klęczał nad leżącym, przysypanym śniegiem człowiekiem. — Koleś, wstań — przekonywał. — Zamarzniesz albo cię zabiorą do „żłobka"... Wstań — usiłował dźwignąć leżącego. Ale mężczyzna nie mógł wstać ani o własnych siłach, ani przy pomocy tramwajarzy. Był ciężko pobity. Miał twarz zalaną zakrzepłą krwią, pokaleczone ręce i bezwładne nogi. — Kto cię tak urządził, koleś? — dowiadywał się ze współczuciem pijak.

Mężczyzna z wysiłkiem poruszył opuchniętymi wargami. Motorniczy ściągnął z siebie kozuch i rozpostarł go na ziemi. Razem z konduktorem ułożyli na nim rannego i ponieśli go na tak zaimprovizowanych noszach wprost do tramwaju.

Ułożyli go na podłodze wozu. Rozejrzeli się bezradnie. Czerniakowska była pusta.

52 -

— Trzeba jechać — zdecydował motorniczy. — Może znajdzie się na Sadybie jakiś samochód.

Kiedy tramwaj ruszał, wgramolił się do niego pijak.

— Będę za świadka — oznajmił tramwajarzom.

— To trzymaj mu głowę — polecił konduktor — żeby nie rzucało.

Motorniczy szybko poprowadził wóz. Nie zatrzymywał się na mijanych przystankach.

Na Sadybie nie było żywej duszy.

Tramwaj błyskawicznie objechał pętlę i pomknął w kierunku miasta.

W oszklonej budce dyspozytorskiej MPK dyżurny popijał z kubka gorącą kawę. Nad elektrycznym piecykiem grzał czerwone dłonie milicjant. Płaszcz miał wilgotny od roztajającego śniegu.

Tramwajarze z rumorem wpadli do dyspozytorni.

— Gorącej kawy? — zaproponował dyżurny, wskazując wielki nikłowy termos.

Konduktor i motorniczy otoczyli sierżanta.

— Ludzi mordują na tym pustkowiu, a milicji ani śladu — powiedział porywczo motorniczy.

Krótko, trochę bezładnie opowiedzieli swoją przygodę. Do dyspozytorni wtoczył się pijak.

— Jęczy... — zawiadomił. Spozrzegł milicjanta. — Panie władzo, jak on jęczy... nie mogę — ścisnął skronie rękoma.

Sierżant łączył się telefonicznie z Pogotowiem Ratunkowym.

— Mówi posterunkowy Nr... proszę o skierowanie karetki... tak, ranny...

Następnie porozumiał się z dyżurnym komisariatu na Sa-
dybie.

— Przeniesiemy go tutaj — zdecydował milicjant, odkła-
dając słuchawkę.

53

Tramwajarze z milicjantem pośpieszyli do wozu. Kozuch
motorniczego jeszcze raz spełnił rolę noszy.

W budce dyspozytora milicjant przyjrzał się twarzy ran-
nego. Leżący mężczyzna otworzył jedno zapuchnięte oko —
drugie tonęło w wielkim, fioletowym sińcu.

— Stary znajomy — skrzywił się milicjant. — Kto cię tak
urządził, Żłoty Polo? — Pytanie było czysto retoryczne.

Z wyciem syreny zatrzymała się przed budką dyspozyto-
ra karetka pogotowia, a w chwilę później nadjechał milicyj-
ny radiowóz.

Ranny został zabrany i niebawem karetka pogotowia ru-
szyła z powrotem. Motorniczy poprowadził dalej swój tram-
waj. Pozostał konduktor — miał wskazać miejsce, w którym
znaleźli rannego człowieka. Mimo gotowości otrzeźwionego
pijaka, milicjanci nie dowierzali jego pamięci.

Funkcjonariusz z posterunku na Czerniakowskiej, wycho-
dząc z budki na przerwany obchód, coś sobie przypomniał i za-
wrócił od drzwi. Wykręcił numer inspektora Korosza.

— Mówi sierżant... Przed chwilą znaleziono w okolicach
Czerniakowskiej ciężko pobitego człowieka... niewątpliwie
napad.

— Zameldujcie w dzielnicy — powiedział niezupełnie obu-
dzony major.

— Już prowadzą czynności — zawiadomił sierżant.

— To bardzo ładnie, dobranoc — ziewnął Korosz.

— Inspektorze! — zawołał sierżant. — Doliniarz, to zna-
ny doliniarz!

— Jaki znów doliniarz? — Major był zdecydowanie śpiący.

— Ten pobity! To Żłoty Polo — znany kieszonkowiec.

Rano major natychmiast przyjechał do szpitala, w którym
leżała ofiara nocnego napadu, znana milicji jako Żłoty Polo.

Lekarz objaśnił inspektora, że pacjent czuje się lepiej, po-
leży wprawdzie kilka tygodni, ale można z nim rozmawiać.

Polo, spowity białą gazą bandaży, odpowiadał na pytania
majora bardzo chętnie, tylko że inspektor nie dowiedział się
od niego nic ponad to, co już wiedział z protokołu.

Wieczorem, około północy, Polo wstąpił do „Sielanki” na
Czerniakowskiej, gdzie zjadł kolację. Później poszedł do do-
mu. Pogoda była paskudna, nie było tramwaju ani taksówki na
postoj. Mieszka niedaleko, więc poszedł pieszo. Napadnięto
go niespodziewanie, nie wie, czy napastnik był jeden, czy było
ich więcej. Nie ma pojęcia, jak wyglądali. Po uderzeniu w tył
głowy stracił przytomność, ocknął się dopiero na cmentarzu...

Znaleźli go tramwajarze i ten pijak... nie, nic mu nie zginęło,
bo Bogiem a prawdą poza dokumentami nic nie miał.

— Co pan robił cztery dni temu w ekspresie Warszawa-Paryż? — zapytał major.

— Jechałem — powiedział Polo.

Major pomyślał, że nie można odmówić logiki temu stwierdzeniu.

— Jechałem do Poznania, do krewnych. Zresztą co będę wyjaśniał; jeżeli pan inspektor wie, że jechałem ekspresem, to już na pewno wie pan, dokąd i po co.

— Koniecznie paryskim ekspresem?

— Lubię komfort, panie inspektorze.

— Były dwie kradzieże w tym pociągu — zawiadomił go major.

— Już się w to nie bawię — gorąco zapewnił Polo. — Zmieniłem upodobania.

— Gdzie pan teraz pracuje? — zainteresował się major.

— Właśnie poszukuję pracy księgowego.

Złoty Polo niezmiennie podawał w dokumentach ten zawód jako „wyuczony”.

Inspektor doszedł do wniosku, że dalsza rozmowa jest bezcelowa i wrócił do Komendy.

Nie czuł rozczarowania, że wypadek ten nie przyniósł mu praktycznie żadnych wiadomości — nie liczył na to. Zainteresował się przygodą Złotego Pola raczej z obowiązku.

- 54 -

- 55 -

Jego usiłowania dotarcia do środowiska nienotowanych jeszcze przez milicję złodziei kieszonkowych, jak dotychczas, zyskały mu tylko wśród kolegów przydomek „Szefa doliny” i przynosiły szereg informacji w rodzaju tej ostatniej.

Po kilku miesiącach nawet posterunkowi wiedzieli, że jeżeli jakie wydarzenie ma coś wspólnego z „kieszonką”, to natychmiast należy informować o tym majora Korosza. Więc informowali. Nocne telefony, zawiadamiające nieraz o błahostkach, nie należały do rzadkości.

W gabinecie majora siedział rozparty Cieślik i ze znużoną miną czytał telefonogramy.

Ostatnie wiadomości z Zakopanego — poinformował. — Ukradziono Szwedowi maszynkę do golenia. Maszynka jest, złodziej ujęty, krzywa spraw wykrytych rośnie.

— Ile zgłoszeń o kradzieżach dzisiaj?

— Niewiele. W hotelach dwie, w międzynarodowych środkach komunikacji trzy.

— Kto to robi? Jak dotąd znamy asy tylko w kartach, Cieślik? Może my się sugerujemy... a to wszystko robią notowani?

— Po tym skandalu na wystawie notowani nie oddychają

— mruknął Cieślik. — Co który popracuje, to „przypudlony”, zresztą sam major wie. A w hotelach, samolotach i pociągach kradną. Weźmy chociażby dzisiejsze zgłoszenia. Pierwsze — ekscentryczna Amerykanka, biżuteria, hotel „Bristol”. Bel-

gijski handlowiec — waluta, hotel „Warszawa”. Dyplomata, prywatny przedsiębiorca i angielski tenor w samolotach Lotu i Sabeny. Kto to robi, Duch Święty?

— Co to za biżuteria?

— Bransoletka, kolia, takie coś na głowę... wyleciało mi z pamięci, jak się to nazywa.

— Diadem — powiedział major.

— ...te klejnoty stanowiły komplet: jeden rodzaj oprawy i kamieni. Charakterystyczne. Poza tym trzy zegarki, jeden nietypowy. Robiony pod fin de siecle, do noszenia na szyi, na długim łańcuszku w złotej kopercie.

— Trzeba przygotować kilka ładnych dziewczyn na wabia

— zdecydował major. — Niech mieszkają w hotelach, jeżdżą samolotami i w ogóle: turystki. Niech obnoszą pierścionki, bransoletki i wszelkiego rodzaju świecidełka.

— To muszą być kosztowne świecidełka, majorze. Na pierścionek wartości tysiąca złotych nasi nieuchwytni nie polecą.

— Muszą być nie tylko kosztowne, ale i CHARAKTERYSTYCZNE! O to niech się martwią nasi jubilerzy. Wybierzcie dziewczęta, poruczniku.

— Może również kilku mężczyzn?

— Co można ukraść mężczyźnie? Pieniądze. Powiedzmy, że zanotujemy numery i serie banknotów. Najwyżej stwierdzimy, że banknoty są w obiegu, że zmieniły właściciela lub kilku właścicieli. Biżuteria, charakterystyczna biżuteria — podkreślił major — musi gdzieś trafić. Na legalny, mniej legalny albo w ogóle nielegalny rynek. Będziemy pilnowali tej biżuterii, może trafimy do paserów, pośredników...

— To trochę jak szukanie szpilki w stogu siana. — Cieślik nie był zachwycony koncepcją majora.

— Macie lepsze propozycje?

Cieślik nie kwapił się z odpowiedzią. Zmienił temat.

— Wie major, jeszcze mój personel w życiu tyle nie tańczył co teraz. A jak tańczą twista! Marino Marini to początkujący neptek1 w porównaniu z moimi chłopakami. Wprost rozkosz patrzeć. Irena ze swoją grupą w „Bristolu”, Jurek w „Grand Hotelu”, Baśka zadaje szyku w „Krokodylu”, reszta po innych knajpach. Nie obsadziliśmy tylko Domu Chłopa, na razie tam nic nie ginie poza nożami, ale to nagminne.

— Jeszcze tam nikogo nie okradli? — nie wierzył major.

I

Neptek — oferma.

- 56 -

57

— Nie. Żyjemy jak złota, bezideowa młodzież — wykrzywił się z udanym wstrętem porucznik. — W nocy płasy, wódka. Rano kąpiel i do łóżeczka... bywa, że nawet nie sami. Nie, nie, majorze — powiedział z niesmakiem. — Żadnych podrywów. Nic z tych rzeczy, co major myśli. Tylko te koszty, bo widać major, karnawałowe bale są niemożliwie drenażowe. Co

pomyśle, że to państwowe pieniądze... to obywatelska dusza we mnie kwili.

— Dowcip wam zmarniał, poruczniku — westchnął major.

— To z przemęczenia — wyjaśnił Cieślik. — Co noc prowadzę światowe życie. Dzisiaj mam według grafiku bal w knajpie w hotelu „Europejskim”, wstęp sto pięćdziesiąt zetów od osoby. Może major przyjdzie?

— Po co?

— Jak to po co? — oburzył się Cieślik. — Popatrzeć na swoich wyrobników. Później Lisek powie, że Cieślik lekką rączką wydawał pieniądze na karnawał dla personelu, a my już mamy dość tych ubawów, my jesteśmy domatorzy, lubimy telewizorek... życie rodzinne... wprawdzie zapracowaliśmy tych pięciu manusów, ale nawet majorowi się nie podobali. Strasznie major wybredny — znani, notowani — przedrzeźniał inspektora. — A my się zużywamy. No co, przyjdzie major? — zapytał z nadzieją w głosie.

Wieczorem inspektor wybrał się na bal. Przed podjazdem hotelu parkował sznur samochodów, rzęsiście oświetlony hall zapraszał do wnętrza. Lokal mieścił się w piwnicy.

Portier złożył pełen uszanowania ukłon i podał majora wzrokiem szatniarzowi, ten zabrał okrycie i skinął na boya; chłopiec hotelowy, bardzo przejęty, przeprowadził Korosza do sali i przekazał maître d'hôtel.

Inspektor ulokował się przy barze. Przyćmione światło, kwiaty, dowcipne dekoracje, wieczorowe sukienki kobiet stwarzały miły nastrój. Sala była pełna, lecz nie zatłoczona.

Orkiestra zagrała twista. Parkiet zapełnił się tańczącymi parami. Major zauważył Cieślika. Porucznik tańczył z bardzo ładną, śniadą dziewczyną w jasnoblękitnej sukience.

Major pomyślał, że Cieślik jest bardzo przystojnym chłopcem i świetnie tańczy, a później, że w tej rozbawionej, pełnej sali praca wywiadowców jest niesłychanie trudna. Na zdrowy rozsądek, w jaki sposób wśród tych eleganckich, kulturalnych ludzi rozpoznać nieznanego złodzieja i nie pomylić się? Majora ogarnęło zniechęcenie.

Gdy orkiestra zamilkła, Cieślik ze swoją błękitną tancerką poszedł do baru. Usiedli obok Korosza, porucznik zamówił coś do picia. Niedaleko porucznika i jego partnerki grupa mężczyzn rozprawiała z ożywieniem, zmieniały się pełne kieliszki, ożywienie wzrastało — rozmawiali o architekturze, o propozycjach nowych miast Lloyda Wrighta nakrywanych przezroczystymi kopułami.

Po prawej stronie majora siadła na stołku dziewczyna. Za nią stanął jej partner — nie było wolnych miejsc. Nikłowe okucie baru odbijało jej pomniejszoną twarz.

Major poprosił o następny kieliszek. Wolno sącząc starą, ukradkiem przyglądał się dziewczynie.

„Bardzo ładna — pomyślał — bardzo ładna i bardzo młoda”.

Dziewczyna miała puszyste, ciemne włosy, zrosnięte u nasady nosa brwi i wielkie, zielone oczy. Wsparła o bar nagie ramiona i z dziecinną ciekawością oglądała etykiety butelek.

— Czego się napijesz? — pochylił się nad nią jej partner.

— Czegoś dobrego — zmarszczyła zabawnie nos. — Czegoś bardzo dobrego!

Inspektor powściągnął uśmiech — podobała mu się ta dziewczyna i ubawił go jej pełen przejęcia, dziecinny ton. Nie zdając sobie sprawy, przysłuchiwał się jednocześnie rozmowie prowadzonej przez grupę mężczyzn i temu, co mówiła dziewczyna. Właściwie nie usiłował zrozumieć, co ona mówi, spodobał mu się trochę śpiewny, melodyjny timbre jej głosu.

- 58 -

- 59 -

Dziewczyna w błękitnej sukience notowała dyktowany przez Cieślaka adres i numery telefonów. Z głośnej rozmowy, jaką prowadzili, można było wywnioskować, że poznali się dopiero dzisiaj i wymieniają adresy.

Jeden z grupki panów, dyskutujących o architekturze, opuścił towarzystwo. Przeciskając się przez zatłoczony bar, potracił majora.

— Najmocniej przepraszam — uśmiechnął się pojednawczo. Dziewczyna, zajęta dotychczas Cieślakiem, odwróciła się do Korosza.

— Czy można? — Wyciągnęła dłoń w stronę pudełka z zapalkami leżącymi na papierosach majora. — Proszę bardzo — inspektor wziął pudełko. W tym momencie ich ręce spotkały się na chwilę i major poczuł w palcach maleńką kuleczkę papieru. Podał dziewczynie ogień, później przeczytał tekst napisany przez Cieślaka.

Architekt, który wyszedł przed chwilą, dokonał kradzieży, proszę o zawiadomienie kolegi, jest w pobliżu windy — pisał Cieślak.

Major wyszedł z sali przejściem wiodącym do hotelu.

W hallu w pobliżu windy i kabin telefonicznych zderzył się z „architektem”; tamten szedł szybko z przeciwnej strony, miał wygląd człowieka zaaferowanego, człowieka, który się śpieszy. Po raz drugi tego wieczoru najmocniej przeprosił majora.

Inspektor dał znak funkcjonariuszowi i dyskretnie wskazał „architekta”, a sam przystanął przed windą.

Widział, jak wywiadowca okazał znak tajnej służby, wziął faceta lekko pod rękę i obaj skierowali się do kabiny telefonicznej. Cała ta scena trwała bardzo krótko, a panowie wyglądali na dobrych znajomych, którzy mają załatwić jakiś wspólny telefon.

Major wrócił do baru. Powiedział w przestrzeń jakieś zdanie, sprawiające wrażenie sentencji wygłoszonej wszem i wobec przez trochę nietrzeźwego gościa, który poczuł potrzebę natychmiastowego podzielenia się swoją myślą z otoczeniem.

W rzeczywistości była to umowna wiadomość dla Cieślaka o zatrzymaniu „architekta”.

Następnego dnia po wieczorze spędzonym w „Europejskiej” major obudził się około jedenastej. Przypomniawszy sobie, że zamówił budzenie na dużo wcześniejszą godzinę. Pamiętał również, że podniósł słuchawkę i sztucznie ożywionym głosem zapewnił panią z biura zleceń, że już nie śpi, że wstał i bardzo dziękuje. Następnie ułożył się na drugi bok i zasnął kamiennym snem.

— Twój pan okłamuje telefonistki — powiedział do kudłatego, brudnobiałego psa, który wolno zszedł z fotela służącego mu za legowisko, przeciągnął się i usiadł na wprost inspektora, patrząc na pana pięknymi, brązowymi oczyma.

Major wychował tego czworonoga od szczeniaka — stał się jego właścicielem w trochę niecodziennych okolicznościach — bardzo się do niego przywiązał, twierdził, że jest to owczarek podhalański i rodowód ma starszy niż Bourboni. Poza tym mówił o nim to, co zwykli mówić właściciele psów, rozmiłowani w swoich pupilach.

Znajomi inspektora, znając jego słabość, pokpiwali, że pies jest przerasowany, ponieważ ma każdą łapę z innej rasy, tchórzliwy i posądzały go o brak psiego charakteru. Mimo że nosił dumne imię Tygrys, nadane mu przez majora, przezywali go Owieczką. Majora z początku trochę to gniewało, ale po pewnym czasie — ponieważ pies reagował również i na to zawołanie — sam przyzwyczaił się do nowego miana i też nazywał go Owieczką.

Owieczka oparł swe potężne łapy o kolana Korosza i gorliwie przejechał po jego twarzy wilgotnym językiem.

Inspektor wypuścił psa na poranny spacer.

- 60 -

61

— Tylko zaraz wracaj! — Owieczka spojrzawszy na pana, powachlował puszystym ogonem i szczechnął krótko, dając znać o przepelniającej go radości.

Major śpieszył się i jak zwykle, gdy musiał wyjść „zaraz”, nie mógł znaleźć spinki do pary, później zapodziała się gdzieś skarpetka, a gdy ją znalazł, z bielizniarki zwieszały się przeróżne sztuki bielizny. Pomedytował chwilę, pomyślał o zrządzeniu gospodyni, zawahał się, po czym zwinął całą bieliznę w kłębek, upchnął i pomógł sobie kolaniem przy zamknięciu drzwi szafy.

Zadowolony z siebie zawiązał krawat i włożył marynarkę.

Do drzwi zadrapał posłuszny Owieczka. Major wpuścił psa i zabrał się do przekładania dokumentów i drobiazgów z kieszeni ubrania, w którym wczoraj był w restauracji.

Owieczka z zapalem asystował przy tej czynności, wściubiając czarny nos w ubranie lub rękę pana.

Z lewej kieszeni marynarki major wyjął portfel z brązowej groszkowanej skóry. Ze zdziwieniem przyjrzał się nieznanemu-

mu przedmiotowi. Nerwowo — nie wierząc własnym oczom — sięgnął po swój, przed chwilą włożony do wewnętrznej kieszeni ubrania. Portfel majora — z czarnej gładkiej skóry — nie zdematerializował się, był na miejscu. Brązowy groszkowany nie był metamorfozą portfela majora, istniał samodzielnie. Inspektor z coraz mniej mądrą miną przyglądał się znalezi-sku. Owieczkę również bardzo zainteresował przedmiot, który tak absorbował jego pana. Wspiął się do rąk majora i bardzo uważnie obwąchał portfel — prędko uznał, że rzecz nie jest warta zachodu i przywarował znudzony.

W portfelu był dowód osobisty Tadeusza S., jakieś kwity i starannie ułożony plik różnych banknotów — razem czter-naście tysięcy złotych.

W tej chwili dopiero major zaczął mętnie rozumieć, skąd znalazł się w jego kieszeni portfel nieznanego człowieka. Ogarnęła go lekka panika, a później bezsilna wściekłość. Jak ścigany przez furie wypadł z mieszkania i trochę wariacko prowadząc swego wartburga, szczęśliwie wylądował na Puławskiej. Brązowy portfel parzył mu skórę.

— Zaspał major po tej szatańskiej zabawie? — powitał go Cieślik.

Inspektor burknął coś niezbyt grzecznego.

— Zaraz się majorowi pogorszy — uprzedził z westchnieniem Cieślik. — Wczoraj w „Europejskiej” na tym balu były dwie kradzieże, a tak w ogóle, grubszych było w całym kraju tylko osiem — popatrzył osowiały na inspektora.

— Co z tym zatrzymanym?

— Nie został zatrzymany — mruknął ze zniechęceniem Cieślik. — Nic przy nim nie znaleziono, nie było podstaw.

— Jeżeli wy łączycie amory z pracą, to nic dziwnego, że takie są wyniki obserwacji. — Major zdawał sobie sprawę, że bezpodstawnie czepia się Cieślika, ponieważ jest wściekły, i poczuł się winny.

— Jakie amory? — zdziwił się porucznik. — Ta dziewczyna to wywiadowca z mojego wydziału. Proszę przyjąć do wiadomości, panie majorze — Cieślik nagle zrobił się oficjalny — że ja amory uprawiam poza służbą i przeważnie nie z dziewczynami ze swego wydziału. — Porucznik był zły. — A ten „architekt” to podejrzany o kradzieże z Gdańska. Jeszcze nie siedział. Jestem pewny, że obrobił faceta, tylko musiał się zorientować, że został zauważony i gdzieś, drań, wyrzucił po drodze ukradziony portfel.

— Może to ten? — Major położył przed wywiadowcą portfel z groszkowanej skóry.

Cieślik sprawdził zawartość i przejrzał dowód osobisty.

— Ten — ożywił się porucznik. — Gdzie go major znalazł?

— U siebie w kieszeni.

Cieślik popatrzył na majora; powściągnął uśmiech.

— Znowu wyższy oficer milicji „zrobiony w konia” — westchnął. W głosie porucznika tym razem nie było kpiny. — Jak

- 62 -

- 63 -

tu żyć — poskarżył się Cieślik. — Co za cholerna sprawa. Bokiem mi wyłazi... cały wieczór miałem tego magika na oku, łobuz ma bokerski refleks. Wiedziałem o tym, w Gdyni jest z tego znany. Piskorz... zawsze się wykręci. Nie mogłem go zatrzymać przy barze... W krótkim czasie znalazły mnie cała dolina i ta, o której wiem, i ci, o których nie mam pojęcia. Już ja go przypilnuję... a najchętniej to bym mu zbił pysk, ale tak na fioletową renklodę! — złościł się Cieślik.

Portfel z pieniędzmi został zwrócony bardzo uradowanemu właścicielowi, który stracił już nadzieję na odzyskanie pieniędzy. Wyraził uznanie dla wspaniałej, jego zdaniem, pracy milicji. Major milczał skromnie.

Dwa dni po historii z brązowym portfelem komendant dzielnicy z Walicowa zawiadomił inspektora, że w ruinach przy ulicy Towarowej, w pobliżu Dworca Głównego, został znaleziony ciężko pobity kieszonkowiec. Po chwili major nie miał już wątpliwości, o kogo chodzi. Był to „architekt” z Gdyni. Jego wyjaśnienia okoliczności napadu nie dały milicji żadnych wskazówek.

— Nie ma pojęcia, kto go napadł — informował komendant dzielnicy. — Nawet nie wie, ilu było napastników, nie mówiąc już o rysopisach...

— Co mu zrabowano? — zainteresował się Korosz.

— Nic. Miał przy sobie sporo pieniędzy, dokumenty, zegarek dobrej marki. Sam również twierdzi, że nic mu nie zabrali. Tylko go zbili... no! na renklodę — uzupełnił komendant. To ostatnie słowo zrobiło na majorze bardzo nie mile wrażenie, poprosił, aby dzielnica przysłała mu szczegółowe sprawozdanie z tego napadu i wezwał Cieślika.

— Co jest z „architektem”? — Major uważnie przyglądał się wywiadowcy.

— Bozia go skarła, N. N. chuligani zrobili mu kuku w ruinach. Ze trzy tygodnie poleży, biedactwo, w szpitalu — westchnął z udanym ubolewaniem. — A swoją drogą, majorze, chuligaństwo szerzy się zastraszająco. Nie pomagają sądy do rażne, ostre wyroki... Zmartwił się major wypadkiem „architekta”? — trzepał porucznik.

— Cieślik, co to za N. N. chuligani?

— Nie wiem — beztrząsliwie wzruszył ramionami porucznik.

— Mam się dowiedzieć? Ale to nie jest zajęcie dla moich ludzi. Takie drobiazgi niech robi dzielnica... ich teren...

— Poruczniku — wycodził major — tego już za wiele... Mylicie się, jeżeli sądzicie, że przymknę na to oczy... to skandal! Nie będę tolerował bandyckich wybryków nawet najlepszego wywiadowcy.

Cieślik zamrugał oczyma i zaniemówił; przez chwilę oglądał rozzłoszczonego inspektora jak ciekawy okaz.

— Major myśli, że to ja mu dałem wycisk? — zapytał nie-

zmiernie zdumiony. — Pułkownik powiedział niedawno, że jestem opryszek, teraz major, że biję kieszonkowców. Jeszcze trochę, a dowiem się, że chodzę z pistoletem po prośbie. Nic mnie już nie może zdziwić... A tego kieszonkowca nie po-
biłem — spoważniał nagle. — Przykro mi, że znając mnie od tyłu lat, możecie mnie podejrzewać o takie numery. Odmeldowuję się — powiedział, wychodząc.

Po tej rozmowie Cieślik przez kilka dni zachowywał rezerwę. Informacje przekazywał sucho, powściągliwie — stracił humor.

Znowu zdarzyły się dwa wypadki pobicia notowanych kieszonkowców. Jeden w porcie szczecińskim, drugi na krakowskich plantach.

Tym razem inspektor nie zlekceważył tych wiadomości.

Zaintrygowała go ta niezrozumiała prawidłowość. Porozumiał się z Wydziałem Taktyki i Techniki.

— Interesują mnie napady na kieszonkowców — zaakcentował ostatnie słowo.

— To bardzo ładnie — pochwalił go kierownik wydziału.

— Dotychczas mamy osiem ślicznych, czyściutkich napadzi-

I

- 64 -

- 65 -

ków. Takich wyłącznie „sztuka dla sztuki”. Właśnie dziwimy się, czyje to hobby...

— Mogliście mnie zawiadomić, mielibyście towarzystwo w dziwieniu się — powiedział z wyrzutem major.

— Widzisz, dotychczas tylko dziwimy się — wyjaśnił kierownik. — A ty na pewno zaraz byś chciał od nas oceny zjawiska. W tym wypadku na razie nic jeszcze nie rozumiemy. Zestawienie jest o tyle ciekawe — informował dalej kierownik — że w każdym z tych wypadków ofiarą padł kieszonkowiec, i to podejrzany lub znany milicji. Trafiają się i recydywiści. Żadnemu nic nie zrabowano. Pieniądze — nieraz znaczne sumy — dokumenty, zegarki — słowem wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, z reguły znajdujemy przy pokrzywdzonych. Natomiast wszyscy otrzymują tęgie lanie, bardzo tęgie. Ale tylko lanie. Żadna szczeka nie uszkodzona, żadna kończyzna nie złamana, wątroba nie odbita. W jednym wypadku delikwent wypluł dwa zęby — ale sędzę, że stało się tak jedynie przez nieporozumienie. Poza tym zgodnym chórem wszyscy twierdzą, że nie wiedzą, kto ich napadł, czy napastnik był jeden, czy było ich kilku. O rysopisach nie ma co marzyć. Słowem — niewidzialne istoty podbijają im oczy.

— Jakież inne prawidłowości? — zapytał major.

— Napady występują w większości w Warszawie, w różnych miejscach i o różnym czasie. Rozumiesz coś z tego?

— Pomyślę — wykręcił się major.

— Myśl, myśl — zachęcił go z dobroduszną kpina kierownik. — Tylko się nie przemęcz.

Korosz wezwał Cieślaka. Przekazał mu wiadomości uzyskane w Wydziale Techniki i Taktyki.

— To już nie jestem bandytą? — chciał wiedzieć porucznik.

— Przestańcie się boczyć — uśmiechnął się inspektor.

— Znów mnie major uwielbia? — skromnie zapytał Cieślak. — To bardzo dobrze. Ja mogę pracować tylko w atmosferze miłości i łagodnego traktowania.

— Co o tym sądzicie, poruczniku?

— Ktoś się uparł wymierzyć sprawiedliwość i robi to w taki prosty sposób. Siódme: nie kradnij, i buch go w oko. Może to jakiś maniak ładu społecznego? Jakiś taki „Zły” Tyrmanda? Mamy sprzymierzeńca, wprowadź wątpliwego, ale jednak.

— Raczej sprzymierzeńców — wtrącił major. — Biorąc pod uwagę fakt, że napady zdarzają się nie tylko w Warszawie i niekiedy w jednym czasie.

Inspektor przypomniał sobie kolację u Dziadka Trucicie-la, ubolewanie Rączki nad upadkiem fachu i swoją żartobliwą radę, aby przeprowadzić weryfikację.

— Może to eliminacje? — zapytał Cieślaka.

Ale to przypuszczenie nie wydawało się prawdopodobne. Ofiarami napadów byli raczej „dobrzy fachowcy” w swoim zawodzie. W żadnym wypadku nie można było uznać ich za „papraczy” albo początkujących. A może dlatego, że byli znani milicji?

— Poruczniku, jak zachowują się weterani? — zapytał major o złodziei, którzy wycofali się ze swego zawodu.

— Jak lilie polne. Można zrobić z nich bukiet i ofiarować świętemu Józefowi. Bo ten staruszek, jak poucza Pismo święte, wprost przepadał za cnotliwym życiem... Nic dziwnego. W pewnym wieku i my będziemy przepadać.

— Trzeba się zająć tymi napadami — przerwał mu major.

— Przejmujemy dochodzenia? — Cieślak nie był zachwycony tym poleceniem.

— Nie, ale włączmy je do naszej sprawy i będziemy nadzorowali. W razie konieczności obserwacje przejmie służba X.

Major obmyślił kilka zupełnie — jego zdaniem — logicznych hipotez na temat napadów na znanych doliniarzy, ale tymczasem nie miał chęci dzielić się nimi z Lisem, a nawet z Cieślakiem. Mimo ogólnego zorientowania w przedmiocie, za mało było tu pewników, żeby móc wyeliminować którekol-

- 66 -

- 67 -

wiek założenie jako błędne, a cóż dopiero uznać jedno z nich za prawdziwe.

Tymczasem minęła zima, przybywało danych statystycznych i szpileczek z kolorowymi łebkami, które oznaczały na mapie miejsca nasilenia kradzieży, przybywały starannie wykonane wykresy, potwierdzające niezbicie fakt, że... kieszonkownicy kradną.

Służba X obserwowała coraz mniej znanych doliniarzy w luksusowych lokalach rozrywkowych, w hotelach i środ-
kach komunikacji — ale nie miało to większego wpływu na
ilość dokonanych kradzieży.

VI. Wirażka

Zacinał ukośny, drobny, dokuczliwy deszcz.

W okolicach warszawskiego Barbakanu było ciemno i pu-
sto.

Od strony Nowego Miasta zbliżały się szybkie, lekkie kro-
ki. Odgłos ich obił się stłumionym echem pod sklepieniem
Barbakanu i ucichł. W ceglanej niszy przysiadła dziewczy-
na. Ruchem śmiertelnie znużonego człowieka podciągnęła
nogi obute w eleganckie pantofelki i wtuliła się głębiej w ka-
mienny wykusz. Wnęka trochę chroniła od ukośnie zacina-
jącego deszczu. Ale kapryśny wiatr zakręcił z innej strony
i fala deszczu dosięgnęła skulonej w niszy postaci. Dziewczy-
na siedziała nieporuszona, odchyloną głowę wsparła o mur,
zamknęła oczy. Nieruchoma, bardzo blada twarz wygląda-
ła jak martwa.

Biała jedwabna chustka, nasycona wilgocią, przylgnęła
jej do twarzy, ciężkie krople deszczu ściekały po czole, przez
moment zatrzymywały się na ciemnych brwiach zrosniętych
u nasady nosa i już bez przeszkód toczyły się po policzkach.
Dziewczyna była przemoknięta, odrętwiała z zimna i zmę-
czenia po wielu nieprzespanych nocach, nie miała chęci ani
siły, aby podnieść się i wyjść z gościnnej niszy Barbakanu.
Zresztą dokąd miała iść?

Była zupełnie sama. Dworcowe poczekalnie. Kto je zna?

Widzieliście dworcową poczekalnię po północy? Gdy się na
nic nie czeka, bo nie będzie żadnego pociągu? Żadnego dla
was. Były złudzenia — lekkie jak dmuchawiec — nie miała
1 Wirażka — wykolejona dziewczyna.

- 69 -

już złudzeń. Dla niej były tylko dworcowe poczekalnie, ławki
w parkach... deszcz — dziewczyna zapadła w półsen.

Od strony Starego Miasta szedł młody chłopak. Deszcz
ściekał po jego brezentowej kurtce i odkrytej głowie. Niósł
pod pachą zniszczoną teczkę, z której wystawały jakieś na-
rzędzia. Gwizdał z przejęciem „Dzieci Pireusu”.

Energiczne kroki rozległy się donośnym echem pod skle-
pieniem Barbakanu.

— O, daj im szczęście i niech im słońce świeci... — gwizda-
na melodia przemieniła się w słowa śpiewane półgłosem.

Nagle piosenka zamilkła, chłopak zatrzymał się — zauwa-
żył wciśnięty w kamienną niszę ludzki kształt. Stał niezdecy-
dowany, później gwizdał przenikliwie, po łobuzersku. Dziew-
czyna leniwie uniosła powieki, nie poruszyła się.

— Dziwcę polskie, ocknij się! — zawołał, przyglądając się
dziewczynie i czekając na efekt swoich słów.

Bezmyślnie wpatrywała się w niego. Chłopak przykucnął

przed nią, wypchaną teczkę oparł o występ muru.

— Jak ci na imię?

— Zuzanna — powiedziała.

Chłopak przypatrywał się jej przez chwilę z ciekawością. Zauważył, że jest przemoczona i sprawia wrażenie niezbyt przytomnej.

„Gówniara jest” — pomyślał, przyglądając się bladej, drobnej twarzy i szczupłym ramionom rysującym się pod lekkim płaszczem.

— Proszę sobie iść — zażądała nagle dziewczyna, grymas ściągnął jej twarz.

— Księżna dostała dwóję w szkole albo kosza od ukochanego i postanowiła zginąć na tym deszczu? Czy tak, proszę towarzyszki następczyni tronu? Chodźmy stąd, bo dostaniemy kataru. Mamusia czeka i już na pewno poruszyła niebo i ziemię w poszukiwaniu swojej latorośli, nie mówiąc o pogotowiu i milicji... Jeżeli to kara dla rodzicielki, to wystarczy... już pierwsza po północy, proszę królowej. — Ujął ją pod ramię.

— Zjeżdżaj, bo rozmiękniesz! — powiedziała z nagłą złością i wyszarpnęła rękę.

— Jej wysokość wykazała już swoją niezależność — roześmiał się pobłażliwie chłopak — a teraz należy pójść do domu. Czy nie lepiej wyręczyć milicję? Gliny przytaszcza cię do mamusi jako nieletnią „moralnie zaniedbaną” i po co ci potem rodzinne lamenty: „Co za wstyd! Nie masz serca dla rodziców!” — naśladował kobiecy, histeryczny głos. — Gdzie mieszkasz, Zuzanna?

Po nagłym wybuchu jej chwilowa energia ulotniła się i dziewczyna siedziała znowu bierna, skulona.

— Nie mieszkam — powiedziała apatycznie.

— Od dzisiaj jesteś bezdomna? Poczekaj na lepszą pogodę. Kto zaczyna życie trampa w marcu? W naszym klimacie?

— skrzywił się z dezaprobatą.

— Przestań klepać, ty znawco! Mój adres to Dworzec Główny. Rozumiesz?

Chłopak gwizdnął ze zrozumieniem.

— Jesteś z Warszawy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Gdzie ostatnio spałaś?

— Na dworcu, ale milicja przepędza.

— Od kiedy jesteś w Warszawie?

— Kilka miesięcy.

— Ile masz lat, Zuzanno?

— Siedemnaście.

— Wyglądasz na zupełnego gówniarza. Przyjechałaś do stolicy na doice vital — pokiwał z politowaniem głową. A tu nie doice, tylko samo vita, i to na dworcach albo w parku na ławce. No, wstawaj! Chodź! — Ujął ją za bezwładne ramiona, pomagając wstać.

— Dokąd mam iść? — Znowu była czupurna.

— W mury, gdzie nie pada, żebyś mogła wyschnąć, topielico.

— Nie mam ochoty na miłość, litościwa osobo! — zawołała z żalonym sarkazmem.

— Kretynka — zaopiniował bez złości chłopak. — Bardziej na księżą oborę patrzysz niż na miłość. Patrzcie ją, cymes, rarytas! A swoją drogą dostałaś nielichą szkołę w tej Warszawie. Chodź — zachęcił łagodnie. — Nikt od ciebie nic nie chce... mała. Jadłaś kolację?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Naprawdę jadła trzy dni temu, ale nie miała chęci mówić o tym temu nieznanemu chłopakowi. W milczeniu wstała z kamiennej wnęki i pozwoliła mu się prowadzić.

— Do siebie cię nie zabiorę, chociaż mieszkam tu blisko na Nowym Mieście, ale moi to straszne harpagony na moralność. „Co sąsiedzi powiedzą?” — naśladował gderliwy kobiecy głos. — Rozumiesz? Moja stara boi się zawsze, co kumy powiedzą. Nie martw się. Pojedziemy do Kwadratowego, to mój koleś. Znamy się od szczeniaka.

Doszli do Rynku Starego Miasta. Chłopak przystanął w pobliżu latarni, wyciągnął i przeliczył pomięte banknoty i bilon.

— Jakie palisz? — zapytał.

— Giewonty.

— Poczekaj tu, skoczę do Krokodyla i kupię fajek. Starczy na papierosy i na gablotę. Tylko czekaj, nigdzie nie idź — upomniał.

Dziewczyna stała nieporuszona w tym miejscu, gdzie ją zostawił, a później przysiadła w kamiennym wykuszu staromiejskiej kamieniczki.

— Knajpiany lokaj — prychnął pogardliwie chłopak, podając dziewczynie paczkę papierosów. — Nie chciał mnie wpuścić. Uważasz? Jego zdaniem jestem źle przyodziany. Mówię, że ja nie na bankiet, tylko po papierosy. To „liberia” — nadepty jak indyk — że papierosy w budce. O pierwszej w nocy, w budce! — kawalarz. W końcu sam przyniósł i podał przez drzwi. Żeby mógł, to by je dał w szczypcach. Jak już miałem fajki w rękę, to mu powiedziałem kilka słów do słuchu... rozdarł się: Chuligan! Taksometrów nie ma — chłopak zmienił temat i rozejrzał się po Rynku — same prywatne. Poczekamy, może coś nadjedzie.

Niebawem zatrzymała się przed Krokodylem taksówka, wysiadło z niej rozbawione towarzystwo. Rozmowny towarzysz Zuzanny podskoczył do drzwiczek, dziewczyna powlokła się za nim.

— Dokąd? — Taksówkarz jednym rzutem oka ocenił zniszczoną kurtkę chłopaka, jego zabłocone, grube traktory i przemoczony, zmięty płaszczyk dziewczyny.

— Na Powązki — powiedział chłopak. — Siadaj — zachę-

cił Zuzannę.

— Nie pojedę — oświadczył szofer.

— Zapłacę podwójny kurs — obiecał chłopak.

— Nie pojedę — pokręcił głową kierowca. — Jeszcze mi życie miłe — zamruczał.

Chłopak zbaraniał na chwilę. Okrągłymi oczyma wpatrzył się w szofera. Z zakłopotaniem potarł nieogoloną twarz, potem wezbrało w nim oburzenie.

— Bandzior jestem, czy co? Bo w roboczym ubraniu i nieogolony? „Liberia” bał się wpuścić, lokajska jego dusza, po papierosy, teraz pan na Powązki się boi. Ludzie, jak rany! Znajdę milicjanta, niech mnie spisze z dowodu i obejrzy gębę, ale ja muszę dziewczynę zawieźć. Moja wina, że na Powązki? Szofer przyglądał się rozzłoszczonemu chłopakowi.

Zmiękł.

— Siadajcie — powiedział. — Ale jak stamtąd nie złapię kursu, to płaci pan powrotny — zawiadomił.

Na Powązkowskiej mijali coraz rzadsze latarnie. Z początku były to smukłe, betonowe jarzeniówki, przy końcu rozświeślały mrok latarnie gazowe, znaczące ciemność żółto-brudnymi plamami.

— Do końca — poinformował chłopak. — Przed baraki dla elementu niepożądanego w stolicy — roześmiał się.

Wysiedli przed długim, niskim barakiem. Nad wejściem żarówka w drucianej siatce rzucała błądy krąg światła na dwa stopnie prowadzące do drzwi. Chłopak szedł pierwszy.

— Uważaj, Zuzanna, bo tu cholerne błoto — przestrzegał.

Weszli do słabo oświetlonego korytarza. Podeszli do jakichś drzwi — wisiała na nich potężna kłódka.

— Poczekaj tutaj. Poszukam Kwadratowego — powiedział niespeszony chłopak.

Wyszedł — szczęknęły drzwi korytarza. Dziewczyna została sama. Rozejrzała się po półciemnym wnętrzu. Pod niskim sufitem korytarza paliła się jedyna żarówka. Jej anemiczne światło padało na chropowatą powierzchnię betonu podłogi, szare ściany długiego korytarza i drzwi... wiele jednakowych drzwi po obu jego stronach, pomalowanych szarą farbą.

Barak sprawiał wrażenie wymarłego. Dzwoniąca w uszach cisza oblepiała, stawała się niemal materialna, nieznośna.

Zuzanna oparła się o ścianę korytarza, zmęczone nogi ugięły się pod nią, jednak nie miała odwagi przykucnąć w tym ponurym miejscu na brudnym betonie podłogi... miała wrażenie, że za chwilę niski, tonący w mroku sufit przygniecie ją, zadusi. Wzdrygnęła się. Zapragnęła nagle, żeby natychmiast wrócił ten wesoły, gadatliwy chłopak. Zdała sobie sprawę, że nawet nie zna jego imienia. A jeżeli to podstęp? — gorące mrówki przebiegły jej po plecach, poczuła kłujące igiełki w koniuszkach skostniałych palców. Zaraz, jak on to powiedział?

„Dla elementu niepożądanego w stolicy” — dopiero teraz

dotarł do niej sens tego zdania.

Sparaliżował ją paniczny lęk. Chciała uciekać i nie mogła oderwać się od szarej ściany. Pułapka! Pułapka!... Dała się chwycić w pułapkę... To życzliwe zainteresowanie... Rozpaczliwie, nieprzytomnie rozglądała się po ponurych, obojętnych drzwiach...

Gdzieś w końcu korytarza rozległy się kroki. Narastały w ciszy, obijały się echem wśród ścian, huczały w głowie Zuzanny — ciężkie, głośnie kroki, kroki, kroki... jeden wielki, złowrogi łoskot.

— Znalazł się Kwadratowy, Zuzanno — dotarł do niej znajomy głos. Podniosła wylęknione oczy, jak automat wyciągnęła przed siebie rękę, bardziej w geście obrony niż powitania. Obok chłopaka spod Barbakanu stał krępy, rzeczywiście prawie kwadratowy młody człowiek, ostrzyżony najeża. Ujął jej lodowatą dłoń w wielką, niezgrabną łapę i energicznie nią potrząsnął.

— Chodźcie — powiedział. — Ona się ledwo trzyma na nogach, Monter.

Zdjął kłódkę z szarych drzwi i przepuścił ich przed sobą. Rozbłysło światło. Dziewczyna obrzuciła spojrzeniem pokój — czyste wnętrze, ciepło i światło uspokoiły ją nieco. Powoli opadał w niej lęk.

Na czerwonej, lśniącej podłodze wokół stóp Zuzanny tworzyła się mała kałuża.

— Z Wisły ją wyciągnąłeś? — zdziwił się Kwadratowy. Pogrzebał w solidnej, orzechowej szafie, wyciągnął sprane dreluchy, koszulę i sweter. Nogą podsunął dziewczynie męskie pantofle.

— Wskakuj — podał jej zawiniątko z ubraniem. Otworzył drzwi szafy, tak, że utworzyły zasłonięty kąt między pokojem a ścianą. — Przebieraj się żywo, bo jeszcze się rozchorujesz. Gdy się przebrała, podsunął jej krzesło do żelaznego piecyka i dosypał węgla. Niebawem piec huczał ogniem.

— Zjadłoby się coś — westchnął Monter.

— Pomału, po ścianie — mruknął Kwadratowy. Kroił chleb i smarował grubo smalcem ze skwarkami. Otworzył klapę

- 74 -

- 75 -

w podłodze i z piwnicy wyciągnął za szyjkę obły gąsiorek. Spojrzał pod światło na jego czerwoną, klarowaną zawartość. Na dnie gąsiorka leżały kulki wiśni.

— Spirytus na wiśniach — oznajmił, nalewając płyn do musztardówek. Napij się, Zuzanna, pomoże na grypę — podał dziewczynie do połowy napełnioną szklankę.

Zuzanna podniosła ją do ust, zawahała się i odstawiła z powrotem. Mężczyźni wypili swoje porcje, pytająco spojrzeli na dziewczynę.

— On dziwnie pachnie — wyjaśniła z wahaniem.

— Jak spirytus — wzruszył ramionami Monter. — A jak

ma pachnieć, rezedą?

— Czekaj — domyślił się Kwadratowy. — Ona sądzi, że to błękitna krew. Tak, Zuzanna?

Skinęła głową — chłopcy się roześmieli.

— Nie, to czysty spirytus, gdzieś są jeszcze po nim butelki. My nie pijemy denaturatu, nie bój się — zachęcał Kwadratowy.

Dziewczyna wypięła. Alkohol i ciepło powlokły jej twarz delikatnym rumieńcem. Gęste, ciemne włosy — z których wyparowała wilgoć — zwinęły się nad czołem w kędziory.

— Jedźże!

Dziewczyna sięgnęła po następną kromkę chleba. Jadła łapczywie. Chłopcy podsuwali jej chleb.

— Nie przestrasz się, Zuzanna, jak zobaczysz facjaty moich sąsiadów...

— Myślisz, że twoja to taka anielska, co? — przerwał mu Monter.

— Ten to bez gadania minuty nie wytrzyma — wzruszył ramionami Kwadratowy. — Wiesz — zwrócił się do dziewczyny

— tu tacy wysiedleni mieszkają, przeważnie po wyrokach...

— Albo siedzieli, albo siedzą, albo będą siedzieli — wtrącił Monter.

— ...a reszta to króliki albo kozy na parkietach hodowała, więc im kwaterunek przymusowo apartamenty wymienił — ciągnął Kwadratowy,

— Tylko on — powiedział Monter — mieszka tu przez nieporozumienie. Masz przed sobą, Zuzanno, tragiczną pomyłkę sądową. Dwa lata za niewinność się przesiedział i teraz jest też element niepożądany.

— Za co miałeś wyrok? — zainteresowała się dziewczyna.

— Majstrowi mordę skułem...

— A że rączkę ma przyciężką, to ledwo się przełożony wylizał — przerwał Monter.

— Wredny był staruszek, nękał cię? — chciała wiedzieć Zuzanna.

— Nie. Za dziewczynę... A tam, stare sprawy, nie ma o czym mówić — nachmurzył się chłopak. — Czwarta! — zmienił nagle temat. — O rany! Spać, rebiata!

Mężczyźni wyszli do umywalni. Kiedy wrócili, dziewczyna leżała na tapczanie szczelnie okryta kołdrą — jeszcze nie spała.

Chłopcy marudzili, rozkładając materac na podłodze. Czuli na sobie czujne, badawcze oczy dziewczyny. Przyglądała im się z jakąś gorzką, bolesną ciekawością.

Kwadratowy zauważył to spojrzenie. Lekko pochylił się nad nią.

— Nikt tu od ciebie nic nie chce, rozumiesz? — powiedział szorstko, prawie z gniewem. — Jesteśmy gołodupek, a gołodupekowi pomoże tylko gołodupek, rozumiesz? Nie jestem goś-

ciem z „Kamery” albo z „Bristla”, nie biorę świadczeń w naturze, chociaż siedziałem w więzieniu. To wszystko. Śpij, jutro pomyślimy, co z tobą zrobić.

Ale rano dziewczyna nie mogła podnieść się z łóżka.

— Ona jest chora — zasepił się Kwadratowy, patrząc na rozpaloną twarz Zuzanny i obrzmiałe, spieczone usta. — A to ci kram! — westchnął.

76 -

- 77

— Przepraszam was, ale nie mogę się podnieść — powiedziała z niepokojem.

— Zamknij się, mimo to, panienko z porządnej rodziny z fortepianem — wykrzywił się Monter. — Kto ci każe wstać? A leż sobie, leż na zdrowie...

— Skoczę na Akademię i sprowadzę Rentgena — zdecydował Kwadratowy.

Kwadratowy był kamieniarzem, pracował w zakładzie kamieniarskim. Oprócz tego wykonywał szereg prac dla profesorów i studentów Akademii Sztuk Pięknych. Wśród studentów miał kilku oddanych przyjaciół.

W gmachu Akademii odszukał Maćka, powszechnie nazywanego Fajką.

— Poszukuję monety z Kopernikiem — powitał go Maciek. — Ostatecznie może być z Naczelnikiem Kościuszką. Nie masz?

— Nie. Fajka, znajdź Rentgena. Musi zaraz jechać na Powązki.

— Skrobanki w wykonaniu Rentgena na ogół kończą się zejściem śmiertelnym. Pamiętaj, że cię ostrzegłem! — Potem telefonicznie odszukał Rentgena w prosektorium na Oczki.

— Przybywaj, opravco — zawiadomił go Fajka. — Czeka cię wizyta na Powązkach. Kolosalne udogodnienie, cmentarz na miejscu.

— Nie mam czasu na kawały, fałszerzu Van Goghów — odciął się Rentgen. — Wyciągnąłeś mnie z zajęć.

— Kwadratowemu coś zachorowało, tylko nie wiem co, bo nie widać.

— Niech poczeka, zaraz przyjadę — zgodził się łaskawie Rentgen.

Rentgen był nadzieją medycyny na czwartym roku studiów i zajmował się z zamiłowaniem leczeniem każdego, kto miał odwagę zaufać jego umiejętnościom. Niebawem zjawił się u kolegów.

— Poszukuję dydka z Kopernikiem... — zaczął Fajka.

Rentgen pogrzebał w kieszeni i podał mu w dwóch palcach dziesięć złotych.

— Jeszcze masz resztki przyzwoitości — pochwalił go Maciek, chowając monetę.

— Żebro, kończyna, rana kłuta czy zwykłe mordobicie? — zapytał rzeczowo Rentgen.

— Dziewczyna — mruknął Kwadratowy.
— Rentgen, bądź człowiekiem, daruj jej życie! — jęknął z udanym przerażeniem Fajka.
— Nie to — wyjaśnił Kwadratowy. — Chyba grypa.
— Twoja dziewczyna? — chciał wiedzieć student.
— W nocy znalazł ją Monter. Wirażka... strasznie młoda. Przemokła i rano się rozchorowała.
— Prowadzisz zakład dla upadłych dziewic? — skrzywił się Fajka.
— Zamknij cyniczną gębę! Bo... zażądam oddania pożyczki — zagroził Rentgen. — Jedziemy, Kwadratowy — klepnął kamieniarza po ramieniu.
— Jeżeli ci zależy, mogę zrobić jej konterfekt—wtrącił pojednawczo Maciek-Fajka.
— Już lepiej podrabiaj Nikifory — mruknął Kwadratowy.

Przed barakiem spotkał ich Monter. Nie przyznał się, że nie mógł się ich doczekać i niepokoi się o dziewczynę.
— Sie masz, konsyliarz — powitał studenta. — Słuchajcie; ona wygląda na poważnie chorą. Może jednak sprowadzić prawdziwego lekarza albo pogotowie? Co, Rentgen?
— Ty ciemny kmiotku polski — obruszył się student. — Myślisz, że nie poznam się na grypie?
Zuzanna drzemała, okryta wszystkimi kocami, jakie były w mieszkaniu.
— Penicylina, i to zaraz — zaopiniował Rentgen po zakończeniu badania.

- 78 -

- 79 -

W przepaściach kieszeni wygrzebał lekko pomięty czysty blankiet recepty Pogotowia Ratunkowego z faksymiliami i podpisem lekarza. Student miał kolegę, świeżo upieczonego lekarza, który pracował w Pogotowiu. Często pomagał mu na dyżurach. Przyjaciel rewanżował się blankietami recept, co znowu wybitnie podnosiło akcje Rentgena u jego pacjentów, ponieważ nie tylko udzielał bezpłatnych porad, ale i przepisywał leki.

— Skocz do pigułarni i natychmiast to przynieś — podał receptę Kwadratowemu.

Kamieniarz zaczął przetrząsać kieszenie i ustawiać słupki z bilonu. Monter pojął, o co chodzi, i również zabrał się do przeglądu kieszeni.

— Z torbami pójdę — mruknął student i podał Kwadratowemu banknot.

Do apteki poszedł Monter.

— Może jej dać wódki? — zapytał Kwadratowy.

— Tabako! — zawołał student. — Kiedy wyplenię z was ciemny zabobon? Myślisz, że wódka wyleczy każdą chorobę? Dysponujesz alkoholem? — zainteresował się rzeczowo.

— Spirytus na wiśniach — mruknął Kwadratowy.

— Niezła rzecz — pochwalił student. — Napiję się — zde-

cydował.

Pod fachową opieką Rentgena po kilku dniach Zuzanna wróciła do zdrowia. Monter nie mógł się nadziwić zmianom, jakie jego zdaniem dokonały się w dziewczynie.

— Znalazłem rozmiękle czupiradło, a tu taaka babka! — wyraził swoje uznanie dla urody Zuzanny.

Postanowili jej pomóc — żeby była podobna do ludzi — według określenia Kwadratowego. Dziewczyna za nic nie chciała wracać do Wrocławia, mówiła, że stamtąd pochodzi.

Jak ją zainstalować w Warszawie? — głowił się Monter. — Żeby mogła pracować, musi być zameldowana, żeby była zameldowana, musi pracować, błędne koło — stwierdził Monter oblatany w tym przedmiocie.

— Poprosić o pomoc jakąś instytucję? — głośno myślał Kwadratowy.

— Już jak ty ruszysz rozumem... — pogardliwie prychnął Monter. — Co im powiesz? Że jest wirażka, która musi mieszkać i pracować koniecznie w Warszawie, tak? A poza tym tylko zacznij z urzędowymi dewotkami, niech się dogrzebią, że dziewczyna bywała w „Owocaku”, tu i ówdzie... Ani się obejrzysz, jak zrobią z niej ludową Marię Magdaleny.

Gdy Zuzanna usłyszała o projekcie urzędowej pomocy, zbladła i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Kwadratowy zauważył jej przerażenie.

„Dziewczyna ma coś na sumieniu. Boi się” — pomyślał. — „Może jest znana milicji?” — Ale nie powiedział Monterowi o swoich domysłach.

Tymczasem Monter zaraz po wypłacie poszedł do Urzędu Pośrednictwa Pracy. Pokreślił się tam, porozmawiał z mężczyzną, który stał zawsze ostatni w kolejce, a gdy nie było kolejki, krążył po korytarzu. Był to specjalista od sprzedaży białka.

— Dwie stówy — mruknął, podając Zuzannie papier, który nabył od wiecznego interesanta Urzędu Pośrednictwa. — Oddasz z pierwszej pensji — dodał.

W taki prosty sposób Zuzanna stała się posiadaczką urzędowej opinii z poprzedniego miejsca pracy. Na kredowym papierze z nadrukiem instytucji i wszelkimi możliwymi pieczętkami oraz liczbą dziennika, szef personalny stwierdził, że Zuzanna Herc pracowała na stanowisku starszego referenta rachuby z VIII grupą zaszeregowania służbowego. Ze swych obowiązków wywiązywała się ku zadowoleniu przełożonych. Była sumiennym, zdyscyplinowanym pracownikiem. Zrezygnowała z pracy na własną prośbę.

1 Białko — druki urzędowe in blanco, opatrzone pieczęciami i podpisami.

- 80 -

- 81 -

— To jest już coś — uznał Kwadratowy. — Z tym papierem może przyjmą ją gdzieś do pracy.

Ale nie przyjęli — wszędzie żądano potwierdzenia zamel-

dowania.

Z pomocą przyszli studenci. Zjawili się w baraku hałaśliwą gromadką. Bardzo chudy, wysoki chłopak z wielkim, podobnym do dzioba nosem, przedstawił Zuzannie resztę towarzystwa.

— Konsyliarza znasz — odsunął ręką studenta medycyny, zwanego Rentgenem. — To jest Kacha, obiecująca dziewczyna. Studiuje język ojczysty. Hobby — młodzi ludzie odmiennej płci. Ma refleks i twardą pięść. Maciek-Fajka, pięknie gra na krześle. Zastraszająco szerzy kulturę plastyczną. Znane są jego Nikifory, a nawet Picassy z podpisami mistrzów — po bardzo przystępnych cenach. Ostatnio pracuje nad Van Goghem, którego obstalowała u niego dostojna ciotka przytomnego tu Rentgena, osoba majątna, mająca własną pralnię chemiczną przy ulicy Mokotowskiej. Teraz możemy przystąpić do konsumpcji! — zakończył prezentację. — Aha! Ja jestem Tomek Skoczyk, najsłynniejszy na Akademii Sztuk Pięknych — dodał skromnie.

Na stół wjechał dobrze znany obecnym obły gąsiorek. Nalewka miała dość jasny, niezbyt klarowny kolor. Kulki wiśni wyglądały anemicznie.

— Panie i panowie — Monter wznosił toast musztardówką. — Obchodzimy jubileusz trzydziestego namoczenia tych jagódek w alkoholu.

— Kacha przekonała wuja — obwieścił znaczącym tonem Skoczyk i spałaszował spory kawałek kielbasy z kwaszonym ogórkiem.

Okazało się, że wuj Kachy jest właścicielem domku na Mokotowie. W domku tym czeka na węgiel albo na lokatora bardzo interesująca piwnica z oszklonym oknem. Kacha rozmawiała z wujem, zgodził się za niewielką opłatą przyjąć do rzeczonej piwnicy studentkę i nawet na razie wypożyczyć stary tapczan.

— Masz pojęcie o fotografii kolorowej? — zapytał Zuzannę Skoczyk.

— Nie — westchnęła Zuzanna.

— Co ty w ogóle umiesz? — chciał wiedzieć Fajka.

— Znam francuski... — z zakłopotaniem bąknęła dziewczyna.

— Naucz się fotografować — zdecydował Skoczyk.

Maciek-Fajka i Skoczyk mieli znajomego fotografa, pomagali mu dorywczo w technicznym wykańczaniu pilnych zamówień i w ten sposób zaokrąglali nieco chude stypendia.

Chcieli, aby tę pracę przyjęła Zuzanna.

Fotografik już się prawie zgodził. Oczywiście wmówili mu, że asystentka jest mu nieodzownie konieczna. Poza tym zaręczyli, że ich protegowana ma wybitne zdolności w tej dziedzinie.

Postanowili, że zanim zaprezentują Zuzannę, dadzą jej kilka lekcji fotografii — później musi sobie sama poradzić.

Projekt został przyjęty entuzjastycznie przez wszystkich zgromadzonych. Najważniejszy wydawał się fakt, że fotografik, jako prywatny pracodawca, nie będzie żądał stałego zameldowania w Warszawie.

Po kilku dniach Zuzanna została przedstawiona przez studentów Piotrowi Radleyowi.

— Co pani wie o fotografice? — Piotr Radley przyglądał się dziewczynie.

Siedziała na brzeжку krzesła i z niepokojem śledziła wyraz jego twarzy. Jednym tchem wyrecytowała skape wiadomości, zaczerpnięte z książek i lekcji udzielonych przez chłopaków. Zdawała sobie sprawę z tego, że wiedza jej jest bardzo mizerna i fotografik już się na tym poznał.

— Niewiele umiem, ale szybko się nauczę. Proszę mnie przyjąć na próbę! — powiedziała błagalnie.

- 82 -

- 83 -

— Zależy pani na pracy u mnie? — Radley wciąż przyglądał się dziewczynie.

— Może mi pan płacić bardzo mało, bardzo... — powiedziała szybko.

Radley nie miał ochoty na przyjmowanie asystentki, którą będzie musiał wszystkiego uczyć, ale w wyglądzie i tonie dziewczyny było coś takiego, że i on nie mógł jej odmówić. Niezadowolony bardzo i zły na studentów-protektorów, przyjął jednak Zuzannę do pracy.

Okazała się pojętną uczennicą. Po dwóch miesiącach pracy z nią zapomniał o niechęci, z jaką godził się przyjąć Zuzannę. Dziewczyna polubiła ciemną pracownię, w której gubiła się rachuba godzin i pór dnia. Nie budziły w niej niechęci żrące odczynniki, w których musiała zanurzać ręce. Najbardziej lubiła stanąć za krzesłem Piotra Radleya i patrzeć na prostokąt papieru, na który spod kopuły rzutnika spływał kolorowy obraz.

Kiedyś, przyglądając się kompozycji, którą wybrał Radley, po raz pierwszy wzięła z jego rąk metalową ramkę podziałki i przesunęła ją na ukos. Na prostokacie papieru zastygł obraz tej samej tańczącej polkę pary w ludowych strojach. A jednak wyraz kompozycji był zupełnie inny.

— Ja bym to ujęła w ten sposób — powiedziała drżącym z emocji głosem.

— Zuzanno, to przeczy zasadom kompozycji! — nie zgodził się Radley. — Obraz musi być zamknięty, tworzyć harmonijną całość. To brutalna ekspozycja.

— Ale wydobywa ruch, ekspresję. Teraz ta para naprawdę tańczy. A przed chwilą to był grzeczny obrazek tańczącej pary — upierała się dziewczyna.

Radley nic nie odpowiedział. Długo przyglądał się zaproponowanemu ujęciu, a później naświetlił fotografię.

Zuzanna milczała. Siedząc w ciemności, osłaniała dłonią czerwony ognek palonego papierosa. Bardzo uważnie zanu-

rzyła to zdjęcie w wywoływaczu.

Radley nic więcej nie powiedział na temat tej fotografii, ale od tego wydarzenia nieraz pytał dziewczynę o zdanie.

Po jakimś czasie powierzył jej klucze od pracowni. Przyjmował liczne zamówienia — praca nieraz przeciągała się do późnej nocy. A kiedy Radley wychodził już, dziewczyna zostawała, aby wysuszyć i wyretuszować przygotowane odbitki. W takich wypadkach Zuzanna nocowała w laboratorium.

Nigdy nie decydowała się na samotny powrót na Mokotów późnym wieczorem lub w nocy. Fotografik nie przypuszczał, że mogą być ku temu inne powody niż praca, której zresztą nie brakowało.

Czasami po południu wpadał do pracowni Monter, częściej Kwadratowy. Zabierali Zuzannę do kina lub na wieczór do Smoka.

Piotr Radley zauważył od razu oryginalną urodę i wdzięk swojej asystentki. Odwiedziny chłopców zaczęły go drażnić. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że cwaniacy, mówiący warszawskim slangiem, nie są odpowiednim towarzystwem dla jego asystentki. Powiedział to Zuzannie.

— To bardzo porządni chłopcy — zapewniła dziewczyna.

— Dawno ich znasz? — zapytał mimo woli.

— Niemal od dzieciństwa — skłamała.

Po tej rozmowie obaj chłopcy nie pokazali się więcej w pracowni. Radley domyślał się, że Zuzanna spotyka się z nimi na mieście. Był z tego też niezadowolony. Ale nic nie powiedział dziewczynie.

Zuzanna coraz bardziej go absorbowała — doszedł do wniosku, że właściwie nic o niej nie wie. Niespostrzeżenie dla samego siebie zaczął interesować się coraz więcej życiem dziewczyny. Nie uszło jego uwagi, że odpowiada na pytania powściągliwie, ukrywając zdenerwowanie i niechęć.

Któregoś dnia zaproponował jej kolację w Bristolu. Zdziwiła go jej gwałtowna reakcja.

- 84 -

- 85 -

— Nie! Nie! — zawołała prawie z lękiem i szybko zaczęła wyjaśniać, że nigdy w życiu nie była w żadnym tak eleganckim lokalu, że strasznie ją to peszy i że nie wyobraża sobie zabawy z własnym szefem.

Radley nie ustępował — w tym czasie dziewczyna interesowała go już bardzo.

Zuzanna zgodziła się prawie z rezygnacją.

Apatyczna, pozwoliła zaprowadzić się do Klubu Aktora, potem do domu Radleya. Od tego dnia zamieszkała z nim. Była dziwną kochanką. Piotra drażniła jej milcząca uległość i posłuszeństwo. Złościł go fakt, że coraz bardziej przywiązywał się do niej, a jednocześnie odnosił wrażenie, że dziewczyna godzi się na romans z nim ze strachu przed utratą pracy i mieszkania.

Powiedziała mu, że nie ma stałego zameldowania w Warszawie i z coraz większą trudnością uzyskuje okresowe przedłużenia.

Radley wykorzystał swoje stosunki i dopiął tego, że zameldowano dziewczynę w stolicy na stałe. Wyszła wtedy na jaw pewna okoliczność, która zdziwiła fotografika — dziewczyna pochodziła z Warszawy. We Wrocławiu, który podawała za swe rodzinne miasto, przebywała tylko czasowo. Na natarczywe pytania Piotra odpowiadała upartym milczeniem.

— Już nie grozi ci opuszczenie Warszawy, zdobyłaś specjalność — powiedział rozdrażniony. — Napiszę ci dobre referencje, możesz stąd odejść.

— Jeżeli chcesz, to odejdę — powiedziała posłusznie.

— Chcesz! Chcesz! — rozżłościł się Radley. — Dlaczego zachowujesz się jak niewolnica? Dlaczego? — zacisnął dłonie na jej ramionach. — Czy ty sama nigdy niczego nie pragniesz? Niczego nie chcesz?

Nie patrzyła mu w oczy i milczała. Tylko w jednym wypadku nie okazała uległości. Mimo kategorycznych żądań Piotra, nie zgodziła się na zerwanie kontaktów z Monterem i Kwadratowym.

86 -

— Co cię łączy z tymi ludźmi? — nastawał Radley.

— To są moi przyjaciele — powtarzała z uporem. — Moi jedyni przyjaciele.

Radley nie chciał przyznać się nawet przed sobą, że był zazdrosny o tych chłopaków. Był przykry dla Zuzanny, która w milczeniu znosiła wszystkie jego humory. Niebawem rozpoczął bardzo intensywne życie towarzyskie. Doszedł do wniosku, że przygoda z asystentką za bardzo go absorbuje.

„Rzecz zaczyna być śmieszna — perswadował sobie. — Zakocham się w tym... stworzeniu, które poza ładną buzią nic nie reprezentuje. Za stary jestem na amory z taką kompromitującą młodą dziewczyną...” — Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ma trzydzieści sześć lat, a Zuzanna osiemnaście.

Wieczorami zaczęły do pracowni Radleya przychodzić piękne, wypielegnowane kobiety. Piotr wychodził z nimi. Żadna z pań nie zwracała uwagi na Zuzannę. Widziały, potrafiły ocenić urodę i wdzięk dziewczyny, ale tym bardziej traktowały ją jak sprzęt. Piotr — nie patrząc jej w oczy — suchym tonem zwierzchnika wydawał dziewczynie polecenia i znikał na całe wieczory.

Czasami późną nocą wracał do niej pijany, zachowywał się brutalnie, obraźliwie. Pewnej nocy, kiedy przyszedł bardziej pijany i bardziej rozdrażniony niż kiedykolwiek, uderzył Zuzannę w twarz.

Dziewczyna nie krzyknęła, nie skrzywiła się nawet. Patrzyła na niego wielkimi, rozżalonymi oczyma. Osłoniła głowę szczupłym, nagim ramieniem — w geście jakiejś żalnej obrony.

Piotr natychmiast wytrzeźwiał — poczuł do siebie wstręt. Pomyślał, że chyba ten kamieniarz nie zachowałby się w taki sposób jak on i ogarnęła go biała, zimna wściekłość.

Następnego dnia czekał, żeby Zuzanna zrobiła mu wymówkę, żeby powiedziała przynajmniej słowo o jego zachowaniu się ubiegłej nocy. Nie doczekał się. Dziewczyna zachowywa-

- 87

ła się tak, jak gdyby nic nie zaszło. Jak zwykle była posłuszna, małomówna, zajęta pracą — przy obiedzie była nawet wesoła, co najbardziej rozjątrzyło Piotra.

Pod koniec lipca Piotr Radley wyjechał do Rzymu. Zuzanna beczynnie tkwiła na Mokotowie. Przeważnie siedziała z książką w ręku w kącie małego ogródka, oddzielonego od ulicy dzikim winem.

W słoneczną niedzielę Monter i Kwadratowy zabrali ją na imprezę „Expressu Wieczornego” na Torwar. Bawili się znakomicie. Oklaskiwali właśnie występ Hanki Bielickiej, gdy złożone do oklasków ręce dziewczyny zamarły.

Bardzo błada, rozszerzonymi ze strachu oczyma wpatrywała się w mężczyznę siedzącego przy sąsiednim stoliku.

— Wyjdźmy stąd — szepnęła błagalnie do Kwadratowego.

Kamieniarz przyjrzał się jej, nie rozumiejąc, a później spojrział w kierunku jej wzroku.

Młody człowiek od sąsiedniego stolika zrobił w stronę dziewczyny szybki, niecierpliwy gest ręką.

— Zuzka! — w tonie brzmiał rozkaz.

Dziewczyna skuliła się jak pod uderzeniem, a jednak bez słowa podniosła się od stolika. Zrobiła krok...

— Kto to jest? — Kwadratowy siłą posadził Zuzannę z powrotem.

— Hrabia Siekierk — powiedziała machinalnie. — To bardzo niebezpieczny człowiek...

Kwadratowy wolno podniósł się od stolika i z rękoma w kieszeniach podszedł do Hrabiego.

— Czego? — zapytał zwięźle.

— Nie ciebie wołałem — ziewnął Hrabia.

— Czego chcesz od dziewczyny? — Kwadratowy mówił spokojnie.

— Nie twój interes. Już ona wie. A ty — zmierzył go wzrokiem — zmiataj i nie wtrącaj się.

— Łachu—wycedził Kwadratowy. — Zapamiętaj — podsu-

88

nął pod oczy tamtemu zwiniętą, wielką pięść — ręką do ciebie przemówię, jak się będziesz czepiał dziewczyny.

Hrabia nie odpowiedział i odwrócił się do mężczyzny, z którym siedział przy stoliku. Widać było, że nie chce prowokować awantury. Kwadratowy postał chwilę, a nie doczekawszy się odpowiedzi, wrócił do Zuzanny i Montera.

Chłopcy chcieli zatuszować zajście sztuczną wesołością.

Ale zabawa nie kleiła się. Zuzanna była milcząca i wylękni-

na. Kilka razy prosiła, żeby już iść.
— Ani mi się śni — powiedział ze złością Kwadratowy. — Jeszcze pomyśli, że się go boję.
Zapadł wieczór, rozbłysły kolorowe lampiony nad stolikami. Nie zauważyli, kiedy Hrabia i jego towarzysz opuścili swój stolik. Wtedy Monter dał znak do odejścia.
Wyszli w milczeniu, Zuzanna oglądała się z lękiem po niezbyt ludnej Łazienkowskiej. Pojechali trolejbusem. Przy Alejach Ujazdowskich Kwadratowy dał znak do wysiadania.
— Chcę z tobą pomówić, Zuza — mruknął i gestem wskazał im oświetloną kawiarnię Sejmową.
— Kto to jest Hrabia? — zapytał ją, gdy usiedli przy kawiarnianym stoliku.
Dziewczyna siedziała przez chwilę z oczyma wbitymi w blat stolika. Palcami nerwowo szarpała papierową serwetkę.
— Sutener — podniosła wreszcie twarz. — Myślałam, że już o mnie zapomniał.
— Zawiadomimy milicję, niech uspokoją faceta — powiedział Monter.
— To na nic — powiedziała zgaszonym głosem. — Żadna dziewczyna nic na niego nie powie... ja też nie. Nic mu nie udowodnią.
— Wolisz ciągle żyć w strachu? — zdziwił się zasepiony Kwadratowy. — Że gdzie cię nie spotka) krzyknie tak jak dzisiaj: Zuzka! A tak blacharze wsadzą go do kicia i spokój.
— Ale nie wsadzą hewry.
— Boisz się zemsty?
— Hewra nie daruje — powiedziała to takim tonem, jakby rzecz była oczywista i od dawna wszystkim znana.
— Nie bój się, Zuzanno — Kwadratowy pogładził ją po ramieniu. — Poszukamy tego Hrabiego — mruknął ponuro. — Co, Monter?
— Można — zgodził się tamten. — Zobaczymy, czy do nas będzie taki kozak jak do dziewczyn.
— Nie zaczynajcie z Hrabią, on może zabić! — ostrzegła bardzo blada.
— On mieszka na Siekierkach?
— Nie, na Ochocie.
— To dlaczego Hrabia Siekierki? — dowiadywał się Kwadratowy.
— Jego hewra pochodzi stamtąd.
— Znam kilku sensownych chłopaków z Siekierki — przypomniał sobie Monter. — Dowiemy się, co to za gang.
— Nie wtrącajcie się do tego — prosiła, hamując łzy. — Ja nie chcę, sama sobie poradzę... Nie upieraj się, Kwadratowy. Hrabia napada podstępnie, niespodziewanie... w kilku na jednego. Z bandą sobie nie poradzicie. Poproszę o pomoc Radleya... — skłamała na poczekaniu.
— Twój Radley to mięczak — zaopiniował z pogardą Monter.

VII. Marwicher 1

Skrzypnęły drzwi — major niechętnie uniósł głowę znad grubego foliału. Wszedł pułkownik Lis.

— Co czytasz? — zainteresował się, zaglądając mu przez ramię.

— Sprunga Wie man Taschendiebe Fangt Kriminalistik — powiedział niechętnie major. — Czego chcesz? — zapytał. Lis nie odpowiedział. Przyglądał się sceptycznie przystawionej do biurka półce, na której piętrzyły się grube tomy. Kilka książek leżało na podłodze. Lis chciał zrobić drwiącą uwagę, ale powstrzymał się.

— Mam zapłacić za biżuterię? — położył przed Koroszem rachunek — za dwie bransoletki ze złota oraz wisiołek z topazem. Wisiołek! — prychnął. — Łącznie pięćdziesiąt tysięcy złotych. Co to za pomysły, Andrzeju?

Korosz w kilku zdaniach wyjaśnił pułkownikowi kombinację z dziewczętami wysłanymi na wabia.

— Zapłać. Ta biżuteria już została ukradziona — zakończył pogodnie.

— Nadzwyczajne — powiedział ironicznie Lis. — Co dalej?

— Teraz szukamy tych przedmiotów. Mam nadzieję, że w ten sposób trafimy do pośredników, paserów, a może złodziei.

— I cała ta operacja kosztuje tylko pięćdziesiąt tysięcy?

— nie mógł darować pułkownik. — Czy nie wystarczyłoby, gdybyś znalazł przynajmniej część biżuterii, która ginie na terenie ambasad? Założenie prostsze, tańsze i o wiele... efek-
I Marwicher — złodziej mistrz.

- 91 -

towniejsze. Co zrobiłeś, żeby wykryć chociaż jedną kradzież popełnioną na terenie ambasad? Chociaż jedną — ciągnął poirytowany Lis. — Świecę oczyma przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych, a oficer operacyjny bawi się w wisioriki i cieszy jak dziecko, że już ukradli jego wisiołek wartości pięćdziesięciu tysięcy złotych.

Major odsunął książkę i patrzył w okno, paląc papierosa. Postanowił przeczekać wybuch Lisa. Ale spokój Korosza wzmagał tylko rozdrażnienie pułkownika.

— Masz cholerną ochotę na awanturę — nie wytrzymał wreszcie major. — A wszystko przez ten wisiołek. Ale do kłótni potrzeba dwóch, a ja nie mam chęci.

— To jest wyrzucanie publicznego grosza! — Lis uderzył dłonią w rachunek.

— To nie jest wyrzucanie grosza. To może wskazać ślad, ciekawy ślad.

— Dlaczego biżuteria skradziona w ambasadach nie może naprowadzić na ślad, tylko ta twoja za pięćdziesiąt tysięcy — złościł się dalej pułkownik.

— Bo moja jest tańsza! Nie patrz na mnie jak na wariata.

Tak, jest tańsza i charakterystyczna tylko dla nas, dla mili-

cji. Dlatego większe prawdopodobieństwo, że trafi na rynek w kraju. Natomiast mam wielkie wątpliwości, czy naszyjnik ambasadorowej X będzie sprzedany w Polsce. Co tu mówić o naszyjniku, chociażby ten pierścionek, który zginął trzy miesiące temu w poselstwie Y. Rubin wartości czterdziestu tysięcy dolarów, oprawiany we Francji. W najlepszym wypadku zostanie sprzedany w Polsce jako dwa, a nawet trzy kamienie w innej oprawie. Nawet jeżeli go znajdę, kto rozpozna, że to dwudziestokaratowy rubin pani Z z poselstwa Y?

— Pocięte kamienie tracą wartość — mruknął Lis.

— Właśnie! Dlatego sądzę, że jeżeli w ogóle znajdują się, to na rynkach zagranicznych. Wysłałem do Interpolu fotografie i fotokopie metryczek tych kamieni, ale jeżeli nawet jakaś policja trafi na ich ślad, to dla mnie te informacje będą bezużyteczne. Za długi łańcuszek pośredników, żebym trafił do złodzieja, który kradnie tu, w Warszawie.

— Ostrzegam, że za następne wisiorki będziesz płacił sam — zagroził Lis.

— Z czego, Heniu? Z czego? — roześmiał się major.

— Sprzedasz wartburga — zdecydował chłodno pułkownik i wyszedł, głośno zamykając drzwi.

Major z westchnieniem powrócił do przerwanej lektury.

Ostatnią jego pasją była technika kradzieży biżuterii, ściągnął wszystkie możliwe publikacje na ten temat, jakimi dysponowała biblioteka specjalistyczna Komendy Głównej. Tłumaczy z angielskiego Wydziału Techniki i Taktyki skarżyli się na majora. Żądał wielostronicowych przekładów, z francuskimi i niemieckimi tekstami radził sobie sam. Jak gdyby mu jeszcze było mało, godzinami przesiadywał w bibliotece uniwersyteckiej. Kiedyś ledwo się powstrzymał, żeby nie wyciąć kilku stron, które go szczególnie zajęły.

Tymczasem mnożyły się zawiadomienia o kradzieżach biżuterii w ambasadach. Ginęły naszyjniki, bransoletki, kosztowne zegarki, pierścionki z rąk pięknych pań. Oczywiście pieniądze ginęły także.

Inspektor przyjmował zgłoszenia, żądał fotografii zaginionych precjozów, szczególnie zaś interesowały go opisy okoliczności, w jakich wydarzył się zabór mienia. Wreszcie gdy lista strat na terenie placówek dyplomatycznych urosła do kilku — major wybrał się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Od wyższego urzędnika, który coraz częściej interweniował w sprawie kradzieży w ambasadach, zażądał dostarczenia mu zaproszeń na wszystkie publiczne przyjęcia, organizowane w placówkach dyplomatycznych.

— Pan chce tam bywać, majorze? — nie wiadomo czemu spłoszył się urzędnik.

- 92 -

- 93 -

— Podziwiam pańską przenikliwość — mruknął inspek-

tor. — Jak pan wie, prywatnych detektywów w tym kraju nie ma.

— Co pan tam będzie robił? — chciał wiedzieć zaniepokojony urzędnik.

— Będę przestrzegał protokołu dyplomatycznego.

Urzędnik doszedł do wniosku, że nie może sam zdecydować o tak delikatnej sprawie i musi się poradzić ze swym szefem. Majorowi było obojętne, kto wyrazi zgodę na jego propozycję.

— Uprzedzam, że w tej sprawie musi być zachowana absolutna dyskrecja nawet przed pracownikami ambasad. W przeciwnym wypadku może mi pan nie przysyłać zaproszeń.

— Pan podejrzewa?... — Oczy urzędnika zrobiły się zupełnie okrągłe.

— Niczego nie podejrzewam — przerwał major. — Żądam zachowania dyskrecji, jeżeli chcemy, żeby przedsięwzięcie miało widoki powodzenia.

Inspektor zaczął jednak otrzymywać zaproszenia. Systematycznie bywał na wszelkich rautach, obiadach, lampkach wina. Równocześnie rosła jego pasja do fachowej literatury, traktującej o technice kradzieży biżuterii.

Nowa koncepcja majora o dotarciu do kieszonki Asów powstała pod wpływem lektury pracy doktorskiej wrocławskiego prawnika. W jednym z rozdziałów autor podawał technikę kradzieży precjozów.

Majora zafascynowało jedno zdanie: „Złodziej, kradnąc na przykład pierścionek z ręki lub naszyjnik, posługuje się cieniutkim drucikiem zakończonym rodzajem haczyka lub dwóch, które przewleka przez skórę w zagięciach palców. Ilość haczyków uzależniona jest od rodzaju przedmiotu, jaki ma zamiar ukraść”.

Korosz zaczął z uporem szukać potwierdzenia tego sposobu kradzieży w literaturze zagranicznej. Specjaliści niemieccy i francuscy zwracali uwagę na ten fakt w swoich publikacjach, natomiast angielscy i amerykańscy kategorycznie zaprzeczali istnieniu takiej techniki i dawali do zrozumienia, że tamtych autorów, zafrapowanych tematem, poniosła fantazja.

Major mimo wszystko uwierzył w teorię wrocławskiego prawnika i, niezrażony niepowodzeniem, szukał jej potwierdzenia.

Nastaly, zdaniem Cieślika, ciche dni. Pozornie nic się nie działo. Ruchliwy porucznik, który lubił nagłe zadania, pilne prace, wyjazdy, siedział osowiały w lokalu kontaktowym służby X. Od pewnego czasu Korosz nie miał dla niego poleceń. Wywiadowcy Cieślika poszukiwali — na razie bezskutecznie — skradzionych „wabiom” precjozów. Specjalnie wydzielona grupa włóczyła się po knajpach, potajemkach, w których bywali notowani przez milicję kieszonkowcy, pajęczarze, hochsztaplerzy i podrzędni włamywacze. Usiłowano wpaść na trop ludzi, którzy od czasu do czasu sprawiali lanie złodziejom kie-

szonkowym.

Któregoś dnia major odesłał fachową literaturę i wybrał się z wizytą do weterana kieszonkowców — Rączki.

Nestor jeszcze lwowskiej doliny mieszkał na Woli, na trzecim piętrze schludnego, spółdzielczego bloku.

Drzwi otworzył sam mistrz i bez zdziwienia, bardzo uprzejmie zaprosił majora do środka.

W jedynym pokoju stały nowoczesne meble, było dużo przestrzeni i światła. Wszystko przeczyło utartym pojęciom i wyobrażeniom o egzystencji świata przestępczego.

Rączka wskazał majorowi krzesło, zdjął ze stołu rozmontowany radioodbiornik.

— Znam się na tym — wskazał radio — więc biorę takie partaniny. Z czegoś trzeba żyć — uśmiechnął się do majora.

— Napije się pan kieliszek śliwówki? Specjalność domu — patrzył na majora, był ciekaw jego reakcji.

— Chętnie — zgodził się Korosz.

— 95 —

Rączka zakrzętnął się w kuchni. Powrócił z butelką i zgrabnymi kanapkami na kolorowych talerzykach. Napełnił kieliszki.

— Co pana do mnie sprowadza, majorze? — przyglądał się inspektorowi z pełnym zainteresowania wyrazem twarzy.

— Ciekawość — roześmiał się major, odstawiając kieliszek.

— Ciekawość prowadzi do wiedzy — powiedział sentencjonalnie Rączka.

— To wiedza z dawnej pańskiej specjalności.

— Tak sądziłem — skinął głową Rączka. — Chce pan poznać arkana fachu? Tyle jest teraz literatury na ten temat. Namnożyło się ekspertów. Całe tomy naukowych rozpraw. Nieliche pieniądze ludzie na nas robią — skrzywił się z ironią.

— Interesuje mnie technika kradzieży biżuterii.

— Jest pan pewny, że zechcę ją zdradzić? — roześmiał się Rączka z przekorą.

— Wcale nie jestem pewny — wzruszył ramionami major.

— Kto teraz kradnie biżuterię, majorze? — zdziwił się Rączka.

— Zresztą „kto”, to chyba by się znalazł. Jak to mówią? Okazja rodzi złodzieja. Ale gdzie jest ta biżuteria? Korale z kurydzy albo połączanego papieru? Pierścionek ze srebra? Przecież teraz uczciwa złota obrączka to rzadkość.

— Piszę pracę na ten temat — powiedział major. Roześmieli się obaj.

— Zresztą — podjął Rączka — może rzeczywiście są jeszcze ludzie noszący biżuterię. Od lat przestałem się tym interesować.

— I są tacy, co ją kradną — przyznał inspektor.

— Chce pan wiedzieć o sposobach kradzieży biżuterii? — zamyślił się stary złodziej. — Niech mi pan wierzy, nie ma w tym specjalnych tajemnic ani ustalonych metod. Niech pan

nie wierzy w te wszystkie naukowe brechdy...

Bystro spojrział na inspektora.

— ...proszę się nie dziwić. Mnie interesuje literatura tego typu... czytuję. Śmiać mi się chce, jak rozwodzą się o sposobach. Nie ma sposobów. Jest inteligencja, spryt, wieloletnia praktyka i wyczulone palce... Bywa jeszcze talent, tak jak w każdym zawodzie. Jeżeli jest talent, to facet zostanie artystą w fachu, jeżeli go nie ma, to będzie rzemieślnikiem... rozumie pan? Nawet po najdłuższej praktyce pracujący musi ćwiczyć ręce. Codziennie po kilkadziesiąt minut takiej specjalnej gimnastyki. Palce muszą być elastyczne i delikatne, szczególnie wyczulone opuszki. To da się porównać z palcami muzyka... Chociaż? Kiedy ja pracowałem, to zawsze w kieszeni nosiłem butelkę ze spirytusem — nie, nie do picia. Picie zgubiło niejednego marwicheira... to koniec kariery. To była specjalna flaszka z pięcioma otworami, robili je kiedyś na Kleparowskiej we Lwowie. W tym się trzymało palce. Spirytus zmiękczał naskórek, wydelikacał. Tak wyczulał, że na ślepo odróżniał się rodzaj papieru. Dotyk. Dotyk i refleks. Rozumie pan?

Rączka zamilkł na chwilę i pochylił się, nalewając wódkę.

— Żadnych innych sposobów? Tylko tyle? — zdziwił się major.

— Tylko! — roześmiał się z przekąsem Rączka. — Majorze, to cała nauka. Wiele wysiłku i stałe napięcie nerwowe. Gdyby pan nosił obrączkę, pokazałbym panu, jak się to robi. Wprawdzie jestem już stary i zręczność nie ta... ale jeszcze i gdyby pan nie był uprzedzony, to ani by się pan spostrzegł.

Inspektor wiedział już, że nic więcej nie dowie się od tego weterana. I wiedział również, że Rączka daleki jest od zdradzenia, a nawet potwierdzenia znanych metod, którymi posługują się kieszonkowcy. Jednak był z tej rozmowy zadowolony. Odnosił wrażenie, że ma przed sobą tęgiego gracza, który nie jest jeszcze tak zupełnie stracony dla złodziejskiego fachu.

Major pożegnał uprzejmego gospodarza. Rączka odprowadził go do przedpokoju. Kiedy inspektor był już w drzwiach, stary mistrz wyciągnął coś z kieszeni.

- 96 -

- 97 -

— Nic panu nie zginęło? — zapytał.

Inspektor odruchowo dotknął kieszeni.

— Chyba nie? — powiedział niepewnie.

— A zegarek? — Trzymał w ręku zegarek majora.

— Chciałem panu zademonstrować, jak to praktycznie wygląda. Prawda, że nie bolało? — roześmiał się z satysfakcją.

— Kiedy pan to zrobił? — zapytał major.

— Nalewałem wódkę, pan wtedy o coś pytał. Chwila była odpowiednia. Bo widzi pan, zapomniałem jeszcze dodać, że w tym fachu trzeba jeszcze umieć wybrać odpowiedni moment.

W domu oczekiwało na majora kolejne zaproszenie. Na białym kartoniku, złożonymi zawijaszami poselstwo Pernambuco zapraszało monsieur André Korosza na bankiet wydawany z okazji...

Major przysiadł na fotelu, wpatrując się bezmyślnie w zaproszenie. Owieczka podszedł do pana, sumiennie obwąchał kartonik, usiadł naprzeciw i kosmatą łapą trącił dłoń majora.

— Zajmij się psem, cały dzień ciebie nie ma — mówiły jego brązowe oczy.

Inspektor mechanicznie pogładził wełnisty grzbiet: Zastanawiał się, czy mają sens jego uparte wędrówki przez salony recepcyjne ambasad. Może rzeczywiście ta metoda haczyków w przekłutych palcach jest fantazją autorów pasjonujących się tematem?

Jednak nawet nie pomyślał, że mógłby nie pójść wieczorem do poselstwa Pernambuco. Zadzwoił do swojej dziewczyny, również oficera operacyjnego milicji.

— Dzisiaj znów mam ambasadę, pójdziesz? — zapytał.

— Wciąż haczyki? Wprawdzie cierpię za wiarę, ale pójdę

— zgodziła się.

— Za co? — nie zrozumiał major.

- 98

— Za wiarę, że mogę chodzić w pantoflach numer 35. Kupiłam i teraz cierpię. Pozdrów Owieczkę — dodała.

Inspektor, ubrany w smoking i nieskazitelnie białą koszulę, wstąpił wieczorem po Krystynę.

Na podjeździe przed poselstwem portier dyrygował ruchem podjeżdżających samochodów. Majorowi wskazał miejsce do zaparkowania wozu i z ukłonem otworzył drzwiczki.

W hallu prowadzącym do salonów recepcyjnych, na wprost otwartych dwuskrzydłowych drzwi, sekretarz poselstwa z małżonką — eteryczną, upierścienioną brunetką — robił honory domu i serdecznie witał wchodzących gości.

Twarze strojnych, wydekoltowanych kobiet w łagodnym, ruchliwym świetle wieloramiennych kandelabrow i kinkietów nabierały subtelnego, pastelowego kolorytu Botticellowskich obrazów. To światło było łaskawe dla kobiet. Tuszowało zmarszczki i zbyt dokładny makijaż. Zapalało tysiące ogni w szlachetnych kamieniach, zdobiących ich nagie szyje i ręce. Przez chwilę Krystyna poczuła się przytłoczona wystawą pysznych klejnotów i kosztownych futer, przeważnie z niedbałym wdziękiem wleczonych w opuszczonych dłoniach.

Kurczowo zacisnęła palce na ramieniu Andrzeja; major zrozumiał moment paniki, jaka ogarnęła dziewczynę. — Wyglądasz bardzo pięknie — uśmiechnął się do niej. — Bardzo pięknie i jesteś... młoda.

Krystynie od razu wróciła pewność siebie. W swojej białej sukience i długich, złotych rękawiczkach znów poczuła się elegancka. Ukazał się jego ekscelencja sam poseł repub-

liki Pernambuco i zgromadzone towarzystwo przeszło do następnego salonu, grupując się wokół wysokich, ustawionych w podkowę stołów. Kolacja odbywała się na stojąco.

Major z Krystyną znaleźli się wśród grupy korespondentów zagranicznych pism.

Uskrzydleni kelnerzy napełniali różnymi trunkami liczne kieliszki stojące przy każdym nakryciu.

- 99 -

Wzniesiono toast. Poseł Pernambuco mówił krótko, w okrągłych francuskich zdaniach, o rocznicy, z okazji której podejmuje tak miłych i drogich jego sercu i republice gości. Ktoś inny nawoływał do przyjaźni i wzajemnego poszanowania narodów. Płynęło wino i wzniosłe słowa...

A stoły przedstawiały rzeczywiście pełne zbratanie narodów. Połyskliwe ziarnka ciemnego kawioru z Astrachania sąsiadowały z obłożonymi lodem półmiskami bladych małży z wybrzeża Atlantyku, portugalskie sardynki z produktem winnic Szampanii, a różowe płatki polędwicy i butelki polskiej Żubrówki stały w zgodzie z ciężkim winem hiszpańskim.

Major rozmawiał z dziennikarzami.

Kawę i kolejną serię trunków podano w następnej sali.

Goście przechadzali się lub stali małymi grupkami. Obsługa zrećnie balansowała wśród nich z tacami pełnymi aromatycznej mokki w maleńkich filiżankach, z kieliszkami koniaków.

Korosz polemizował z włoskim dziennikarzem. Krystyna zorientowała się, że Andrzejowi zależy na tej żywej wymianie zdań i starała się również, aby rozmowa nie wygasła.

Rozmawiali o włoskiej partii chrześcijańskiej.

Ostatnią rzeczą, która interesowała w tej chwili majora, była włoska chadecja, ale dziennikarz był ruchliwy, przechodził od grupy do grupy, zaczepiał znajomych, bezceremonialnie wciągał do rozmowy każdego, kto tylko chciał go słuchać. Zasięgał ich opinii, przekonywał, powoływał się na ich świadectwo, a ponieważ mówił żywo, barwnie i interesująco, więc prędko wokół niego urosła grupa kilku osób.

Przy pomocy włoskiej chadecji major niebawem obszedł całą salę i prawie nie było grupy ludzi, w której by nie przystanął przynajmniej na chwilę.

Wątkował z zapalem temat i przyglądał się rękom. Dłonie, dłonie... jak kadry z surrealistycznego filmu przesuwają się przed jego oczyma męskie dłonie.

Ręce o długich, wąskich palcach, szerokie, mocne, z krótko obciętymi paznokciami, porośnięte ciemnym włosiem, ręce nerwowe, pulchne, z palcami jak kielbaski, pokryte brunatnymi plamami, ręce pomarszczone, stare...

Czuł się zmęczony długim napięciem i dzieleniem uwagi.

Właśnie zatrzymał się kelner z tacą. Znad brzegów tacy wyglądały tylko jego kciuki opięte rękawiczką.

Kilka rąk wyciągnęło się po kieliszki. Jedna z nich, szeroka,

o bardzo jasnej skórze, wychylająca się z białego mankietu, podała kieliszek pięknej kobiecej dłoni o długich paznokciach. Kiedy graniasta nóżka kieliszka przeszła do wysmukłych kobiecych palców, major zobaczył przez chwilę wewnętrzną stronę jasnoskórej męskiej ręki...

Wydało mu się, że zauważył charakterystyczny ślad, którego z takim uporem poszukiwał na przyjęciach w tyłu ambasadach.

Z nowym przyływem energii odpowiadał Włochowi. Upięrał się przy swoim zdaniu — prawie polubił impetycznego Włocha i jego chadecję.

Męska ręka znowu wróciła na tacę, ujęła wysmukłą szklanekę z bursztynowym napojem, powędrowała w górę i znikła z pola widzenia.

Major poczuł nieznośne napięcie. Nie mógł od razu przenieść wzroku za ruchem tej dłoni. Bał się, że zwróci uwagę tamtego.

Inspektor również sięgnął po kieliszek. Wolno podniósł go do ust, wypił łyk, ogrzewał szkło w dłoni. Wtedy przez chwilę mógł spojrzeć na właściciela bladej ręki.

Wysoki brunet o falujących, gęstych włosach i pięknym profilu stał z boku, po prawej stronie majora. W prawej ręce trzymał wysmukłą szklanekę. Przez klarowny, jasnozłocisty napój z kawałeczkami lodu na dnie, widać było lekko zniekształconą, ale dzięki płynowi powiększoną, wewnętrzną stronę palców.

- 100 -

- 101 -

Jak przez szkło powiększające widać było rozplaszczoną o ściankę pucharu pionowe linie przecinające palce i poprzeczne załamania stawów... w przecięciu stawów major dostrzegł niewielkie, zgrubiałe blizny naskórka.

„Trzeba umieć wybrać odpowiedni moment”—przypomniała się majorowi dewiza Rączki. Zdarzył się odpowiedni moment —pomyślał. Stopniowo opadało w nim napięcie—uzyskał pewność. Teraz na chłodno zastanawiał się, co powinien zrobić.

Za żadną cenę nie wolno mi go stracić z oczu — pomyślał o czarnowłosym mężczyźnie. Rozmawiając, zastanawiał się, czy ma natychmiast opuścić poselstwo i zawiadomić Cieślika? A jeżeli mężczyzna z bliznami na palcach wyjdzie w tym czasie? Porozumieć się z Krystyną, żeby ona zawiadomiła służbę X? Nagłe wyjście któregoś z nich mogło zwrócić uwagę nieznajomego.

Brunet odstawił pustą szklanekę i wolno oddalił się, w towarzystwie właścicielki długich paznokci i grubaska o palcach jak kiełbaski, w kierunku otwartego tarasu. Przystanęli przy grupie osób stojących na progu tarasu. Major musiał działać natychmiast. Mężczyzna o pięknym profilu uściskał wyciągniętą dłoń kobiety, pożegnał się z tęgim panem i wymijając spacerujące grupki ludzi, pośpieszył do wyjścia.

Inspektor dał znak Krystynie — oboje skierowali się w stro-

nę hallu.

— Jeżeli on nie jest zmotoryzowany, to ty siadasz za kółko

— powiedział do dziewczyny. — Ja spróbuję pójść za nim.

— W smokingu?

— Mam płaszcz w wozie.

Ale interesujący ich mężczyzna był zmotoryzowany. Kiedy żegnani ukłonem portiera znaleźli się na podjeździe, brunet wsiadał już do szarego mercedesa.

— Już mam numer jego wozu, Andrzej.

— Numer może być fałszywy — Korosz kopnął starter i wyprowadził wóz z podjazdu.

Jechał w przyzwoitej odległości za szarym mercedesem.

102

Widział uciekający asfalt jezdni, czerwone światła i oświetloną tabliczkę numeru tamtego wozu.

Krystyna ujęła mikrofon nadajnika.

— Tytus, Tytus woła Rzym! Pozostaję na odbiorze.

Wywołała hasło radiostacji lokalu kontaktowego służby x.

W nadajniku panowała cisza. Krystyna przekręciła gałkę odbioru, sprawdziła długość fal.

— Tytus, Tytus wzywa Rzym!! Odbiór!! — ale radiostacja milczała.

— Coś nie w porządku z nadajnikiem, Andrzej.

— Sprawdź membranę — poradził major. — Będę jechał za nim, dopóki nie nawiążemy łączności. — Krystyna odkręciła ebonitowy dysk osłaniający membranę. Panowała nad sobą, ale ogarniało ją coraz większe zdenerwowanie, tym bardziej że nie stwierdziła żadnych uszkodzeń w słuchawce.

Jeszcze kilka razy bezskutecznie próbowała nawiązać łączność.

— To jakieś poważniejsze uszkodzenie nadajnika, powiedziała.

— Cholera! — rozłościł się major. — Zawsze jakieś sakramenckie niespodzianki.

Gwałtownie zahamował — zatrzymały ich czerwone światła. Tamten zdążył przeskoczyć przecnicę. Major z niepokojem śledził oddalające się tylne światła szarego mercedesa.

Spojrzał na boki, z determinacją ruszył, nie zważając na czerwone światła — znowu trzymał się w niedalekiej odległości od tamtego. Zdawał sobie sprawę, że takie śledzenie szarego mercedesa nie może trwać długo. Tamten może się zorientować. Jakim sposobem zawiadomić służbę X?

— Na Rondzie robię kraksę — zawiadomił Krystynę.

Trzymaj się, a później wyskakuj na chodnik i wzywaj wywiadowców.

Przez oparcie pierwszego siedzenia przedostała się na tył samochodu. Usiadła po lewej stronie, z dłonią na klamce

- 103 -

Jechali teraz szybciej, minęli gmach Komitetu Centralnego. Major jeszcze zwiększył szybkość, wpatrywał się z napię-

ciem w zbliżający się nikłowy zderzak szarego mercedesa.
— Uważaj! — zawołał do Krystyny.
W tej samej chwili rozległ się trzask, uderzenie wstrząsnęło samochodem, dziewczynę zarzuciło na poduszki siedzenia. Major kurczowo trzymał kierownicę.
Krystyna wysliznęła się z samochodu.
Od strony Nowego Świata nadbiegł milicjant. Zanim major — zresztą bez pośpiechu — i właściciel szarego mercedesa wysiedli z wozów, na krawężniku zebrała się już grupka ludzi. Warszawiacy są ekspertami z zamiłowania, szczególnie samochodowymi.
— Chciał go minąć na chama!
— Eee! Hamulce mu wysiadły...
— Co pan tam wiesz, mercedesiak nagle przyhamował i tamten nie zdążył...
— Dają neptkom prawa jazdy... po co, lebiega, stawał?
— Pewnie pijany... ale modelowy fordziak, choleera! — zaklął ktoś z podziwem nad wozem majora.
— Tabaka, forda nie widział! — zganił jakiś pogardliwy głos. Milicjant spisywał dane z dowodów właściciela mercedesa i majora. Nadjechała milicyjna jawa, porucznik z rombem służby drogowej na rękawie energicznie zrobił pomiary, narzucił pośpiesznie szkic sytuacyjny w notatniku, sprawdził sprawność obu wozów.
— Może pan jechać — powiedział do właściciela mercedesa, przykładając dwa palce do daszka.
Wszystko trwało nie dłużej niż kwadrans. Major niepokoił się, czy służba X zdąży przejąć obserwację. Porucznik podszedł do majora, w rękę trzymał próbkę trzeźwości.
— Rzeczywiście, piłem! — mruknął inspektor. Na rozwartej dłoni pokazał znaczek tajnej służby operacyjnej.
Porucznik skinął na milicjanta, aby zajął się jawą. Bez słowa wskazał majorowi miejsce po prawej stronie wozu. Sam usiadł za kierownicą — zawiózł majora do domu. Samochód zabrał do Komendy Ruchu.
Następnego dnia z samego rana wezwał inspektora pułkownik Lis.
— Miałeś krakę po pijanemu — raczej stwierdził, niż pytał.
— Spiłem się jak bydlę kieliszkiem koniaku w poselstwie — wruszył ramionami major. Później opowiedział wydarzenia wczorajszego wieczoru.
— Szlag mnie trafia! — irytował się major. — Sprawność sprzętu to u nas metafizyka. Nadajnik, drobiazg, może być nieczynny. Trumna, a nie wóz operacyjny — rozżłoszczony inspektor przesadzał.
Służba X zdążyła roztoczyć opiekę nad właścicielem szarego mercedesa — w południe inspektor otrzymał pierwszy meldunek od Cieślaka:
— Ale porucznik magister Wilczyńska — Cieślak mówił o Kry-

stynie — zna leksykonik... no, no, kto by to przypuszczał...
— Ale z was skarżypyta, Cieślik, no, no, kto by to przypuszczał — uśmiechnął się major, naśladując ton wywiadowcy.
— Ja nie skarżę, tylko podziwiam — wyjaśnił porucznik. — Koleżanka wsparła nas przez telefon mocnym słowem w imieniu majora... Jeden z naszych wozów przejeżdżał przez plac Trzech Krzyży, więc zaraz został skierowany do tego mercedesa, później dostałem zmianę. Major widział te haczyki? — nie mógł wytrzymać Cieślik. Rozpierała go ciekawość.
— Widziałem blizny na palcach, charakterystyczne blizny — powiedział Korosz.
— Blizny? — Cieślik był wyraźnie rozczarowany. Inspektor wyciągnął rozwartą dłoń.
— O, takie, przyjrzyjcie się, poruczniku — powiedział, wskazując dwie ledwo widoczne szramy w zagięciach wskazującego i środkowego palca.
- 104 -
- 105 -
— Major ćwiczył? — zdziwił się wywiadowca.
— Chciałem się przekonać, czy częste przewlekanie haczyków pozostawia widoczny ślad. Z literatury to nie wynikało. Tylko że to się odnosi wyłącznie do złodziei biżuterii... innych nie rozpoznamy po rękach. Wiecie już coś o tym faciecie?
— Nazywa się bardzo pięknie — Borys Velder, trzydzieści trzy lata, mieszka na Nowym Świecie z bardzo ładną dziewczyną. Dozorca, człowiek starej daty, wyrażający się elegancznie, określa, że pan Velder żyje w konkubinacie...
— Rozmawialiście z dozorcą? — z niezadowoleniem przerwał major.
— Już nie ma innych sposobów, żeby dowiedzieć się czegoś lokatorach? — zniecierpliwił się Cieślik. — Może major być spokojny, nie spłoszymy faceta. Oboje są plastykami, zajmują się dekoracją wnętrz. Babka ma pół etatu w Cepelii, udziela w sklepie porad, wie major: „Porady plastyka”. Zarabia tysiąc złotych miesięcznie. On nie ma stałego zajęcia — chałturzy, gdzie się da. Trudno sprawdzić ich rzeczywiste dochody.
— Mercedes to jego własność?
— Jak najbardziej — skinął głową Cieślik. — Otrzymuje przekazy na bank PKO. Za mercedesa zapłacił dwieście siedemdziesiąt tysięcy. Zdaje się, że ten samochód pochodzi z marynarskiego importu. Personalia, które podał milicji podczas kraksy, i numer wozu są prawdziwe.
— Mogło się obejść bez kraksy — mruknął major. — Czy coś skradziono wczoraj w poselstwie?
— Zginał pierścionek ze szmaragdem — piętnaście karatów. Ale właścicielka nie jest pewna, mówi, że mogła go zgubić, ponieważ był dość luźny. Oczywiście szukano w salonach poselstwa, bez skutku. Mają nadzieję, że znajdą, bo służba

jest tam znana z uczciwości. Chyba że pani zgubiła klejnot gdzie indziej.

Za pośrednictwem urzędnika MSZ pokazano fotografię Borysa Veldera kobiecie, której zginął pierścionek ze szmaragdem. Owszem, znała go z widzenia, stykała się z nim kilka razy w podobnych okolicznościach co w poselstwie Pernambuco. Kiedyś, nie pamięta już, gdzie to było, nawet został jej przedstawiony. Zapomniała jego nazwisko. O ile się nie myli, to jakiś plastyk, podobno bardzo zdolny.

Znalazło się jeszcze kilka osób — pracowników różnych placówek dyplomatycznych—które tyle samo lub mniej mogły powiedzieć o Velderze. Jedno było pewne: Borys Velder był w tym środowisku.

Poselstwo Pernambuco nie mogło stwierdzić z całą pewnością, czy na ostatnie przyjęcie zostało wysłane zaproszenie dla Borysa Veldera.

— Jeżeli to plastyk, to może coś będzie wiedział attachat kulturalny — powiedział urzędnik poselstwa.

Ale attachat kulturalny nie mógł powiedzieć nic pewnego, Inne placówki nie znalazły nazwiska Borysa Veldera w spisach zapraszanych gości, z tym jednak, że nie miano co do tego zupełnej pewności.

— Wielka sztuka podrobić takie zaproszenie, a nawet zdobyć oryginalny blankiet — skrzywił się Cieślik. — Jak będę znał drukarnię, w której to drukują, to za ćwiartkę dostanę cały pęczek takich druków.

Borys Velder nie był znany milicji—jego opinia była bez zarzutu. Major zaczynał mieć wątpliwości co do swojej hipotezy.

— Jest dekoratorem, blizny mogły po prostu powstać podczas jego pracy — rozważał.

— Zobaczysz się — zdecydował Cieślik. — Pochodzimy koło niego, to się okaże, gdzie kaleczy sobie ręce.

Major zgodził się z porucznikiem. Poprosił urzędnika MSZ o informowanie go, czy w przyszłości nazwisko Veldera będzie figurowało w spisach gości zapraszanych na przyjęcia w placówkach dyplomatycznych.

- 106 -

107

Inspektor od napadu na Architekta zwracał uwagę na wszystkie, nawet najdrobniejsze, szczegóły towarzyszące podobnym zjawiskom. Mimo dochodzenia w tych sprawach milicja nie natrafiła na ślad napastników. Nigdy nie było świadków, a pokrzywdzeni nigdy nic nie wiedzieli. Major doszedł do wniosku, że nie chcieli wiedzieć.

Jednak, co wydawało się rzeczą znamioną, w większości wypadków dało się ustalić, że ofiary późniejszych napadów oraz znani milicji złodzieje byli widywani przez wywiadowców w lokalach pierwszej kategorii, w hotelach, na lotniskach lub w międzynarodowych ekspresach. Po kilku lub kilkuna-

stu dniach taki złodziej padał ofiarą pobicia.

Ta akcja miała charakter zorganizowany. Odnosiło się wrażenie, że ktoś nie życzy sobie, aby notowani przez milicję kieszonkowcy kradli lub przebywali na tym terenie. Ktoś w taki sposób wymierzał karę opornym i zaprowadzał jakąś swoją dyscyplinę.

Założenie to potwierdzały obserwacje. Coraz rzadziej milicyjni wywiadowcy widywali w tych miejscach znanych doliniarzy.

„Ścisły podział terenu — myślał major. — Znani milicji złodzieje na pewno ściągają za sobą wywiadowców, którzy przy okazji mogą zaobserwować również i nieznanego im dotychczas kieszonkowca”.

Osiem napadów na doliniarzy było wobec tego dziełem jednej ręki, ściśle: jednej grupy ludzi — prawdopodobnie Asów doliny.

— Jesteś zdania, że mamy do czynienia z zorganizowaną bandą? — zainteresował się Lis, przysłuchując się wywodom Korosza.

— Z bandą? Ja tak bym tego nie określił. Widzę dwa zwalczające się obozy. Pierwszy to czołówka doliniarzy — mistrzów w zawodzie, którzy jeszcze, niewątpliwie dzięki swoim umiejętnościom, nie wpadli. Operują oni na określonym terenie i bronią dostępu do tego terenu partaczom lub kolegom po fachu znanym milicji. Druga grupa to przedstawiciele średniej klasy złodziei, takiej jak Złoty Polo lub Architekt. Oni znają się między sobą, w niektórych wypadkach nawet sobie pomagają, ale nie są zorganizowani.

— Ci ostatni mogą znać inspiratorów napadów — wtrącił Lis.

— Niewykluczone, że mogą — zgodził się major. — Tylko, że niczego się od nich nie dowiemy.

— Biorąc za pewnik to, co powiedziałeś, jest i trzecia grupa.

— Jest. Wykonawcy. Ci, co biją. Dlatego niczego nie możemy dowiedzieć się od pobitych, ponieważ mógłby zdarzyć się odwet dużo groźniejszy niż lanie.

W kilka dni później Cieślik, dając majorowi codzienne sprawozdanie o Borysie Velderze, przypomniał sobie—jego zdaniem — mało ważne wydarzenie.

— W porcie lotniczym widziano Złotego Pola. Miał lecieć do Wrocławia. Przed samym odlotem, bestia, rozchorował się na serce czy coś takiego. Na pewno łobuz symulował. Nabral mi chłopaków. Prawdopodobnie obrobił już upatrzonego gościa i podróż była niepotrzebna. Gdyby go kazali natychmiast zrewidować, to mogliby znaleźć łup. Bo on chodzi samotnie, nie ma tycecal.

— Poruczniku, przejmujcie inwigilację Pola — polecił major.

— Aż inwigilację? Mam łączyć pod tę jego budę na Czerniakowskiej i rejestrować, co on jada? Jak się pokazuje w miej-

scach, gdzie może coś zwędzić, to i tak jest obserwowany. Polo! Co to za problem, żeby go musiała ściśle obserwować służba X.

1 Tycer — pomocnik złodzieja kieszonkowego, który sam nie kradnie.

- 108 -

- 109 -

Widząc niecierpliwy gest majora, dodał:

— To nie są moje ambicje, tylko mi szkoda ludzi i pieniędzy. Wykształcenie, aparycja, znajomość języków, wymagania, bógwico, a później uganianie się za byle worychą! Ostatecznie dzielnice mają swoich wywiadowców, niech go pilnują. Na klasę Złotego Pola to w sam raz, a nawet za wiele. Wystarczyłby posterunek gromadzki — wybrzydzał Cieślik.

— Przewiduję napad na Złotego Pola. Chcę znać tych napastników, poruczniku. — Major wyjaśnił swoje założenie.

— Mam zatrzymać napastników? — dowiadywał się Cieślik.

— Nie. Mam nadzieję, że dzięki nim poznamy resztę bandy i być może — Asów.

— Rozumiem — zgodził się Cieślik. — Polo dostanie manto prawie pod naszym patronatem. Interweniuję dopiero wtedy, gdyby go chcieli zabić.

Tak jak przewidywał major, w kilka dni później Złoty Polo został znowu pobity. Napad był podobny do poprzedniego. Polo znowu trafił do szpitala. Lekarz stwierdził, że życiu pacjenta nic nie zagraża. Nie było żadnych złamań, poważniejszych obrażeń. Otrzymał tylko solidne lanie.

Cieślik, który zjawił się z tą wiadomością u Korosza, był trochę markotny.

— Polo w szpitalu. O napastnikach nic nie wiem — lakonicznie zawiadomił inspektora.

— Byliście zdania, że to zajęcie dla posterunku gromadzkiego — wypomniał Korosz porucznikowi — a wy do wyższych celów.

— Zaniósł go do parku w Wilanowie. Noc. Ani żywego ducha. Jeżeli to manto w ogóle miało dojść do skutku, to wywiadowcy nie mogli nigdzie pchać się tuż za nim. Jak doszli do ' Worycha — złodziej.

parku, to już było po herbacie. Polo był gotów. Od dnia obserwacji raz tylko był w „Cristalu" z Messerschmittem. Ale to nie on. W czasie kiedy Polo dostał wycisk, Messer był w domu.

— Sądziłem, że zaobserwujecie jego kontakty — przerwał z niezadowoleniem major. — Okazało się, że dosłownie patrolowaliście napadowi.

— Przecież mówię, że poza Messerem z nikim nie był widziany. Myślę, że trzeba w inny sposób poszukać dojścia do tych napastników.

— W jaki? — zainteresował się major.

— Pociągnąć za język Złotego Pola. On na pewno wie, czyja

to robota. Milicja niczego się od niego nie dowie i on ma w tym swoją rację, ale koledze może się pożalić. Spróbuję zaprzyjaźnić się ze Złotym — sprecyzował swój pomysł Cieślik.

— Zamiast przyjaźni możecie zarobić nożem w plecy.

— Zaraz nożem — skrzywił się Cieślik. — Dolina stroni od majchra. Najwyżej solidne manto.

Porucznik otrzymał zaświadczenie stwierdzające, że przed kilkoma dniami został zwolniony z więzienia po odbyciu kary dwóch lat więzienia, skazany z artykułu 257 Kodeksu Karnego. Wybrał sobie rzadką specjalność złodziejską — szczura hotelowego¹. Z wielu przyczyn nie chciał uchodzić za kieszonkowca.

Złoty Polo mieszkał na Czerniakowskiej u Dziuni. Lokal ten wraz z jego właścicielką był popularny i ceniony w pewnym środowisku, natomiast dzielnicowy miał o nim odmienne zdanie. Z uporem i bezskutecznie zabiegał w Radzie Narodowej o wysiedlenie Dziuni z Warszawy, nazywając jej mieszkanie „meliną”, a jej licznych znajomych „elementem przestępczym”.

1 Szczur hotelowy

złodziej okradający wyłącznie pokoje hotelowe.

- 110 -

- 111 -

Toteż mieszkanie Dziuni było często nawiedzane przez patrole milicji. Czasami — używając terminologii protokołów milicyjnych — „przetrzymywała osobników niemeldowanych”. Wynikała z tego różnica zdań, bo Dziunia twierdziła, że kuzyn przyjechał wczoraj i właśnie rano miała go zameldować, a milicjanci, że Dziunia znowu kłamie i „przetrzykuje”. Czasami delikwent wędrował do komisariatu, skąd wracał nazajutrz lub po dużo dłuższej nieobecności. Czasami Dziunia stawała przed kolegium orzekającym, gdzie dowiadywała się, że została ukarana grzywną za wspomniane „przetrzymywanie”.

Między dzielnicowym a Dziunią trwała lokalna wojna. Milicjant twierdził ponadto, że Dziunia to „element”, a Dziunia, że sierżant ją szykanuje, bo jej chłop miał pecha i dostał „ósemkę” za „skok”, a w rzeczywistości to wcale nie był skok, tylko sprawa honorowa. Sąd — nierozróżniający takich subtelności — zakwalifikował sprawę honorową jako napad rabunkowy z bronią w rękę.

Dziunia, kobieta pod pięćdziesiątkę, o aparycji rosłego dra-gona, przyjęła Cieślika z rezerwą.

— Potrzebuję mety — bez wstępów zawiadomił Cieślik.

— Na długo?

— Muszę się rozejrzeć... nie wiem.

— Kto cię tu przysłał? — dowiadywała się Dziunia.

— Ziółko. Widziałem się z nim w klatce. Tylko ja już wychodziłem.

— Ile szwicowałeś¹?

— Dwa lata.

— Za co?

— Takie tam. Ling zecowałem². A zresztą, znasz kodeks? Z paragrafu 257 — podał jej dokument stwierdzający zwolnienie z więzienia.

— Możesz pomieszkać — zgodziła się Dziunia. — Jest tu jeszcze jeden stały, Złoty Polo. Znasz?

— Nie znam — zaprzeczył Cieślik.

— Ładny chłopak jesteś — Dziunia otaksowała go spojrzeniem — i taki słuszny w sobie. Ciepłe binie¹ nabierasz, co? Lecą na ciebie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podjęła rzeczowo:

— Pięć stów miesięcznie. Za jedzenie oddzielnie. Tylko żadnego trefnego facjantu² nie chcę tu widzieć. Pamiętaj! Jak tylko co zginie w Warszawie albo, nie daj Boże, kogo dmuchaną w uśmiech, to blachownia³ stąd nie wyłazi.

— Sie wie — mruknął Cieślik. — No, to pojedę po walizkę — podniósł się z miejsca.

— Siedź — rozkazała Dziunia. — Zaraz pošlę dziewczynę, gdzie masz te klamoty?

— W przechowalni na Głównym — powiedział, podając kwit.

Dziunia zastukała w ścianę, po chwili zjawił się chudy podłotek na bardzo cienkich nogach. Ciekawie zerknął na Cieślika, ale Dziunia krótko wydała polecenie i wypchnęła ją za drzwi.

Wieczorem, gdy Cieślik na dobre rozlokował się u Dziuni, zjawił się Złoty Polo. O niedawnym pobiciu świadczył jeszcze tylko okazały siniec pod oknem, który przybrał już pastelowe, żółto-zielone barwy.

— Będzie mieszkał — stwierdziła lakonicznie Dziunia, prezentując w ten sposób Cieślika.

1 Szwicować — siedzieć w więzieniu.

2 Ling zecować — siedzieć w więzieniu niewinnie.

1 Binia — kobieta, dziewczyna, kochanka.

2 Trefny facjant — kradzione przedmioty.

3 Blachownia — milicja.

- 112 -

- 113 -

Polo nie okazał ani zdziwienia, ani zainteresowania.

Cieślik do kolacji zażądał wódki, czym wzbudził uznanie Dziuni. Złoty Polo przyjął poczęstunek jako rzecz zupełnie naturalną i w pełni mu należną.

— Licz się z groszem, póki nie zarobisz — przestrzegła po macierzyńsku Dziunia. — Te kazonne moniaki¹ rozejdą ci się raz dwa. Z buchy wyszedł — poinformowała Pola.

Polo bez zainteresowania, raczej z towarzyskiego obowiązku, zahaczył w rozmowie o więzienne wrażenia Cieślika. Porucznik odpowiadał niechętnie, monosylabami.

Dziunia uzupełniła wiadomości o nowym lokatorze, wymieniając jego protektora, Ziółkę.

Na wspomnienie Ziółki Złoty Polo ożywił się, uniósł kielszek. Zanim wypił, obejrzał jego zawartość pod światło.

— Niezły z niego bliciarz², tylko że jak raz człowiek trafi do rejestrów, to już mu później żyć nie dają — westchnął. —

Hinty³ nie dają, swoi nie dają... — dodał po chwili.

— A po co się Hrabiemu pchasz w łapy? — wtrąciła się Dziunia. — Jak będziesz z nim zadzierał, to ci zdrowie odbierze.

— Prosiłem cię o radę? — z nagłym rozdrażnieniem popatrzył na nią Polo. — Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy, bo to już na pewno nie wyjdzie mi na zdrowie.

— Phi! Nie swoje sprawy — skrzywiła się pogardliwie Dziunia. — Dzielnicowy już mnie pytał, kto ci tak uśmiech defasonował.

— Dziunia! Zamknij kłapaczkę — kategorycznie zażądał Polo.

1 Kazionne moniaki — państwowe pieniądze, tu: zarobione podczas odsiadki wyroku w więzieniu.

2 Blit — złoto; bliciarz — złodziej biżuterii.

3 Hinty — milicjanci.

Kobieta umilkła. Podczas wymiany zdań między obojgiem, Cieślik nie odzywał się. Sprawiał wrażenie zajętego bez reszty pochłanianiem duszonej baraniny, którą Dziunia podała na kolację.

— Poszukuję tycera — Polo uważnie przyglądał się Cieślikowi.

— Nie moja branża — powiedział Cieślik z pełnymi ustami. — Pracowałem w hotelarstwie. Dobre zajęcie i nie wymaga wspólnika.

Cieślik dzielił z Polem pokój. Rzadko bywali sami. Przychodzili różni, nieraz bardzo dziwni goście. Niektórzy znikali po przespaniu jednej nocy, inni zostawali na kilka dni. Dziunia udzielała gościny wszystkim, którzy się zgłosili, nawet nieznanym, jak Cieślik — wystarczyło powołanie się na jakieś znajome nazwisko, a częściej pseudonim. Wszystkich bez wyjątku traktowała z szorstką poufałością. Jej goście czuli przed nią respekt — była w tym małym światku osobliwym autorytetem.

U Dziuni o każdej porze można było kupić ćwiartkę i wypić ją na miejscu, najczęściej pod duszoną baraninę, która była specjalnością jej kuchni, pograć w „oko” lub inną równie atrakcyjną grę. Goście o zacięciu sportowym mieli do dyspozycji dwa komplety szachów i domino.

Lokal odwiedzali włamywacze, pajęczarze, łaziki, piechociarze, hołociarze, doliniarze i cały różnorodny złodziejski klan. Cała ta społeczność miała jedną cechę wspólną — wszyscy mieli już poza sobą mniejsze lub większe wyroki. Byli notowani. Ten fakt określał ich pozycję i odpowiednio ustawiał

w złodziejskim społeczeństwie. Ich koledzy po fachu, którzy nie weszli jeszcze w kolizję z prawem — szczelnie izolowali się od tego środowiska i nigdy nie przestąpili progu mieszkania na Czerniakowskiej.

Gospodyni osobliwego lokalu i jej goście nie mieli zwyczaju pytać współtowarzyszy o cokolwiek. Jedyнным wyjątkiem od tej

- 114 -

- 115 -

ściśle przestrzeganej reguły były pytania, z jakiego artykułu siedział. Nie: „za co siedział w więzieniu”. Takie pytanie było nietaktem. Oni nie przebywali w więzieniu za coś. Oni byli skazywani z jakiegoś artykułu — taki był obowiązujący fason. Toteż znajomość kodeksu karnego i wszelkiego rodzaju ustaw była w tym środowisku imponująca. Operowano numerami paragrafów ze swobodą i znanstwem niczym wśród wytrawnych prawników.

Polo darzył porucznika czymś w rodzaju powściągliwej sympatii. Chętnie wypijał z nim wódkę, za którą płacili na zmianę. Nigdy jednak nie zwierzał mu się ze swoich osobistych spraw.

Po dwóch tygodniach Cieślik zorientował się, że stary złodziej nieprędko obdarzy go zaufaniem, a najprawdopodobniej nigdy.

Porucznik zdawał sobie sprawę, że nie może przeciągać swego pobytu u Dziuni. Poza Ziółkiem, na którego powołał się prawem kaduka i co również mogło się wydać, nikomu nie był znany. Ten absolutny brak znajomości jednak trochę dziwił tolerancyjną Dziunię i był główną przyczyną powściągliwości złodzieja.

Porucznik uznał dalszą rolę szczura hotelowego za bezowocną i postanowił następnego dnia zadzwonić do majora, z prośbą o „aresztowanie”. Ale jeszcze tego samego wieczoru wyreczyła go w tym miejscowa Komenda Dzielnicowa, która dowiedziała się, że Dziunia znów „przetrzymuje”.

Dzielnicowy złożył wizytę w mieszkaniu na Czerniakowskiej. Niepoprawnej podopiecznej wypalił reprimendę, nie rezygnując z akcentów pedagogicznych, a Cieślika krótko, lecz bardzo stanowczo zaprosił ze sobą.

— Do wyjaśnienia — poinformował zwięźle.

W komisariacie pouczył go o konsekwencjach, jakie grożą osobom niemeldowanym i — ponieważ nie znalazł podstaw do zatrzymania — odprawił go do domu.

Następnego dnia porucznik zdał relację o efektach swojej misji majorowi Koroszowi.

— Hrabia! — powiedział. — Polo zadarł z Hrabią i jeżeli będzie mu się nadal pchał w łapy, to otrzymywać będzie systematyczne lania, aż do utraty zdrowia. Przynajmniej taka jest opinia Dziuni, a wierzę, że ta niezrównana kobieta w tej dziedzinie jest ekspertem — zakończył porucznik.

Major połączył się telefonicznie z Komendą Miasta.

— Proszę o ustalenie, czy na terenie Warszawy i wielkiej Warszawy dzielnicowi znają człowieka o pseudonimie Hrabia... nie, nic więcej nie wiem... może to być również przezwisko, a nie wykluczam, że i nazwisko.

Ale dzielnicowi nie znali. Zgłoszono majorowi różne zbliżone przezwiska. Był Książę, Baron i Książ, ale Hrabiego nie było.

Wywiadowcy dzielnic i służba X również nie zetknęła się dotychczas z człowiekiem o takim zawołaniu.

— Może Hrabia nie pochodzi z Warszawy? — zastanawiał się Korosz.

— Specjalnie przyjeżdża spuszczać baty Polowi? — powątpiewał Cieślik.

— Dwa pobicia doliniarzy zdarzyły się w Krakowie i Szczecinie.

— To raczej tam jeździ na gościnne występy — odrzekł porucznik. — Większość napadów miała miejsce w Warszawie. Mimo starannych poszukiwań przy pomocy tajnej służby, major nie mógł wpaść na ślad człowieka noszącego miano Hrabiego.

Milicjanci i wywiadowcy na terenie Warszawy otrzymali polecenie niezwłocznego zawiadomienia Korosza, gdyby w jakichkolwiek okolicznościach spotkali się z tym pseudonimem.

W kilka dni później, wieczorem, zadzwonił w mieszkaniu majora telefon.

Korosz siedział z Krystyną przy butelce wina, z radia płynęła cicha muzyka. Owieczka wylegiwał się, oparty o nogi Andrzeja. Było miło, przytulnie, o szyby monotonna bębnił deszcz.

Major niechętnie sięgnął po słuchawkę. Dzwonił dyżurny komisariatu na Powązkach.

— Podczas bójki zatrzymano trzech chuliganów. Reszta zbiegła. Zatrzymani twierdzą, że zostali napadnięci przez Hrabiego. Majora zdaje się interesuje ten Hrabia? — powiedział dyżurny.

— Interesuje — mruknął major. — Zaraz przyjadę — dodał.

Owieczka, przekrzywiając kosmaty łeb, z uwagą wpatrywał się w inspektora.

— Zaraz wrócę — zawiadomił Krystynę, narzucając nieprzemakalny płaszcz.

Pies, przeciągając się, odprowadził go do drzwi. Ze słabą nadzieją powachlował ogonem.

— Owieczka nie idzie — zdecydował major.

W komisariacie dyżurny wyjaśnił szczegóły zajścia, tak jak je przedstawili milicjanci z patrolu.

Dwaj funkcjonariusze, pełniący służbę w okolicy Powązkowskiej, zaalarmowani krzykami natknęli się na rozprawę chuligańską. Zatrzymali trzech młodych mężczyzn, którzy go-

nili grupę innych. Ponieważ było ciemno, padał deszcz, a tamci mieli liczebną przewagę, ujęto tylko tych trzech.

— Cała trójka zgodnie twierdzi, że to tamci ich napadli, a oni się tylko bronili — uzupełnił dyżurny. — Milicjanci widzieli, jak tylko trzech goniło tamtych rzekomych napastników. Na mój gust jedni warci drugich. Kazałem zamknąć w areszcie, bo stawiali opór. U jednego znaleźliśmy pilnik... jest w depozycie.

Inspektor przejrzał notatkę o zatrzymaniu: student Akademii Sztuk Pięknych, monter od Kasprzaka i kamieniarz. Kamieniarz sądownie karany. Dwa lata więzienia za uszkodzenie ciała. Pilnik znaleziono przy kamieniarzu. Major zważył w dłoni ciężkie narzędzie — tym można zabić. Co łączy tę trójkę? Przyjaźń? Zamiłowanie do burd? Przypadek? Co mogą mieć wspólnego z Hrabią?

Wbrew milicyjnym zwyczajom poprosił ich wszystkich razem. Weszli gęsiego, człapiąc butami bez sznurówek. Patrzyli na majora nieufnie — nastawieni na obronę. Jeden z nich — krępy, mocny chłopak — miał świeżo zabandażowaną rękę. Przez bandaż przesiąkała krew.

— Co to za wojna, panowie? — zapytał major. Podsunął im papierosy. Po krótkim wahaniu wszyscy trzej zapalili.

— Napadli nas — wyrwał się szczupły chłopak z żywymi, czarnymi oczyma. — Kwadratowego przejechali żyłką po rękę. Mieliśmy czekać, aż nas pozarzynają? Ale blacharze... przepraszam, milicjanci tamtych nie gonili... za ciemno było — można coś zarobić — uśmiechnął się ironicznie. — Więc zwinęli nas i w taki sposób ma pan chuliganów.

— Kwadratowy to nazwisko? — zwrócił się major do chłopaka z bandażem.

— Moje nazwisko ma pan w protokole — wybuchnął Kwadratowy. — Ma pan gotowy schemacik! Wszystko pasuje. Bandyta jestem. Siedziałem w więzieniu... mam pseudonim, napadam niewinnych ludzi. Znaleziono przy mnie pilnik. Co pan jeszcze chce wiedzieć? — mówił napastliwie, arogancko.

— Za co siedziałem? — za pobicie. Za ciężkie pobicie. Recydywa. Zadowolony pan?

— Wcale — spokojnie stwierdził major.

— Przestań się stawiać, Kwadratowy — wtrącił się pojednawczo wysoki chudzielec z wydatnym nosem. — Odpowiadaj po ludzku, jak cię po ludzku pytają. Kwadratowy to przezwisko — wyjaśnił, zwracając się do majora. — Tak go przezywamy, zresztą nie tylko jego. Jurka — wskazał czarnookiego chłopaka — nazywamy Monter, jeszcze jeden kolega ma prze-

- 118 -

- 119 -

zwisko Rentgen, innego przezywamy Fajka. Pan rozumie, to nie są żadne pseudonimy.

— A jakie pan nosi przezwisko? — zainteresował się major.

— Czasami wołają mnie Dziób — klepnął się po wydatnym nosie — ale rzadko. Przeważnie mówią po nazwisku, Skoczyk.

— Przyjaźnicie się, panowie? — major spojrzał po chłopakach.

— Tak — powiedział za wszystkich Skoczyk. Z całej trójki on czuł się najpewniej. — Kwadratowy to porządny chłopak — stwierdził autorytatywnie. — Siedział za pobicie? Fakt. Z punktu widzenia prawa... no tak, ale również ważne są pobudki, panie majorze. Osobiście dla mnie najważniejsze są pobudki. A nad motywami, jakie zdecydowały o czynie Kwadratowego, można byłoby dyskutować. Pan jako przedstawiciel milicji, mógłby się ze mną nie zgodzić, ale jako prywatny człowiek, być może, przyznałby pan mi rację. Dlatego też błędem byłoby nazywać Kwadratowego chuliganem-recydywistą tylko dlatego, że ma za sobą wyrok.

— A dzisiejsza awantura? — major ważył w dłoni ciężki pilnik.

— Nie my, a nas napadnięto, niech nam pan wierzy! Naprawdę — powiedział Kwadratowy.

Major pomyślał, że mimo tego pilnika i niedawnej arogancji chłopak wyglądał na szczerego i mimo woli budził sympatię.

— Pan się spodziewał napaści? — major bawił się pilnikiem.

— Tak — przyznał Kwadratowy.

— Dlatego nosił pan przy sobie to narzędzie? — Kwadratowy potwierdził ruchem głowy. Na twarzach jego kolegów odmalował się niepokój.

— Z kim ma pan porachunki i dlaczego? — pytał major.

— Hrabia Siekierk zaczął kiedyś na Torwarze dziewczynę, z którą tam byłem. Bardzo ordynarnie ją zaczął.

— Hrabia Siekierk? A jak on się rzeczywiście nazywa?

— Nie wiem. Widziałem go jeden raz, wtedy na Torwarze.

— Skąd pan wie, że on ma takie przezwisko?

Kwadratowy przez chwilę nie odpowiadał. Siedział z oczyma wbitymi w kąt pokoju. Major powtórzył pytanie.

— Ich wtedy było dwóch. Jego kolega powiedział, że bym nie zaczynał z Hrabią Siekierk, bo prawdopodobnie nie zdaję sobie sprawy, na kogo się narywam, czy coś takiego, już dokładnie nie pamiętam.

— Dzisiaj na pewno napadł was Hrabia? Poznał go pan?

— Napadła nas jego hewra. Hrabiego nie było.

— Skąd pan wie, że Hrabia ma hewrę? Przecież poza przezwiskiem nic pan o nim nie wie. Dlaczego jest pan przekonany, że to byli wspólnicy Hrabiego?

Kwadratowy znów nie odpowiedział. Jego koledzy nerwowo palili papierosy, żaden z nich nie zdradzał ochoty, aby go wyręczyć w odpowiedzi.

— Jestem bardzo silny — Kwadratowy wyprostował bar-

czystą postać — i to widać — przyjrzał się swoim muskularnym rękóm. — Sam bałby się ze mną zaczynać, dlatego sądzę, że nasał na mnie kumpli.

— Więc konflikt między wami — wtedy jedyny raz na Torwarze — był tak silny, że Hrabia nie zrezygnował z zemsty? Sądzi pan, że dotychczas pamięta urazę?

— W grę wchodziła dziewczyna — mruknął Kwadratowy.

— Hrabia znał tę dziewczynę?

— Nie. Widział ją pierwszy raz, ale to bardzo ładna dziewczyna — zapewnił szybko Kwadratowy.

Major orientował się, że kamieniarz nie powiedział mu wszystkiego i, sądząc po jego zachowaniu, nie powie. Nie, żeby kłamał. Omijał jakąś istotną w jego przekonaniu część prawdy, prawdy nieprzeznaczonej dla milicji. Nie bardzo umiał

- 120 -

- 121 -

ukrywać to, co miał do ukrycia. Inspektorowi wydawało się, że podczas rozmowy były momenty, w których chłopak chciał powiedzieć coś więcej, wahał się, później przeważała nieufność i znowu odpowiadał na pytania w ściśle przez siebie zakreślonych granicach. Wypadało to kanciasto, nieprzekonywająco, a chwilami naiwnie.

Major był już teraz pewny, że Kwadratowy ma jakiś poważny zatarg z Hrabią Siekierem, że zna go lepiej, niż usiłował to przedstawić podczas przesłuchania i nie chce wtajemniczać w to milicji.

Zapytał o rysopis Hrabiego. Był on tak mglisty, określenia tak sprzeczne, że prawie nieprawdopodobieństwem było rozpoznać na tej podstawie człowieka.

Inspektor pomyślał, że między tym upartym, zaciętym chłopakiem a tajemniczym Hrabią prędzej czy później dojdzie do decydującej rozprawy. Nie wiadomo, czy z tej rozgrywki Kwadratowy — mimo niewątpliwie dużej siły fizycznej — wyjdzie obronną ręką. Tamten może mieć na usługach znaczną grupę ludzi.

Major nie wątpił, że istnieje człowiek noszący przezwisko Hrabia Siekierem, mimo że dopiero po raz drugi usłyszał ten pretensjonalny pseudonim. Tylko czy to jest ten sam człowiek, który z taką konsekwencją wymierza kary za nieprzestrzeżenie praw doliny? Przecież ten siedzący naprzeciw majora kamieniarz nigdy nie miał nic wspólnego z kieszonkowcami. A może to jakieś dawne porachunki z okresu, kiedy Kwadratowy siedział w więzieniu? Może tam naraził się komuś, za kogo teraz mścił się Hrabia? A może po prostu jest tak, jak mówi ten uparty chłopak? Tamten zaczepił bardzo brutalnie dziewczynę kamieniarza. Major doskonale znał mentalność i ambicję młodzieży niektórych środowisk z Powązek, Pragi, Czerniakowa, Woli.

Charakterny chłopak. Ten kamieniarz wyglądał na takiego, sądząc chociażby z jego niedawnego wybuchu, gdy ma-

— jor zapytał go o nazwisko. „Stawiał się”, jak określił to dyżurny komisariatu.

— „Chłopak jest uparty, zapalczywy — myślał inspektor. — Jego pojęcie o honorze wyklucza bezkarne zaczepianie dziewczyny będącej w jego towarzystwie. No, dobrze. Ale w takim razie powinno to doprowadzić do scysji już tam, na Torwarze. Kamieniarz twierdzi, że Hrabia był w towarzystwie tylko jednego mężczyzny... Więc? Mógł się bać i ustąpić. Równie dobrze mógł go kamieniarz pobić... Nie, nie na Torwarze”. Inspektor wiedział, jak się to załatwia. Obaj przeciwnicy za wspólnym porozumieniem wychodzą w jakieś ustronne miejsce, żeby nie ściągnąć interwencji przechodniowi milicji. Jeżeli Hrabia wyszedł z tego specyficznego pojedynku pokonany, mógł teraz szukać odwetu.

— Wtedy na Torwarze nie doszło między wami do bójki?

— z niedowierzaniem zapytał major.

— Nie — potrząsnął głową Kwadratowy. — Było dużo ludzi... już miałem wyrok, muszę się pilnować. Nie chcę więcej siedzieć w więzieniu. A jak mu powiedziałem kilka słów, to położył uszy po sobie, chociaż z początku się odgrażał.

— Jak się nazywa dziewczyna, którą on zaczepił? — Kwadratowy niespokojnie popatrzył na Montera, którego nagle bardzo zajęły własne paznokcie.

— Zuzanna Herc — powiedział kamieniarz. — Ale ona tu nic nie zawiniła, panie majorze. To bardzo porządna dziewczyna — zapewnił gorąco. — Jeżeli pan uważa, że jestem winny, no to trudno. Ale dlaczego szarpać dziewczynę?

— Niech pan nie robi przykrości dziewczynie — wstawił się student. — Pracuje u znanego fotografika, może pan słyszał to nazwisko — Piotr Radley? Ona jest jego asystentką. To ważne, żeby miała tam dobrą opinię. Przecież nie można obarczać odpowiedzialnością kobiety tylko dlatego, że zaczepił ją jakiś łobuz, no nie?

— Ależ oczywiście — uspokoił ich major.

— Co pan z nami zrobi? — zapytał z niepokojem Monter.

— Pójdziecie panowie do domu.

Cała trójka popatrzyła na siebie — twarze im pojaśniały.

— Będzie sprawa w kolegium? — dowiadywał się Monter.

— Nie. Tylko podpiszecie mi zobowiązanie, że nie będziecie szukali Hrabiego i jego hewry.

— A jeżeli on nas poszuka? — zapytał Kwadratowy.

Inspektor był w kłopotcie. Rozumiał aż nadto dobrze pytanie. Tak, jeżeli tamten ich poszuka, a nie będzie w pobliżu milicji?

— Zawsze ma pan prawo się bronić, zawsze — podkreślił.

— Tylko... niech pan nie nosi ze sobą pilnika, bo to będzie świadczyło przeciw panu.

— Równy z pana gość, panie majorze — wyrwał się stu-

dent.

Wszyscy trzej z zapalem potrzasnęli na pożegnanie dłonią majora i wyszli gęsiego.

Inspektor, wracając do domu, myślał z niepokojem o tych chłopakach. Równy gość! Za mało jednak równy, aby mu powiedzieć całą prawdę.

„Muszę porozmawiać z tą dziewczyną — pomyślał Korosz. — Zuzanna Herc, asystentka Radleya. Czy ona może znać Hrabiego?”.

Kwadratowym niech się zajmie Cieślik. Prędzej czy później ten kamieniarz może trafić na bandę Hrabiego. Ten gang może być groźny... A może ten chłopak był kiedyś związany z szajką?

Jednak natychmiast odrzucił to przypuszczenie. Nie. Mimo ciężącego na nim wyroku i środowiska, wśród którego mieszka, nie pasował do bandy... sprawiał wrażenie zbyt solidnego.

Niech Cieślik przeprowadzi dokładne wywiady o całej trójce — postanowił inspektor. — Tak dla spokoju sumienia. W domu Krystyna kończyła jeść kolację. Naprzeciw niej siedział Owieczka. Gdy uznawał, że zbyt długo nie otrzymuje kolejnego kęsa — trącał ją łapą, aby zwrócić na siebie uwagę.

— Nie czekałam — powiedziała, podsuwając Andrzejowi jedzenie. — Owieczka i ja byliśmy głodni. A swoją drogą pies jest paskudnie rozpuszczony. Ze swojej miski nie chce jeść, a przy stole siedzi i liczy kęsy. Dopomina się bezczelnie! Dłużej już nie mogłeś siedzieć w tym komisariacie?

— Miałem interesującą rozmowę — usprawiedliwił się major.

— Ja jestem bardziej interesująca — stwierdziła dziewczyna. — Aha! Był tu dozorca i przyniósł jakiś list dla ciebie. Podała majorowi dużą kopertę z szarego papieru. Była zaadresowana na maszynie: „Major Korosz — przez grzeczność”.

— Zaklejona — zauważył Korosz, rozcinając kopertę.

W środku znajdowało się sześć pięćsetzłotowych banknotów i kartka wielkości wizytówki, na której napisano na maszynie jedno słowo: Dziękuję.

— Kto to przyniósł? — zdziwił się major.

— Mówiłam, że dozorca.

— Kto to zostawił u niego?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Dozorca powiedział, że przyniesiono do niego ten list rano, a ponieważ ciebie nie było, postanowił oddać wieczorem, co też uczynił.

— Zupełnie nie mam pojęcia, kto mi zrobił ten prezent.

W każdym razie nie jestem zachwycony formą przekazania — skrzywił się major. — Mam dość zagadek w pracy.

— Może komuś pożyczyles pieniądze i zwrócił ci w ten sposób? Ostatecznie trudno cię zastać w domu, a nie każdy ma ochotę jechać tak daleko, na Puławską.

— Pożyczyłem Cieślikowi — przypomniał sobie major. — Dla ścisłości nie trzy tysiące, tylko pięć. Ale on widuje się ze mną codziennie. Zresztą nikt nie zwraca pieniędzy w taki sposób. Z taką kartką — szczyt oszczędności słowa.

- 124 -

- 125-

— Cieślika trzymają się kawały — westchnęła Krystyna.

— To w jego stylu.

Major zadzwonił do Cieślika, ale jego telefon nie odpowiadał.

Następnego dnia inspektor wpadł w taki kierat codziennych zajęć, że chwilowo zapomniał o wczorajszym liście. O jedenastej, przetykając spieszenie śniadanie, spotkał w kasynie Cieślika i przypomniał sobie dziwaczną przesyłkę.

— Ostatni tysiąc prześlecie, poruczniku, przez gołębia pocztowego? — zapytał.

Tamten spojrział na majora z niezbyt mądrą miną.

— Major potrzebuje pieniędzy? — domyślił się wreszcie.

— Marny z pana wierzyciel — skrzywił się z naganą.

— Bez głupich kawałów. Wczoraj zwróciliście mi trzy tysiące przez dozorcę?

— Ja?! — Cieślik był uosobieniem zdziwienia. — O co mnie major posądza — zgorszył się. — O zwrot pieniędzy w tydzień po pożyczeniu. Czy ja na takiego wyglądam? Nie żartuję — spoważniał Cieślik. — To nie ja przysłałem te pieniądze.

Inspektor był coraz bardziej niezadowolony. Już poprzedniego wieczoru nie podobała mu się ta przesyłka. Teraz był przekonany, że za szarą kopertą kryje się jakaś niemiła niespodzianka. Idąc do pułkownika — chciał niezwłocznie zawiadomić go o tym fakcie — wyrzucał sobie, że nie uczynił tego z samego rana. Jak mógł zlekceważyć tę kopertę z pieniędzmi! Kto może być tym bezimiennym ofiarodawcą? Co za filantrop przesyła trzy tysiące złotych na prywatny adres oficera milicji? To znaczy, że zna jego adres — coraz gorzej.

„Z jaką sprawą prowadzoną przeze mnie — myślał inspektor — mogą wiązać się te pieniądze?”

Pobieżnie przypomniał sobie ostatnio zakończone dochodzenia. „Czyżby to się wiązało z aktualnie prowadzonym śledztwem w sprawie kieszonkowców? Złodzieje uznali, że im zanadto przeszkadzam i chcą mnie kupić. W taki sposób?

126

Czyżby sądzili, że wezmę pieniądze i przejdę nad nimi do porządku? Później szantaż? Można i tak”.

Majora ogarnęło rozdrażnienie — narastała w nim złość.

W pierwszej chwili nie uświadamiał sobie, z jakiego powodu.

— Ktoś chce mnie kupić za trzy tysiące — położył przed lekko zdziwionym Lisem kopertę z pieniędzmi.

Opowiedział Lisowi o szarej kopercie i swoich domysłach.

— Podejrzewam, że za tym kryje się paskudny kawał. Ktoś

próbuję ordynarnego szantażu — zżymał się major.

— A najbardziej szlag cię trafia, że ocenili cię na trzy tysiące, a nie na trzysta, przyznaj? Mnie nie bardzo zmartwiła ta koperta — ciągnął Lis.

— Wiesz co — przerwał major — mam wielką ochotę zrobić im kawał, cholerną ochotę. Na przykład co byś powiedział na anons w prasie: Major Korosz tą drogą dziękuje nieznanemu ofiarodawcy sześciu pięćsetek... numer... seria...

— Czekaaj, czekaaj — powstrzymał go pułkownik. — Na kawały zawsze mamy czas.

— No tak — westchnął major. — Powiniennem zaczekać na szantaż...

— Uczepiłeś się tego szantażu, że aż przykro słuchać — wzruszył ramionami Lis. — Jednak miłość własna ogranicza rozumowanie.

— Znowu zaczynasz?

— Kiedy ty mi nie dajesz nawet zacząć. Myślę, że nie doceniłeś przeciwnika. Masz go za bardzo głupiego, jeżeli sądzisz, że zaraz przyjdzie cię szantażować. Gdyby uważał, że ten numer wystarczy, znaczyłoby to, że ma cię za skończonego durnia, a w takim wypadku byłbyś właściwie nieszkodliwy. Po co wydawać pieniądze na łapówki dla nierozgarniętego faceta, który prowadzi dochodzenie? Po co go kompromitować? Mogą go przecież odsunąć od śledztwa i dać kogoś, kto je poprowadzi skuteczniej.

- 127 -

I

Ani Lis, ani Korosz nie przewidzieli, że już następny dzień przyniesie wyjaśnienie celu nadesłania majorowi szarej koperty. Trzeba przyznać, że obaj niezupełnie słusznie przewidywali intencje ofiarodawcy.

W biurze przepustek przygarbiony staruszek zostawił list.

Poprosił starym, drżącym głosem o przekazanie go najwyższemu zwierzchnikowi majora Korosza. Wymięta koperta została doręczona Lisowi.

Nieporadne kulfony adresu objaśniały: „Do zwieszchnika majora Korosza — do ronk własnych”.

„Znowu jakiś anonim albo elaborat maniaka” — pomyślał Lis. Nie znosił anonimów. Zawsze złościła go świadomość, że musi je jednak czytać. Czasami dostarczały wskazówek w ważnych sprawach — wtedy pochodziły od ludzi zastraszonych lub bojących się zemsty. Ale lwia część takiej korespondencji była wyrazem niskich intencji ich autorów.

Wyjął z koperty kartkę kratkowanego papieru wydartą z zeszytu. Przebiegł oczyma tekst. Jeszcze raz przyjrzał się krzywym, niechlujnym kulfonom i zawołał Korosza.

— Masz tu radosną twórczość na swój temat — podał majorowi pognieciony list.

Inspektor czytał:

Major Korosz jest wielka figura i chyba dlatego wszyst-

ko mu uchodzi bezkarnie. Łapówki każe sobie przysyłać do domu zamiast listów. Jest mi wiadome, że niedawno wziął trzy tysiące. Żałuję, że nie znam numerów tych pieniędzy, bo bym podał i może byście u niego znaleźli. On wypuścił chuliganów na Powązkach i za to wziął te pieniądze. Wszyscy ludzie wiedzą, że major Korosz za pieniądze to by dał się powiesić i wszystko zrobi. On podrywa zaufanie do ludowej milicji i rządu. Co jest sabotaż i wroga robota do ustroju.

Ludowy Obywatel.

128 -

— Mam być skompromitowany i odsunięty od dochodzenia — pokiwał głową major. — Intencje jasne, tylko ogromnie naiwne wykonanie.

— Trzeba się liczyć z prowokacją, Andrzeju — ostrzegł Lis. — Sądzę, że na tym się nie skończy. Gdy zorientują się, że ten donos nie poskutkował, mogą wymyślić coś mniej naiwnego.

— Jeżeli poziom będzie podobny, to nie przewiduję komplikacji — skrzywił się Korosz.

— Co to za chuligani z Powązek? — zainteresował się Lis.

— Korespondencja Ludowego Obywatela już zaczyna działać — roześmiał się major. — Zwierzchnik majora Korosza ma wątpliwości.

— Może to ich robota? — zastanowił się Lis.

— Nie — żywo zaprzeczył major. — Młodzi ludzie, bardzo młodzi. Student, monter od Kasprzaka i kamieniarz, który siedział dwa lata za pobicie. Mieli jakąś bijatykę, osobiste porachunki z Hrabią.

— Wypuściłeś tę obiecującą młodzież? — pułkownik był sceptyczny.

— Tak. I nie tylko dlatego, że mogę przez nich trafić do Hrabiego. Nie tylko — potrząsnął głową. — To nie są źli chłopcy, a już na pewno nie chuligani. Mają jakiś konflikt, w ich pojęciu bardzo poważny, i nie zaufali mi na tyle, żeby o nim powiedzieć. Zwłaszcza ten kamieniarz. Robił wszystko, łącznie z narażeniem się na represje, żeby uniknąć mojej ingerencji w swoje sprawy. Odniosłem wrażenie, że coś ukrywa.

— A może powiedzenie prawdy sprowadziłoby bardzo kategoryczne postępowanie ze strony milicji? Pomyślałeś o tym? Może stosunki między tym kamieniarzem a Hrabią są typu „złapał kozak tatarzyna...”?

— Nie. Ci chłopcy sprawiają wrażenie porywczych, szczególnie ten kamieniarz. Mają swoje specyficzne poczucie honoru. Gotowi są często do nieprzemyślanych, żywiołowych odruchów

- 129 -

w obronie tego honoru. Mimo wszystko jednak ich poczucie dobra i zła nie odbiega zbyt od przyjętych norm.

— Iw imię tego dobra urządzają draki?

— Ich wyostrzone poczucie sprawiedliwości domaga się wymierzenia jej zaraz, natychmiast.

— Co zamierzasz zrobić, żeby te uosobienia sprawiedliwości nie zaprowadziły się, działając pod wpływem najlepszych intencji, za kratki? — nastawał Lis.

— Muszę poznać właściwe przyczyny tej świętej wojny z Hrabią.

— Poznawaj — westchnął Lis. — Myślę, że to niezbyt skomplikowany konflikt. Ale tak na wszelki wypadek pofatyguj personel Cieślaka. Mimo wszystko obawiam się, że Hrabia może z następnej rozprawy wyjść pokrzywdzony. Diabło trudno będzie przekonać sąd o świetlanych intencjach twoich pupilów. Major postanowił porozmawiać z Zuzanną Herc.

Na Mokotowie, gdzie była zameldowana, dowiedział się, że od miesiąca rzadko bywa w domu. Nie, nie miała zwyczaju zawiadamiać gospodarzy, gdzie przebywa. Jest asystentką fotografa Piotra Radleya. Jego pracownia mieści się na Tamce — najprawdopodobniej w ciągu dnia jest w laboratorium.

Major nie poszedł na Tamkę. Mógł zastać tam nie tylko Zuzannę Herc, ale również i jej szefa. Nie chciał sprawiać dziewczynie kłopotu, wyjaśniając przy nim cel swojej wizyty.

Dowiedział się niebawem, że Zuzanny nie ma w pracowni. Pomyślał, że może jest na Powązkach u Kwadratowego — ale i tam jej nie było.

Może jest w domu u swego szefa? Odnalazł w książce telefonicznej numer Radleya — zadzwonił. Po chwili ktoś podniósł słuchawkę po tamtej stronie.

— Słucham — powiedział kobiecy głos.

— Czy zastałem panią Zuzannę Herc? — zapytał major. — Asystentkę pana Radleya — dodał.

Na chwilę zaległa cisza.

— To ja, słucham pana? — W głosie czuć było lekkie wahanie.

— Mówi major Korosz. Jestem inspektorem służby kryminalnej milicji. Chciałbym z panią porozmawiać. Kiedy może się pani ze mną zobaczyć?

— Czy to w związku z Kwadratowym?

Major potwierdził.

— Mogę nawet zaraz spotkać się z panem — powiedziała dziewczyna. — Tylko gdzie i jak ja pana rozpoznam? Nie mogę pana zaprosić tutaj — wyjaśniła szybko. — Bo... bo to jest mieszkanie mego szefa.

— Rozumiem. Będę na panią czekał niedaleko... powiedzmy w „Krokodylu”?

— Dobrze, w „zakrystii”, na dole — poprosiła dziewczyna

— Pan jest w mundurze?

— Nie. Jestem w szarym ubraniu. Lubi pani różowe goździki?

— Lubię. Tylko... nie rozumiem.

— Będę miał różowy goździk. Rozpozna mnie pani po kwiatku. Zgoda?

W kwaciarni na Świętojańskiej major kupił obiecany goź-

dzik i ulokował się w kawiarni, w mrocznej salce oddzielonej od większej sali kratą z ciemnego metalu.

Zamówił kawę i położył na stoliku przed sobą kwiat.

Czekał niedługo. Zuzanna stanęła w jasnym prostokącie wejścia, rozejrzała i uśmiechając się porozumiewawczo, podeszła do majora, który na powitanie podał jej różowy kwiat na długiej łądydze.

— Dziękuję za kwiatek — powiedziała, siadając.

Przez chwilę z ciekawością przyglądała się Koroszowi.

— Inaczej sobie pana wyobrażałam — stwierdziła. — Chłopcy mi opowiadali o swojej przygodzie w komisariacie. Pan im się bardzo podobał... ale nie myślałam, że pan wygląda właśnie tak.

— Jak? Niechże pani powie, umieram z ciekawości.

— Oni mówili: „równy gość”... a pan wygląda jak... mój szef.

— Pani szef nie jest „równym gościem”? — zdziwił się major.

— Nie to chciałam powiedzieć. Pan jest w stylu mojego szefa. No, nie jest pan podobny do ludzi, których moi koledzy określają tym mianem.

Jej drobna, piękna twarz pokryła się lekkim rumieńcem zażenowania. Sprawiała wrażenie nieśmiałej dziewczyny, którą peszy niezręczne sformułowanie myśli.

Majorowi wydawało się, że gdzieś musiał już widzieć tę twarz, zrosnięte ciemne brwi i żywe zielone oczy z cętkowanymi jak u kota tęczęwkami. Znajome było pochylenie głowy, kiedy wyjaśniała znaczenie określenia „równy gość”; niecierpliwy ruch małej dłoni, odrzucającej pasmo włosów opadających na policzek; nawet uczucie, że szczupła, długa szyja dziewczyny wydaje się nierzeczywiście krucha w zestawieniu z tą masą lśniących, puszystych włosów. I timbre głosu melodyjny, trochę śpiewny...

— Martwi mnie Kwadratowy — zaczął major.

Chciał otrząsnąć się z tego męczącego wrażenia. Poszukiwał w pamięci sytuacji, w jakiej zetknął się z tą dziewczyną.

— Mam wrażenie — podjął — że on ma skłonności do wyolbrzymiania szczegółów, drobnych zdarzeń, które go dotknęły. Z upływem czasu te sprawy w jego odczuciu nie blakną, przeciwnie: narastają, olbrzymieją i rzeczywiście stają się ogromne. Później już nie zdaje sobie sprawy, że problem, który go nęka, jest urojony i takie rozmiary przybrał wyłącznie w jego wyobraźni. A ponieważ — tak mi się wydaje — jest z natury zacięty...

— Pan nie ma racji — przerwała dziewczyna. — Ja dobrze znam Kwadratowego. Myślę, że najlepiej ze wszystkich jego przyjaciół. On jest inny, wcale nie egocentryk... — namyślała się nad czymś przez chwilę. Precyzując swój sąd o przyjacielu, z namysłem zmarszczyła nos.

W tej chwili major przypomniał sobie bar w hotelu „Euro-

pejskim" i młodziutką dziewczynę siedzącą obok niego, która go zainteresowała i rozbawiła. Z ciekawością neofity oglądała etykiety butelek. Stojący za nią mężczyzna zapytał:

— Czego się napijesz?

— Czegoś dobrego, czegoś bardzo dobrego — powiedziała z namysłem i podobnie jak teraz zmarszczyła nos.

Przez chwilę miał ochotę przypomnieć jej tamten wieczór i zapytać, z kim była.

— To człowiek — powiedziała gorąco Zuzanna o Kwadratowym. — Widzi pan, nie znajduję innego określenia. Przy całym bogactwie języka, nie można nic trafniejszego powiedzieć o człowieku ponad to właśnie.

— Można znaleźć jeszcze kilka określeń — uśmiechnął się Korosz. — Tylko że są niemodne lub zużyte albo uważamy je za zbyt intymne. Żenują nas. To niewątpliwie jakaś obrona, chęć udowodnienia — często tylko przed sobą samym — że jesteśmy mocni, twardzi, pozbawieni sentymentów. Jesteśmy niecierpliwi, śpieszymy się ciągle, nawet w sytuacjach, które nie wymagają pośpiechu. Żądamy szybkości i skrótów, nawet nie prostoty, a właśnie skrótów. Stąd i nasze zwyczaje, nasz styl, nasz sposób przyjmowania zdarzeń, życia. Stąd chyba i nasze słowa, oszczędne, nieraz absurdalnie skąpe.

— Uważa pan, że to złe?

— Myślę, że trudne. Trudniej nam z tym żyć i trudniej trafić do drugiego człowieka.

— Ale uczciwiej — stwierdziła Zuzanna. — Co z tego, że zacznę mówić pięknymi, okrągłymi zdaniami, używając różnorodnych określeń... a nie będzie w tym ani jednego słowa prawdy?

Major nie odpowiedział. Dziewczyna mówiła porywczo, z nutą goryczy. Odnosił wrażenie, że było to dla niej bardzo

- 132 -

- 133 -

ważne, a słowa te nie były przeznaczone dla niego, że stał się przypadkowym słuchaczem.

— On jest prawdziwy, proszę pana. Rozumie pan istotę tego określenia? On niczego i nikogo nie udaje — jest sobą. Trzeba wiele odwagi i mocy charakteru, żeby być sobą. Takim, jakim się rzeczywiście jest. Bo przeważnie ludzie ciągle udają. Kwadratowy jest rzeczywisty. A poza tym jest dobry, koleżeński i bezinteresowny w tym koleżeństwie. A w słowach rzeczywiście jest oszczędny. Ma szorstki sposób bycia, mówi slangiem. To może zmylić przy powierzchownej ocenie. No, cóż, z pańskiego punktu widzenia jego przeszłość — mówię o więzieniu — opinia o miejscu, w którym mieszka, jego szorstkość — może nie budzić zaufania. Ale niech pan pomyśli, ilu on ma przyjaciół z różnych środowisk. Jak pan myśli, dlaczego człowiek ma przyjaciół? Ale takich prawdziwych, na dobre i złe? No dlaczego? — pytała natarczywie. Domagała się odpowiedzi. Chciała usłyszeć natychmiast potwierdze-

nie swego poglądu.

— Wspólne zainteresowania, podobne poglądy, atrakcyjność partnerów... — wyliczał major, rozmyślnie omijając to, co jej zdaniem stanowiło najistotniejszą przyczynę.

Przyglądała się inspektorowi z wyrazem leciutkiej wyższości.

— W przyjaźni liczy się przede wszystkim lojalność, kawałek serca i zaufanie, czasami dane na kredyt — powiedziała tonem zniecierpliwienia i pobłażania zarazem.

— A jeżeli taki kredyt zawiedzie? Okaże się, że nie ma na niego pokrycia?

— Wtedy nie będzie przyjaźni ani miłości, ani nic — powiedziała z goryczą. — Takie zawody przynoszą doświadczenie. Niektórzy ludzie nazywają to również dojrzałością.

— Uważa pani, że to nieprawda?

— Przeciwnie. Właśnie doświadczenie i tylko doświadczenie może określić dojrzałość. Nie wiek. To niezupełnie praw-

- 134 -

da, że doświadczenie przychodzi z wiekiem. Doświadczenie to intensywność przeżyć, ich nasilenie, ich suma.

— Chyba jeszcze umiejętność oceny tej sumy przeżyć. Wyciągnięcie wniosków — dodał major.

— Dlaczego to wszystko mówię? — podjęła Zuzanna. —

Chcę, żeby pan uwierzył, że to ostatnie zajście nie było z winy Kwadratowego ani jego kolegów. Kwadratowy nie jest mściwy. Najwyżej broni się albo broni słabszych.

— Przecież pani wie, że uwierzyłem pani kolegom.

— Jestem panu wdzięczna, majorze. Widzi pan, to ja byłam przyczyną tego spięcia na Torwarze. Ale bez mojej winy...

— Nikt z pani kolegów nie znał przedtem Hrabiego?

— Nie. Nikt z nas nawet nie słyszał o jego istnieniu.

— Więc dlaczego Kwadratowy upiera się, że wtedy na Powązkach napadli go koledzy Hrabiego?

— Ten facet wtedy się bardzo odgrażał, że poszuka ich i porachuje się z nimi, czy coś takiego... a ponieważ Kwadratowy nie ma z nikim zatargów, więc stąd to przypuszczenie.

— Jak wyglądał ten chłopak, który panią zaczepił?

— Taki wysoki, około trzydziestu lat — powiedziała.

— Blondyn, brunet?

— Nie pamiętam — wzruszyła ramionami. — Całe zajście trwało krótko. Z początku nie zorientowałam się, że te brutalne zaczepki są kierowane do mnie. Kwadratowy podszedł do niego i zaraz tamten uspokoił się. Podejrzewam, że facet był pijany i stąd to wszystko... później specjalnie nie zwracaliśmy na niego uwagi. Ja nawet nie spojrzałam w jego kierunku. Poza tym nie jestem pewna, czy ta awantura na Powązkach została zorganizowana przez tamtego. Jak wytrzeźwiał, to mógł zapomnieć. A zresztą czy poznałby Kwadratowego, którego też widział tylko jedyny raz?

Po wyjściu z kawiarni Zuzanna spiesznie pożegnała ma-

jora. Odniósł wrażenie, że chciała uprzedzić jego ewentualną propozycję odprowadzenia jej do domu.

- 135 -

Patrzył na oddalającą się dziewczynę, później jasna plama jej sukienki zniknęła w tunelu ulicy Freta.

Nad Starówką zapadał późny, letni wieczór — rozbłyły latarnie. Z otwartych okien kawiarni dobiegały dźwięki muzyki. Major poszedł wolno w stronę Pivnej. Myślał o Zuzannie. Spotykając się z nią nie spodziewał się uzyskać jakichś nadzwyczajnych wiadomości o człowieku, którego szukał. Chciał tylko zorientować się, czy ona wie o nim coś więcej oprócz tego, że zaczął ją na Torwarze, ale również nie sądził, że ta dziewczyna tak go zainteresuje.

Inspektora zastanawiała głęboka powaga i bolesna dojrzałość tej młodej, ślicznej dziewczyny. Nie znalazł w niej pozy na dorosłość, tej śmiesznej manieri, cechującej wielu jej rówieśników. Ona była rzeczywiście dorosła.

Jej zachowanie, słowa, nawet sposób bycia zdradzały jakieś gorzkie doświadczenie, zawody i utracone złudzenia.

Nawet jej gorąca, szczerza obrona przyjaciela potwierdzała to wrażenie.

„Ona robi porównania — pomyślał major. — Wszystko, co powiedziała, było nieustannym porównywaniem Kwadratego z jakimś innym człowiekiem. Innym mężczyzną. Może mężczyzną, którego kocha? I to porównanie ciągle wypadało na niekorzyść tamtego.

Dokąd ona pobiegła? Na Freta mieszka Radley. Od miesiąca nie ma jej w domu. Więc mieszka z fotografikiem i on jest tym kochanym mężczyzną?”

„Człowiek o głośnym nazwisku — pomyślał o Radleyu — sławny artysta, przebywający w środowisku, które imponuje młodym dziewczętom. Olśnił ją swoją pozycją, doświadczeniem, polorem. Jest przystojny, męski. Dużo mniej wystarczy, żeby zafascynować kobietę. A teraz zaczynają opadać złudzenia. Mimo dojrzałości, w tym wieku nie uznaje się kompromisów. Mit o kochanym człowieku rozpada się. Dziewczyna jest przeraźliwie sama...

- 136 -

Czy sama ze sobą potrafi dać radę? Radley to dojrzały człowiek. Czy zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje z Zuzanną? Czy zadał sobie trud, aby pomyśleć, że jest odpowiedzialny za tę młodą dziewczynę?

A może ten fotografik to stary, lekkomyślny chłopiec, ze psuty powodzeniem? Znał ten rodzaj mężczyzn. Na ogół podobali się kobietom — mieli fantazję, wdzięk, pozory głębi i przeważnie brak jakichkolwiek skrupułów.

Jak można pomóc tej dziewczynie?” — zastanowił się. Później ogarnęła go złość na siebie.

„Co za idiota! Przede wszystkim nie ma sensownych sposobów, aby pomóc w takich sprawach. Zawsze wyśmiewał

się z koleżanek, które zajmowały się młodzieżą, że zbyt poważnie traktują sercowe perypetie podopiecznych nastolatków. „Armia Zbawienia” — nazywali je między sobą inspektorzy operacyjni, nie siląc się na ukrywanie lekceważenia dla ich pracy.

Armia Zbawienia zajmowała się młodzieżą zanedbaną, młodzieżą znajdującą się w kolizji z prawem. Zuzanna Herc była zwykłą młodą dziewczyną, jakich wiele, tyle że tracącą złudzenia wobec człowieka, którego kocha. Ale to też były tylko domysły.

Radley jest sam w pracowni na Tamce. Może jednak wstąpić i porozmawiać z nim? Kto mnie upoważnił do takiej rozmowy? A gdyby jednak porozmawiać? — rozważał Korosz. — Tylko trzeba byłoby to jakoś obmyślić. Oczywiście nonsens, przekroczenie kompetencji, uprawnień...

Andrzeju — zajmij się swoimi złodziejami, a nie Radleyem i tą małą. Coś podejrzanie mocno przejął cię ten melodramat, czy nie dlatego, że dziewczyna jest taka śliczna? Cała ta paskudna heca zaczęła się na wystawie Radleya... Jego też okradziono... Ale jaki to ma związek z miłością jego asystentki?"

I

VIII. W mroku pracowni

Piotr Radley z napięciem oglądał obraz spływający spod cza-szy rzutnika. Manewrował podziałką, chciał uchwycić w kadrze to, co było najważniejsze w ekspozycji.

„Ja ich zmuszę do zobaczenia” — myślał z rozdrażnieniem, nie precyzując bliżej, kogo i do czego chce zmusić.

„Przyzwyczajali się do grzecznych, gładkich technicznie, nienaganych fotografii... już nic nowego na ten temat nie mogą powiedzieć... wszystko zostało powiedziane... Co za bzdura... wylizane fotografie... drzewko, woda, zwierzęta. Najwyżej techniczne triki, pretensjonalne, sztucznie uduchowione nastroje... i wszechwładza koloru...

Szkoda, że nie ma Zuzanny, ta dziewczyna ma rzadkie wycucie obrazu, wyczulenie na fałsz, na tę denerwującą gładkość, którą czasami zauważa się zbyt późno... jej propozycje bywają nieraz brutalne — Piotr nie znajdował innego określenia, mimo że nie oddawało wiernie ich charakteru — burzące wszelkie uznane prawa fotografiki, ale świeże, ciekawe, niebanalne. Ona powinna się uczyć. Może być świetnym fotografikiem. Pomyśleć, że zgodziłem się na jej współpracę prawie pod przymusem...

Zaraz, zaraz, jeszcze chwila. Tak, powiększyć ten fragment na dużym formacie, reszta nieważna... niepotrzebnie rozpraszają cały temat". — Podniecony regulował ostrość obrazu.

— Czy zastałem pana Radleya?

Piotr z niezadowoleniem odwrócił się na obrotowym krześle.

W mroku pracowni dostrzegł w progu drzwi sylwetkę wysokiego mężczyzny. Rozdrażniony, walczył przez chwilę z pragnie-

niem, aby zignorować intruza, powiedzieć mu, żeby sobie poszedł, natychmiast poszedł. Czy nie widzi, że on jest zajęty?
138

Opanował się z trudem — wstał.

— Słucham pana? — powiedział chłodno.

— Przeszkodziłem panu w pracy? — zapytał tamten z wahaniem. Stał niezdecydowany w drzwiach, czekając na zaproszenie.

Radley pomyślał, że powinien zamykać się podczas pracy. W ogóle nie słyszał, kiedy tamten wszedł. „Jak długo ten intruz już tak sterczy w drzwiach? Trzeba się szybko dowiedzieć, czego chce, i niech sobie idzie”.

— Proszę, niech pan siada. Czym mogę służyć? — W jego tonie nie było życzliwości.

Przybysz, dotykając ściany, zrobił niepewnie dwa kroki.

Radley dopiero teraz zorientował się, że w pracowni jest ciemno. Skąpe światło spod kopuły rzutnika nie obejmowało nawet miejsca, w którym on sam siedział. Właściwie powinien był zapalić światło — kontakt miał pod ręką. Nie zrobił tego jednak, uznał, że w tych warunkach tamten prędzej zrozumie, że przeszkadza i prędzej załatwi sprawę, z którą przyszedł.

Podszedł do intruza i dotknął jego ramienia.

— Tędy — powiedział, wskazując mu drogę. — Proszę usiąść

— pociągnął go w stronę krzesła. — Czym mogę służyć? — powtórzył, siadając na powrót przy stole projekcyjnym.

— Zabiorę panu trochę czasu.

— Słucham pana? — Radley nie silił się, aby ukryć zniecierpliwienie.

— Major Korosz, inspektor służby kryminalnej milicji — przedstawił się przybysz.

Radleyowi nie podobał się ton, jakim jego gość dokonał prezentacji.

— A ja... fotografista — mruknął z przekąsem.

— Przyszedłem do pana z nader drażliwą misją — podjął tamten, nie zwracając uwagi na wyraźną niechęć, z jaką traktował go Radley. — Ceniąc pański zawód, pański czas i pozycję, nie chciałem fatygować pana do siebie...

139

— Jestem zobowiązany — powiedział Radley z przesadą.

— ...dlatego, mimo że przerywam panu pracę, musi mnie pan wysłuchać. U pana pracuje Zuzanna Herc? — raczej stwierdził, niż zapytał.

— To moja asystentka.

— Pan żyje z nią? — To pytanie znowu zabrzmiało jak stwierdzenie.

Radleya zirytowała obcesowość pytania.

— Zapewniam pana, że Zuzanna i ja jesteśmy pełnoletni

— podkreślił dobitnie, hamując wzburzenie — i to są nasze osobiste sprawy.

— Nie tak osobiste, jak się to panu wydaje — powiedział

sucho tamten.

— Nie słyszałem o obowiązku zgłaszania na milicji, z kim śpiam.

— Niepotrzebnie pan ironizuje. Przyszedłem, aby pomóc panu wybrnąć z poważnego kłopotu.

— Jestem zobowiązany, ale nie mam kłopotów.

— ...Zuzanna Herc jest notowaną prostytutką, poszukiwaną przez milicję złodziejką i szantażystką.

Radley zaniemował na chwilę — wiadomość była piorunująca. Nie, to niemożliwe, ten major się pomylił.

— Ależ to nieporozumienie. To jakaś pomyłka. Zbieżność nazwiska... Doskonale znam Zuzannę.

— Od jak dawna?

Radley uświadomił sobie, że rzeczywiście od niedawna, że właściwie od kilku miesięcy. Ale to przecież nic nie znaczy, polecali ją studenci, przyzwoci, sympatyczni, godni zaufania chłopcy, których dobrze znał.

— Więc dawno zna pan Zuzannę Herc? — nastawał major.

— Od kilku miesięcy, ale to nie ma znaczenia. To jest koleżanka dobrze mi znanych młodych plastyków.

— Co poza tym wie pan o niej? O niej sprzed kilku miesięcy? Czy ci młodzi ludzie powiedzieli o niej coś więcej prócz tego, że to ich koleżanka?

— O nic więcej nie pytałem.

— Nic straconego, może pan ich zapytać. Powinien pan ich zapytać. Tylko że nic więcej nie będą w stanie powiedzieć, bo nic nie wiedzą. Nie wie pan, jak wygląda zawieranie znajomości wśród młodych ludzi? Przypadkowe poznanie, wspólna kawa, tańce i już jest koleżanka lub kolega.

— To pomyłka — potrząsnął głową Radley. — Od kilku miesięcy obcuje z nią na co dzień. Znam się trochę na ludziach. To nie może być prostytutka ani złodziejka. Prawie od początku ma klucze od mojej pracowni i mieszkania. Byłem kilka tygodni za granicą. Ona została sama na gospodarstwie. Nonsens! Pan się myli... Jej zachowanie, sposób bycia, wszystko... Muszę panu powiedzieć, że to bardzo zdolna i bardzo inteligentna dziewczyna. Poza tym nieśmiała i niewyrobiona towarzysko. Delikatna i subtelna... Nie, to nie może być prostytutka.

— Zgadza się z panem, to rzeczywiście bardzo inteligentna dziewczyna — przyznał tamten. — Właśnie jej zachowanie i sposób bycia zmyliły niejednego dojrzałego mężczyznę... Mam tu całą listę ludzi o ustalonej pozycji, o znanych nazwiskach, ludzi przeważnie żonatych, których ta mała podeszła podobnie jak pana.

— Więc dlaczego...

— Dlaczego milicja dotychczas jej nie zatrzymała? Jak już powiedziałem, ci ludzie mają ustaloną pozycję i nie są wolni. Płacili za chwilę — nazwijmy to — słabości do tego uroczego

stworzenia — milczeniem.

— Szantaż?

— Brutalny szantaż — skinął głową tamten. — Ona nie działała sama. Każdy z nich wolał stracić nieraz kosztowny przedmiot lub wręcz zapłacić żadaną sumę, niż narażać się na skandal. Zresztą nigdy nie przeciągała struny. W zasadzie

- 140 -

- 141 -

każdy opłacał się tylko raz, pod tym względem zachowywała swoistą uczciwość.

— Przecież to niemożliwe! — zawołał z rozpaczą Radley. Tamten gestem współczucia położył dłoń na jego ramieniu. W milczeniu sięgnął do kieszeni — podsunął Radleyowi fotografię pocztówkowego formatu.

— Poznaje pan? — zapytał.

W skąpym świetle, sączącym się spod kopuły rzutnika, ze zdjęcia patrzyła na Radleya Zuzanna.

— Długo grasowała bezkarnie — podjął cicho major. — Nikt nie meldował. Rozumiem tych ludzi. Poza szantażem tej osóbką, obawiali się kompromitacji ze strony milicji. Przesłuchania, świadkowie, rozgłos. Panuje niesłuszne przekonanie, że milicja nie jest dyskretna w takich sprawach. Udało się jednak zdobyć o niej wiadomości... Później znikła nam z oczu zupełnie. Myślałem, że zmieniła teren. Przed miesiącem dowiedziałem się, że przywarowała jako pańska asystentka. Sprytna, bardzo sprytna. Człowiek o głośnym nazwisku, pozycji... gdyby nie przypadek, nikomu z nas nie przysłoby do głowy szukać jej u pana.

— Pan ją aresztuje?

— Muszę. Gdyby nie fakt, że pan z nią żyje i nie ukrywa tego stosunku... zostałaaby aresztowana już miesiąc temu. Czekalem, sądziłem, że to przelotny romans... ale zorientowałem się, że rzecz jest dużo bardziej poważna...

— Dobrze pan ocenił — powiedział Piotr z przygnębieniem.

— Nie potrafię jednak być panu wdzięczny za te informacje.

— Doskonale pana rozumiem. Pan ją kocha. Musi upłynąć trochę czasu, żeby pan mógł pomyśleć o mnie bez niechęci. Nosiciele złych wiadomości o bliskich nam osobach nie zaskarbiają sobie sympatii. Wszystko, co mogę dla pana zrobić, to ocalić pana od skandalu. Nie chcę aresztować kochanki Piotra Radleya, znanego fotografika, dziewczyny, która mieszka z nim pod wspólnym dachem.

- 142 -

— Co mi pan radzi? — Radley był zupełnie bezradny.

— Proszę się z nią rozstać i jako z kobietą, i jako z pracownikiem. Proszę jej dać jakąś sumę pieniędzy. Nie ma pan żony, więc szantażu nie przewiduję... Po upływie, powiedzmy, miesiąca lub więcej zatrzymam ją, oczywiście bez rozgłosu. Tymczasem dobrze byłoby, aby pan bywał w towarzystwie kobiet ze swego środowiska, a jeszcze lepiej w towarzystwie jed-

nej kobiety. Rozumiemy się, prawda?

— Tak. Zrozumiałem pana, majorze i... dziękuję — powiedział z wysiłkiem Radley.

Jego gość wstał, przeprosił Radleya i na pożegnanie podał mu rękę. Już w drzwiach przypomniał sobie coś i odwrócił się do fotografa.

— Mam do pana prośbę — powiedział z wahaniem. — Uprzedziłem pana z własnej inicjatywy, nie na polecenie instytucji, którą reprezentuję. Moi przełożeni nie zawsze podzielają zdanie, że obowiązuje delikatność w postępowaniu z niektórymi ludźmi w takich drastycznych przypadkach. Jestem odpowiedzialny za dochodzenie w związku z tą matką... Oczywiście mam wiele swobody w działaniu, ale... proszę pana o zachowanie w dyskrekcji naszej dzisiejszej rozmowy i mojej wizyty u pana... nawet przed tą dziewczyną... Może ją pan zapytać, czy gra w pokera — dodał z naciskiem, wychodząc.

Piotr usiłował zebrać rozpierzchnięte myśli.

Sprytna szantażystka, prostytutka i złodziejka... Ależ to potworne... Ta dziewczyna ma zaledwie osiemnaście lat.

Teraz zobaczył w innym świetle różne zdarzenia, fakty z jej zachowania, które go nieraz niecierpliwiły, dziwiły, ale wrażenia te szybko mijały. Już takie miał usposobienie... nie zatrzymywał się długo nad drobnymi wydarzeniami, nie rozpamiętywał ich.

— To dla mnie jedyna możliwość pracy—przypomniał sobie jej słowa, jej napiętą twarz podczas pierwszej rozmowy, gdy usi-

143
łował wykręcić się od przyjęcia jej do pracy. Widocznie już wtedy zorientowała się, że szuka jej milicja. Chciała się ukryć. Jej przesiadywanie w pracowni, a nawet nocowanie... Wtedy uważał, że tak bardzo zależy jej na tej pracy...

Niechęć, strach przed pokazywaniem się w restauracji. Bała się spotkać tam klientów lub partnerów, których później szantażowała. Może to ludzie z jego środowiska? Znajomi? Mogliby go uprzedzić, a ją skompromitować. A ci jej znajomi? Przyjaciele — jak mówiła. Mrukliwe draby z cwaniackim akcentem, szczególnie ten kamieniarz.

A tak się ucieszył, gdy po powrocie z Rzymu przeniosła się do niego!

Zaczęła w nim narastać zacięta wściekłość oszukanego mężczyzny, któremu dziewczyna nie była jeszcze obojętna. Zapalił papierosa i wykręcił numer telefonu swojego domu.

— Zuzanna?

— Prędko wracasz, Piotrze? — usłyszał jej miękki, trochę śpiewny głos.

Mruknął ponuro, że zaraz, i odłożył słuchawkę. Szybko zamknął pracownię i zdecydowany na rozmowę pośpieszył w górę miasta. Przy Świętokrzyskiej złapał taksówkę — niebawem był w domu.

Zuzanna przywitała go ze zwykłą powściągliwością, do której już zdążył przyzwyczaić się i polubić.

Zniknęła w miniaturowej kuchni — dobiegł go dźwięk ustawianych naczyń. Chyba najbardziej rozzłościło go to krzątanie jak co dzień, jak gdyby nic się nie stało.

— Zuzanno! — zawołał ze złością.

— Jesteś głodny i zły! — roześmiała się z głębi kuchni.

— Chodź tu natychmiast!

Weszła z tacą — postawiła ją na stole.

— Siadaj — rozkazał złym głosem i pchnął ją w stronę fotela. — Chcę z tobą porozmawiać.

Posłusznie usiadła, spłoszonymi oczyma przyglądając się

- 144 -

Piotrowi. Był wściekły, że tak na niego patrzy. Zawsze drażniło go to jej spojrzenie. Spojrzenie niewolnicy!

„Gierki — pomyślał. — Nędzne gierki dziewczyny bez skrupułów. Nabieranie gościa na niewinność. Psiakrew — ściganą łania, dziewczątka i... łatwowierny bałwan”.

— Gdzie mieszka ten kamieniarz? — zapytał.

— Na Powązkach... — wymieniła adres. — Czy coś się stało, Piotrze? Dlaczego jesteś taki wzburzony?

Nie odpowiedział od razu. Odwrócił się gwałtownie i nalał sobie dwa duże kieliszki wódki. Chciał rozładować w sobie to nieznośne napięcie, ale alkohol wzmógł tylko jątrzącą się w nim wrogość.

— Grasz w pokera? — Ironiczny grymas ściągnął mu usta. Dziewczyna zbladła — opuściła bezradnie ramiona. Jednak nie odwróciła oczu.

— O co chodzi, Piotrze? — zapytała, siląc się na spokój.

— Skąd do mnie przyszłaś, mów!

— Przecież wiesz, Piotrze.

— Ty mała oszustko! Rzeczywiście wiem. Wiem więcej, niż ci się zdaje.

— Nieprawda! Wszystko ci powiem, wszystko jest inaczej, posłuchaj mnie... — zawołała spiesźnie.

— Możesz sobie darować wyjaśnienia. Miałaś na nie dość czasu. Teraz jest już trochę za późno. Gdybyś była szczerą... wiele potrafię zrozumieć... nie miałoby to wpływu na mój stosunek do ciebie. — W tej chwili gotów był uwierzyć, że gdyby mu sama powiedziała, że była prostytutką szantażującą swych partnerów, kochałby ją tak samo.

— Byłam bez miejsca na ziemi. W jednej chwili zawalił mi się świat... a może zobaczyłam wszystko po prostu we właściwych proporcjach. Chciałam, bardzo chciałam zacząć od nowa... Myślałam, że nie jest za późno. Chyba jeszcze nie jest za późno, Piotrze? Nie chciałam ci mówić... bałam się i sama chciałam zapomnieć...

145 -

— Bez wielkich słów. Chciałaś się ukryć przed milicją i to jest właściwy powód twego odrodzenia.

— Nie przed milicją, Piotrze, to nieprawda! Przecież wiesz, że to nieprawda! — zawołała błagalnie.

Radleya ogarnęła nowa fala złości na te oczywiste bezczelne kłamstwa, wypowiedane tonem absolutnej szczerości. I ta twarz... napięta, cierpiąca twarz, jak gdyby to stworzenie naprawdę coś przeżywało.

Miał dość tej sceny. Czego jeszcze chce ta mała prostytutka? Co jeszcze pragnie wygrać?

— Był dzisiaj u mnie pewien major — wycodził. Ogarnięty wściekłością nie chciał pamiętać, że przyrzekł Koroszewi dyskrecję nawet przed tą dziewczyną. — Milicja wszystko o tobie wie. Oni cię szukają. Rozumiesz?

Zuzanna przypomniała sobie niedawną rozmowę z majorem Koroszem o Kwadratowym. Kulturalny, budzący zaufanie... Kwiatek... szczerość, prawda, zrozumienie. Równy gość, martwił się o Kwadratowego. Po co ta gra? Dla kogo, przed kim? Przed nią? Małą oszustką — jak powiedział Piotr. Jakie to żalosne i jakie perfidne. Dlaczego ten major nie powiedział wprost... nie aresztował wtedy, w kawiarni... Musiał ją wydać przed Piotrem?

— Rozumiem — powiedziała mechanicznie. — Rozumiem.

— Więc na co czekasz? Chcesz koniecznie, żeby cię aresztowano u mnie? — zapytał brutalnie.

Dopiero teraz dotarł do niej sens tego złowrogiego słowa. Ten major na pewno ją aresztuje, tylko przedtem skompromitował ją przed Piotrem.

Wstała jakoś bezradnie, niewidzącymi oczyma ogarnęła pokój.

— Już idę — powiedziała. Tak jak stała, skierowała się do drzwi.

Radley nie przewidywał takiej reakcji. Był przygotowany

- 146 -
na kłamstwa, cyniczne żądania, gdy zawiodą inne sposoby... Ale tak, bez próby oporu: „Już idę”?

Ogarnęło go uczucie ulgi... a zarazem niejasnego wstydu, niezadowolenia z siebie i litości dla tej dziewczyny.

Zatrzymał ją przy drzwiach — podał jej torebkę. Niezręcznie, z pośpiechem wciskał banknoty w jej bezwładne dłonie.

— Przydadzą ci się — mówił szybko. — Musisz się jakoś urządzać.. Pomogę ci — kłamał. Ogarniał go coraz większy niesmak.

Nie zauważył, że palce dziewczyny nagle zeszywniały. Z pasją wetknęła mu z powrotem w ręce pomięty zwitek pieniędzy.

— Nie trzeba, ty... człowieczku! — Nie oglądając się, wybiegła z mieszkania.

Stał przy drzwiach, bezmyślnie wpatrując się w rozsypane pięćsetki, mimo woli wsłuchując się w jej lekkie kroki, gdy

zbiegała po schodach. Potem trzasnęły drzwi na dole i kroki ucichły.

Radley wolno wrócił do pokoju. Sięgnął po butelkę z wódką — napełnił duży kieliszek i wypił. Później jeszcze jeden i jeszcze... pragnął alkoholu, czekał na moment, kiedy pod jego wpływem wszystko zrobi się mniej ważne, prostsze. Ale uczucie wstydu i głębokiej niechęci do siebie nie malało.

„O co ten dramat? — usiłował wzbudzić w sobie niedawną złość. — Że może niezbyt zręcznie skwitował tę małą kurewkę... poszukiwaną przez milicję? Że dziewczyna, odchodząc zdobyła się na gest?”

Później cała jego niechęć zwróciła się przeciwko Koroszowi — podświadomie szukał winnego — po co on mu to powiedział? Kto go prosił o osłanianie od skandalu? Najwyżej aresztowaliby ją u niego — no i co z tego? Można to przeżyć. Wszyscy zrozumieliby, że został oszukany przez tę dziewczynę.

147

„Byłbyś szlachetny — wypłynęła złośliwa myśl. — Szlachetny mimo woli, bez decydowania, bez wyboru... człowieczek! Nielubiący, unikający za wszelką cenę odpowiedzialności człowieczek. Tchórz!” — pomyślał o sobie.

—Wygodny tchórz! — powiedział głośno. Już znalazł źródło tego męczącego wstydu i niezadowolenia z siebie.

Trzeba jej pomóc — zdecydował. Ogarnięty tą myślą pośpiesznie wybiegł z mieszkania.

Nie zdawał sobie sprawy, jak ma wyglądać ta pomoc. Szedł wieczorem przez miasto, mijał ulice, potraçał przechodniów i chciał pomóc dziewczynie.

Czuł się winny i odpowiedzialny w jakimś sensie za nią. Nie sposób nie uwierzyć temu majorowi, to wszystko na pewno było... ale przecież ta dziewczyna jakoś odcięła się od tamtego życia... ukryła się, przywarowała — tak określił to inspektor. Milicja może się mylić... może być inaczej... może naprawę chciała zacząć od nowa. Lepiej. Nie narzucała mu się ze swoją miłością, to raczej on, Radley. Może myślała, że inaczej nie można w tym nowym, legalnym świecie... Tyłu żądało od niej wciąż tego samego... a może jego, Piotra, rzeczywiście kochała? Jest młoda, jeszcze nie jest za późno... chciała mu wyjaśnić... jakieś warunki, splot okoliczności, źle, że jej nie wysłuchał. Ile lat może jej grozić? Okoliczności łagodzące... —wypłynęło gdzieś usłyszane określenie.

Dokąd ona mogła iść?

Może pójść do tego majora? Po co? Żeby powiedzieć, że już pozbył się tej dziewczyny, że jest nieskazitelny, porządny, oszukany... człowieczek? Ona musi ponieść karę — milicji się tego nie wyperswaduje. Mają swój kodeks — od tego są. Kamieniarz! — przypomniał sobie. — On ją zna, przyjaźnią się. I ten drugi... — pomyślał o Monterze. Nie wiedział zresztą, co tu może pomóc kamieniarz, ale nie zastanawiał

się nad tym...

Zatrzymał taksówkę. Podał adres. Przez całą drogę bał
- 148 -

się, że nie zastanie kamieniarza w domu. Nie miał pojęcia,
co wtedy ma robić.

Ale Kwadratowy był w domu. Kiedy Radley wszedł, prędko
zamknął zeszyt, w którym coś pisał, i odsunął rozłożone książ-
ki. Popatrzył na Piotra z mieszaniną niechęci i zdziwienia.

— Niech pan siada — powiedział, podsuwając mu krze-
sło.

— Skąd pan zna Zuzannę? — zapytał Radley i pomyślał,
że wypadło to głupio i niezręcznie.

— A kogo obchodzi? — zjeżył się Kwadratowy.

Radleya rozdrażniła wrogość i lekceważenie w tonie tam-
tego.

— To prostytutka — powiedział pierwsze słowo, jakie mu
przyszło na myśl.

Chłopak zmierzył go nieprzyjaznym spojrzeniem. Potem
skrzywił się ironicznie.

— Ona jest porządniejsza od ciebie... mięczaku — wyce-
dził z pogardą.

— Nie powinien mnie pan obrażać. — Radley z wysiłkiem
pohamował wybuch. — To do niczego nie doprowadzi.

Kwadratowy wzruszył ramionami.

— Do czego ma doprowadzić? Dowiedział się pan skądś,
że dziewczyna miała wiraż i w dyrdy pan przyleciał do mnie,
tak? Po co? Czego pan się spodziewa? Że załamię rączki i bę-
dę słuchał kwiku pańskiej przerażonej, solidnej duszy? Bo ro-
bi pan w portki ze strachu, co ludzie powiedzą? Ale jak kład-
łeś się z nią do łóżka, to wszystko było w porządku. A widzisz,
oprócz ciebie są jeszcze inni tacy porządni jak ty, co lubią mło-
de, ładne dziewczyny w łóżku...

— Proszę przestać! — krzyknął Piotr.

— ...a teraz prostytutka, bo dowiedział się, że nie tylko
z nim spała. Tak! Ty solidny mieszczuchu! Kiedyś jakiś łobuz
sprzedał ją takiemu jak ty. Wyszła z tego sama — nikt z was jej
w tym nie pomógł. A kto zabiera od stolików w knajpach ta-

149

kie młode, niewypierzone dziewczyny, żółte jeszcze? Wy! Kto
pomaga alfonsom i wszelkiej swołoczy? Szanowni obywatele,
utalentowani, o ustalonej pozycji... stateczni ojcowie rodzin,
mający pełne mordy komunałów na zawołanie, znawcy moral-
ności. Wycieracie sobie gęby młodzieżą, łamiecie rączki nad
jej zepsuciem, nad brakiem skrupułów, cynizmem...

— Nie ponoszę odpowiedzialności... — przerwał Radley.

— Czyżby? Na pewno nie? No to pomyśl... Jesteś znanym
człowiekiem, wykształconym, masz talent i pieniądze. Pół
Europy rozdziawia gęby z zachwyty nad twoimi zdjęciami.
Jesteś na fest — podobasz się dziewczynom. Ile razy w knaj-
pie poderwałeś dziewczynę na chatę? Na jedną noc. Ile ra-

zy obudziłeś się z kacem i znalazłeś obok siebie jakieś ciało? I dopiero wtedy dowiedziałeś się, jak się nazywa, albo i nie miałeś ochoty pytać. Bo cię nie obchodziło. Przygoda i tyle. Po dwóch dniach nie poznałbyś jej, gdyby mijała cię na ulicy. Zastanowiłeś się chociaż przez chwilę, chociaż raz, skąd ta dziewczyna przychodzi i dokąd idzie, kiedy rano zamykają się za nią drzwi? Nie przyszło ci nigdy na myśl, że niejedną późniejszą prostytutką tak zaczynała. Najpierw to może być amatorstwo, oszołomienie tym, jaki jesteś... jaki jest ten twój świat... ładny, ciekawy, sławny. A później się dowiadują, na własnej skórze, że w tym pięknym świecie nikogo nie obchodzi, że żądacie określonych rzeczy na określony czas, że są i pozostaną dla was stworzeniami znikąd. Nawet nimi nie pogardzacie — po prostu nie myślicie o nich. Taki sam dobry towar jak i inny. Przygadujesz dziewczynę różnie, w zależności od humoru: na „historię”, na „mamusię”, na „intelekt”, na „miłość”, na: Jaki jestem niezrozumiany”. Umiesz ładnie , mówić, masz ogładę. One przeważnie z początku w to wierzą, przynajmniej w jakąś część tego, co im mówicie. Prędko opadają złudzenia, prędko dowiadują się, że to tylko umowa, żeby było ładniej, że właściwie chodzi tylko i wyłącznie o te rzeczy... Większość tych dziewczyn przechodzi na zawód. Dość pięknych bujd — płąć! I płacicie, rozdzierając się o cynizm młodzi — wy wciąż jeszcze solidni! Luminarze, psiakrew! Rzygać się chce... — Kwadratowy umilkł nagle, zdziwiony, że tak wiele naraz powiedział.

— Zuzanny poszukuje milicja — powiedział Radley, bojąc się, że chłopak znowu nie pozwoli mu dojść do słowa.

— Kto to panu opowiedział? — z niedowierzaniem zapytał Kwadratowy.

— Inspektor milicji — powiedział Radley, nie zdając sobie sprawy, że już drugi raz sprzeniewierzył się danej obietnicy.

— Jak on się nazywa? — zasepił się chłopak.

— Korosz. Major Korosz.

Chłopak zacisnął szczęki, a później zaklął dosadnie.

— Mówił, czego od niej chciał? Może niepotrzebnie nabrał pan cykorii.

— Powiedział, że Zuzanna jest od dawna poszukiwaną przez nich prostytutką, która szantażowała później swoich partnerów.

Kwadratowy przyjął tę wiadomość pozornie bez wrażenia.

Nie przyznał się Radleyowi, że o szantażach słyszy pierwszy raz. Od wypadku na Torwarze był przekonany, że dziewczyna coś przed nim ukryła ze swojej niedawnej przeszłości — nie pytał o nic, widząc, że ona odżywa. Jej sprawa — chciała o czymś zapomnieć. Uznał, że najlepiej będzie nie dręczyć jej wymuszaniem zwierzeń.

Szantaż... więc dlatego tak panicznie bała się ingerencji milicji w swoje sprawy i boi się również tego szemranego drania — pomyślał o mężczyźnie z Torwaru. — On ją na pewno ma

w ręku. To on był inspiratorem tych szantaży.

— Skąd milicja o tym wie? — popatrzył ponuro na Radleya. — Skąd?

— Tego mi nie powiedział.

— A po co przyszedł do pana z tymi wiadomościami? Przyszedł się zwierzyć, czy jak?

- 150 -

- 151 -

Radley milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć temu szorstkiemu chłopakowi, który przed chwilą oskarżał go z taką pasją. Kwadratowy wpatrywał się w niego z uporem. Ponowił swoje pytanie.

— Przyszedł mnie uprzedzić. Jak pan się domyśla, Zuzanna często u mnie przebywała.

— Jasne — mruknął Kwadratowy. — Wszystko jasne. Po co ma cierpieć opinia znanego, cenionego artysty. Co innego po cichu sypiać z młodą, nowoczesną dziewczyną. Bez zobowiązań, wygodnie... Niespodziewanie zaczęły się kłopoty. Dziewczyna ma przeszłość... kiedyś brała forszę za tę nieobowiązującą nowoczesność. Utalentowany artysta może paść ofiarą skandalu. Żył z byłą prostytutką, jakie to przykre! Nawet milicja to rozumie. Widzi pan, jak się troszczą o pański spokój, dobre imię! Ma pan dobrą opiekę, ten subtelny major uchroni pańską kryształową opinię. Co pan zrobił z Zuzanną? — zapytał nagle zmienionym głosem.

— Powtórzyłem jej to, co mówił major. Nie zaprzeczyła i... odeszła.

— Dokąd poszła?

— Nie wiem.

— Bydlę, wygodna swołocz! Wygonić dziewczynę jak psa wtedy, gdy najbardziej potrzebuje pomocy, ludzkiej życzliwej rady. Nie gadania, ale pomocy. Przyszło ci na myśl ty... tchórz, że dziewczyna jest teraz samotna jak nikt? Że nie wie, co z sobą zrobić? Poszła — pozbyłeś się kłopotu, załatwione. Wybitny kochanek, porządni ludzie znowu spychają ją na margines... przygarną ją tamci, od których uciekła. A, jeszcze jest milicja. Milicja osłoni kochanka, a mała zostanie na placu sama. I wszystkie sumienia będą w porządku.

— Chcę jej pomóc — zaczął Radley.

— Zmiataj! — warknął Kwadratowy. — Obędzie się bez twojej pomocy. — Pośpiesznie narzucił wiatrówkę i wychodząc, bezceremonialnie wypchnął Radleya.

- 152 -

— Co pan chce zrobić? — Piotr szedł z Kwadratowym w stronę miasta.

— Zaprowadzić ją na milicję, nawet do tego s... majora. Odsiedzi dziewczyna swoje, nie powinno być tego wiele, i będzie miała spokój. Nie będzie musiała kryć się w ciągłym strachu przed donosem, przed szantażem. Nie będzie musiała pracować u takiego jak ty i... spać z takim jak ty.

Nie słuchał już, co odpowiedział Radley, pobiegł w górę Powązkowskiej. Po drodze zatrzymał taksówkę i pojechał na Mokotów do Zuzanny.

Niskie — umieszczone tuż nad ziemią okno piwnicy było ciemne. Nie dał za wygraną. „Może siedzi po ciemku?” — pomyślał ze słabą nadzieją, ale drzwi były zamknięte.

Dokąd ona mogła iść? Do pracowni Radleya nie poszła — po tym, jak ten mięczak ją wyrzucił. Kachy ani studentów nie ma w Warszawie — są na wakacjach. Może błąka się po mieście? A może poszła do majora?

Na wspomnienie Korosza załała go fala nienawiści. Czuł do niego przy tym głęboką pogardę. Nie, nie za to, że chciał aresztować Zuzannę, ale za to upokorzenie, jakiego nie oszczędził dziewczynie, zawiadamiając o wszystkim Radleya. Czy zdawał sobie sprawę, że wymierza dziewczynie najdotkliwszą karę? Jakim prawem?

Kwadratowy był przekonany, że do takiego postępowania major nie miał najmniejszego prawa.

„Jaki ze mnie dureń! — zreflektował się nagle. — Przecież ona mogła pojechać na Powązki, do mnie. No, oczywiście, że do mnie”.

Potrącając przechodniów, dotarł do postoju taksówek w Alei Niepodległości i pojechał z powrotem na Powązki.

IX. Szef

Zuzanna wybiegła na ulicę. Szła przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie. Starła się zebrać myśli, zastanowić się, co dalej począć. Nie mogła o niczym myśleć — nawet fakt, że w każdej chwili każdy mijany milicjant mógł ją aresztować — był obojętny, nie miał żadnego znaczenia.

Stała jej przed oczyma wykrzywiona gniewem twarz Piotra, w uszach dźwięczały bezlitosne słowa, wypowiedane tonem pełnym pogardy i oburzenia. Mówiły to te same usta, które jeszcze niedawno snuły opowieści o jakimś wspólnym życiu — nie pamiętała w tej chwili, że te obrazy, roztaczane przez niego, były mgliste, niejasne.

W jednej chwili wszystko zostało przekreślone. Wyrzucił ją bezwzględnie — jak niepotrzebny sprzęt; nie interesowało go nawet to, co miała na swoje usprawiedliwienie.

To znaczy, że nic nie można wymazać ze swego życia, nie można zacząć od nowa. Nie można naprawić. Gdyby się nawet samemu zapomniało, to przypomną to inni, osądzą i ukarzą. Przechodziła pod Barbakanem — sklepienie odbiło echem odgłos jej kroków. Spojrzała na kamienny wykusz muru — był pusty. Więc znowu, jak przed kilkoma miesiącami, znalazła się w punkcie wyjścia. Po raz drugi zawałił się świat, po raz drugi jest bez miejsca na ziemi. Teraz jest trudniej, wtedy miała mniej do stracenia, nie знаła Piotra i nic o niej nie wiedziała milicja.

Czy znowu ma się błąkać po mieście, przeganiana z dworców kolejowych i ławek w parkach?

Kwadratowy!! — przecież jest Kwadratowy. Jego istnienie wydało się wybawieniem. Wszystko mu powie, wszystko! Zrobi tak, jak on zdecyduje. A teraz do niego, prędko do niego...

Przyśpieszyła kroku, prawie biegła.

— Zuzka! — usłyszała za sobą dobrze znany głos. Głos najbardziej nienawistny.

„Nie, to niemożliwe, to złudzenie” — pomyślała z rozpaczą. Wtuliła głowę w ramiona i teraz już rzeczywiście biegła przed siebie — na oślep.

Słyszała za sobą energiczne kroki. Za chwilę poczuła na ramieniu ciężką dłoń.

— Dokąd tak biegniesz?

Stała, sparaliżowana przerażeniem, bezwolna i straszliwie zmęczona. Później wezbrała w niej rozpaczliwa energia.

— Zostaw mnie — starała się uwolnić.

— Bez hysterii — powiedział ostro, ale zdjął dłoń z jej ramienia. Delikatnie ujął dziewczynę pod rękę.

— Co ci jest, Zuza? Wyglądasz na chorą. Co się stało? — zapytał łagodnie, z troską.

Zuzannę zaskoczyła ta nagła zmiana tonu. Opanowała mdłący lęk; dodała jej odwagi ludna ulica, światła, ruch pojazdów. Zastanawiała się, w jaki sposób pozbyć się tego człowieka.

— Słuchaj, Al, poszukuje mnie milicja, w każdej chwili mogę być aresztowana — myślała, że go przestraszy, za późno zorientowała się, że popełniła błąd.

— Ależ, dziewczyno! To szczęście, że cię spotkałem — powiedział bardzo przejęty. — Chodź — pociągnął ją. — Nie bój się — perswadował łagodnie. — Nic złego ci nie zrobię. Musimy wspólnie zastanowić się.

— Nigdzie z tobą nie pójdę, Al — powiedziała z determinacją.

— Bądź rozsądna. Nigdzie nie musisz ze mną iść, nigdzie nie będę cię przemocą ciągnął. Zrozum — tłumaczył — że jeżeli ciebie szuka milicja, to znaczy, że i mnie. Rozumiesz? A ja cholernie nie mam ochoty siedzieć. Więc nie mogę dopuścić, żeby ciebie złapali.

Mijali oświetlone okna restauracji na Nowym Mieście.

-154 -

- 155 -

— Chodź — powiedział — wstąpimy do Samsona. Porozmawiamy, zastanowimy się, później pójdiesz, gdzie będziesz chciała. Nie będę ci przeszkadzał — przyrzekam. Zgoda? Zgodziła się niechętnie.

— Słuchaj, mała — zaczął, gdy usiedli przy stoliku. — Chciałbym, żebyś przestała się mnie bać. Nie przeczę, byłem długo na ciebie wściekły, ale też zrobiłaś mi numer nie z tej ziemi. Przyznaj sama. Przez długi czas nie miałem pojęcia, co się z tobą stało. Najgorsze przypuszczenia przychodziły mi do głowy. Szukałem cię jak idiota, przetrząsałem całe miasto. Toteż gdy dowiedziałem się, że mi po prostu prys-

nęłaś, myślałem, że się udławię ze złości własnym językiem. Ale jak długo można się wściekać? Przeszło mi już dawno — uśmiechną się. — A ty wciąż kryjesz się jak ten zajac... albo obstawiasz się jakimiś śmiesznymi gówniarzami...

— Chciałam spokoju. Nie nadaję się do życia, które ty mi proponowałeś.

— Naiwna dziewczyno! Gdybym chciał, to bym ci zmaćcił ten spokój. I to bardzo łatwo. A jednak nic takiego nie zrobiłem. Wiedziałem, że mieszkasz na Ursynowskiej, wiedziałem, u kogo pracujesz... Nawet wiem, że teraz uciekłaś do tego fotografa, jak przed miesiącem spotkałaś Burego. Wiem, że żyjesz z Radleyem. Myślisz, że to przyjemnie dowiedzieć się, że śpisz z kimś innym? A jednak nie zrobiłem ci żadnej przykrości i nie przestało mi na tobie zależeć...

— Gdybyś mnie kiedykolwiek kochał, nigdy byś mnie nie wysłał tam... do tego potwornego starucha — wzdrygnęła się na samo wspomnienie. — I nie mów o miłości, Al — wzruszyła ramionami.

— Zakochałaś się w Radleyu? — zapytał z przekąsem.

— To już nie ma znaczenia — powiedziała z rezygnacją. — Radley... wyrzucił mnie.

— Znudziłaś mu się? — Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił mu wargi.

Nie zareagowała na tę brutalną kpinę.

— No dobrze — zreflektował się. — Co jest z tą milicją? Skąd wiesz, że cię szukają? — przyglądał się jej przenikliwie.

— Ten major najpierw rozmawiał ze mną...

— Jaki major?! — wpił się w nią podejrzliwym, złym wzrokiem.

— Major Korosz, który dzisiaj wszystko opowiedział Piot... Radleyowi — poprawiła się szybko. — Dlatego mnie wyrzucił.

— Czego od ciebie chciał ten major?

Zuzannę na powrót sparaliżował lęk. Boże! Jak mogła mu powiedzieć o tym, że rozmawiała z Koroszem. Przecież ten major pytał ją o niego, o Hrabiego Siekierę. Powie mu o tym, wtedy chroniąc siebie, będzie musiał ochronić i ją.

— Pytał o ciebie, Al.

— O mnie? — upewnił się z niedowierzaniem. — O co pytał?

— Czy przypadkiem nie znam Hrabiego Siekierę.

— Coś powiedziała? Tylko mów prawdę! — ścisnął ją boleśnie za rękę.

— Powiedziała, że nie mam pojęcia, kto to jest Hrabia, że pierwszy raz słyszę o takim zawołaniu.

— Nie kłamiesz? — przyglądał się jej badawczo. — Skąd on zna ten mój kretyński przydomek?

— Nie kłamię, Al. A skąd zna? Nie mam pojęcia — skłamała.

— Co jeszcze mówił na mój temat, mów! — przyglądał jej się badawczo, ze wzrastającą podejrzliwością.

— Nic. Nic więcej — zapewniła z pośpiechem.

— Radley wie, że rozmawiał z tobą Korosz? Gdzie on cię wezwał?

— Nie wie. Nic mu nie powiedziałam. Major zadzwonił wczoraj do domu Radleya, gdy nie było go w mieszkaniu.

- 156 -

- 157 -

Umówiłam się z nim w kawiarni. Był bardzo grzeczny, przyniósł kwiatek — to był znak rozpoznawczy. Rozmawiał bardzo uprzejmie i wcale nieobowiązująco. A później poszedł i zdradził mnie przed Piotrem... Mnie nie powiedział ani słowa. Sprawiał wrażenie, że nie ma pojęcia o mojej przeszłości.

— O czym tak nieobowiązująco rozmawialiście?

— O różnych rzeczach. O zaufaniu, prawdzie... o tym wszystkim, co ci jest w zupełności obce i z czego zawsze się wyśmiewałeś.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie, potem zwięzły mu się oczy. Ledwo powstrzymywał wybuch wściekłości.

Dziewczyna bezwiednie skuliła się pod tym ciężkim wejrzaniem.

— Ty podły kłamczuchu, ty mała gnido — wycedził przez zęby. — Powiedziałas tym pryszczatym gówniarzom moje przezwisko, a oni powtórzyli je w komisariacie, kiedy ich milicja zwinęła na Powązkach? — Hrabia dygotał z tłumionej wściekłości.

— Nikomu nic nie powiedziałam o tobie, Al. — Wytrzymała jego złe, świdrujące spojrzenie.

— Nie kłam. — W jego tonie czuć było jednak odprężenie.

— Gdyby nie to, że trzeba cię ratować, nawet wbrew tobie, ty mała idiotko, to poczułabyś moją rękę.

— Nie trzeba mnie ratować. Sama się uratuję. Przestań się mną zajmować, będzie z tym lepiej i tobie, i mnie — powiedziała z desperacką odwagą.

— Milcz. Nie pozwolę ci na dalsze robienie głupstw, bo wko-piesz wszystkich. Pij — podsunął jej pełną setkę wódki.

Dziewczyna zawahała się, później niechętnie wypila łyk.

— Do dna! — rozkazał. — Dobrze ci zrobi. Przestaniesz się trząść jak szmata i gadać głupstwa.

— Co zrobisz, żeby mnie nie aresztował? Co? Są sprawy, na które nawet ty... nie możesz mieć wpływu — powiedziała z satysfakcją, której nie mogła ukryć.

— Dziecino! — skrzywił się z politowaniem. — Myślisz, że ten major nie lubi pieniędzy? Jestem pewien, że bardzo lubi. Coś mi się wydaje, że w tym celu poszedł do Radleya z opowiastką o tobie. A ten idiota — nie ma co mówić, wybrałaś sobie wspaniałego kochanka — zamiast dać solidnie w łapę, zrobił ze strachu w portki i wyrzucił cię na pysk, na ulicę. Wiesz, ile go obchodzisz?

— Myślisz, że on przyjmie pieniądze? — zapytała z niejasną nadzieją.

— Przyjmie. Rzecz polega tylko na wysokości sumy. Oceniam go najmniej na sto tysięcy. Dostanie i... będziesz miała zapewniony spokój.

— Czy wtedy i ty zostawisz mnie w spokoju?

— Zostawię — powiedział z przekonaniem. — Dość mam nieodpowiedzialnych idiotek. Tylko że te sto tysięcy będziesz musiała pomóc mi zarobić.

Oczy dziewczyny rozszerzyło przerażenie.

— Nie — powiedziała stanowczo. — Nigdy nie pójdę już do żadnego wstrętnego starucha, nie chcę, nie mogę... Już wolę, niech mnie aresztują — zaplotła dłonie, aż pobieleły jej drobne palce.

— Pójdziesz wszędzie, gdzie ci każę. Dość tej zabawy. Nie chcę więcej słyszeć, że ty coś chcesz lub nie chcesz. Zapamiętaj to sobie, że zanim zdążą cię aresztować, mogą wyłować cię z Wisły. Rozumiesz? Pięknie się składa. Kochanek wyrzucił dziewczynę, a ona z miłości poszła do rzeki. A jakie romantyczne! — szydził. — Wszystkie kuchty będą płakały, jak się o tym dowiedzą.

— Samobójstwo? — zapytała drewnianym głosem. W jej rozszerzonych alkoholem oczach malowało się zdziwienie. Mężczyzna przyglądał się jej z uwagą, podsunął papierosy i podał ogień — zaciągnęła się chciwie dymem.

— Nie będę cię posyłał na rozeznanie. Nie nadajesz się do tego. Nie będę — podkreślił. — Tylko nie znoszę żądań. Jesz-

- 158

- 159 -

cze w takiej sytuacji, kiedy o mało mnie nie wkopałaś. Będziesz grać — świetnie to robisz. A teraz chodź.

— Dobrze, Al, będę grała — zgodziła się bez oporu. Nie ruszyła się z miejsca. — Tylko pozwól mi mieszkać na Mokotowie.

— A mieszkaj sobie. Chodź, odprowadzę cię do domu.

. — Nie trzeba. Pójdę sama — zapewniła skwapliwie. — Powiedz tylko, gdzie i kiedy mam być. Mogę zacząć grać nawet jutro. Jestem w dobrej formie — mówiła szybko, z gotowością. — Dzisiaj jeszcze trochę poćwiczę.

— Musisz z tydzień odpocząć, przyjść do siebie — zdecydował.

— Nie, Al. Skoro trzeba tyle pieniędzy, to muszę zacząć jak najszybciej. Najlepiej od jutra.

Zmierzył ją uważnym, badawczym spojrzeniem.

— Słuchaj, głupi smarkaczu, wybij sobie z głowy, że zrobisz ze mnie wała. Nigdzie sama nie pójdziesz, przynajmniej przez najbliższy tydzień. Nie pójdziesz do żadnych kolegów. Od zaraz będziesz robiła dokładnie to, co ci każę. Teraz pójdziesz do swojej nory i możesz tam spokojnie rozpaczać po Radleyu. Nikt ci nie będzie przeszkadzał. A teraz chodź, od-

prowadzę cię.

— Zostaniesz u mnie?

— Nie — skrzywił się. — Nie bój się. Znam jeszcze kilka dziewczyn, które z radością pójdą ze mną do łóżka.

Zrezygnowana, bezwolna — pozwoliła się wyprowadzić z restauracji. Al zawołał taksówkę i odwiózł dziewczynę na Ursynowską.

— Daj klucz — zażądał przy drzwiach piwnicy. Podała mu bez oporu — otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą. Nawet nie usiadł. Wyciągnął z kieszeni płaską butelkę żubrówki.

— Masz — postawił wódkę na stoliku. — Upij się i rozpaczaj, to dobrze robi w takich miłosnych tarapatach. Zobaczysz, niedługo cała ta heca z Radleyem wyda ci się mniej ważna. Widzisz, kochałaś mnie, teraz umierasz z miłości do tego fotografa... przejdzie. Miłość trwa wiecznie, tylko obiekty się zmieniają. No, trzymaj się, mała! — klepnął ją po ramieniu. — Widzisz, jestem słowny i dotrzymuję obietnic — powiedział, wychodząc.

Zamknęły się za nim drzwi. Zuzanna usłyszała zgrzyt klucza przekręconego w zamku, później jego kroki po schodach i szelest żwiru pod stopami na ścieżce. Skrzypnęła furtka od ogrodu i zaległa cisza.

„Zamknął mnie — pomyślała obojętnie. — Dobrze, że sobie poszedł i już nie gada”.

Bezmyślnie przyglądała się pozostawionej na stole butelce. Później wzięła szklanekę — nie chciało się jej szukać kieliszka — i napełniła ją. Pociągnęła łyk — smak alkoholu wywołał dreszcz. Przemogła skurcz gardła i wypila do dna.

„Nie ma wyjścia — myślała leniwie. — Al ma rację, trzeba przekupić tego majora. Wszystko można kupić, wszystko... decyduje cena... — a później zacząć żyć. Ale jak? Jak żyć? Gdybym miała pieniądze, dużo pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy, to znaczy, że mogłabym kupić Piotra, Kwadratowego, Kachę i Rentgena. Nie, Kwadratowego nie, chyba nie... Może Al rzeczywiście ma rację, że wszystkie zasady wymyśliły życiowe niedorajdy, które nie potrafią żyć... Co ma Kwadratowy za swój charakter, za swoje zasady? Mieszka w baraku, siedział w więzieniu i często brakuje mu dwudziestu złotych przed pierwszym... Al twierdzi, że ten major chciał od Piotra pieniędzy. Radley mu ich nie dał... pewno nie miał tak dużo... albo ja nie byłam tyle warta dla niego... zawiódł się na mnie. Piotr ma zasady. »Mała oszustka«... Był szczerze oburzony i bał się kompromitacji, opinii. Może lepiej, że Al przeszkodził mi w pójściu do Kwadratowego. Co on mógłby mi pomóc?”.

Siedziała bez ruchu, wpatrzona w jeden punkt, który coraz bardziej przykuwał jej uwagę. Po chwili nie mogła oderwać od niego oczu... przysłał wszystko... fascynował...

- 160 -

- 161 -

Minęła północ, zanim Kwadratowy zdecydował się znowu je-

chać na poszukiwania Zuzanny. Przez cały czas czekał na nią pełen wzrastającego niepokoju.

Na stole pozostawił kartkę: „Zuzanno, nigdzie nie wychodź — wiem wszystko. Pojechałem cię szukać, zaraz wracam”. — Z wahaniem dopisał na dole: — „Był tu Radley — on też cię szuka”.

Klucz od mieszkania zostawił w zagłębieniu progu pod słomianką. Zuzanna znalazła tę skrytkę.

Przed barakiem spotkał Radleya, który wysiadał z taksówki.

— Nie ma jej u pana? — zapytał z niepokojem.

— Nie ma — pokręcił głową Kwadratowy. — Szukał jej pan?

— Szukałem — powiedział Radley. — Niech pan siada — wskazał taksówkę — pojedziemy razem.

— Gdzie jej pan szukał?

— Dzwoniłem do tego majora. Pomyślałem, że może ona poszła na milicję, ale nie było go, gdzieś wyszedł. Szukałem u siebie, w pracowni i u niej w domu. Zamknięte i nie ma światła...

— Jedźmy, może jest u Montera? — przypomniał sobie Kwadratowy.

Nie bardzo w to wierzył, znając surowość zasad jego rodziców i jednoznaczny pogląd na wszystkie bez wyjątku młode kobiety. Ale może jednak Zuzanna tam poszła.

Monter był w domu, ale Zuzanny tego dnia nie widział.

Przyłączył się do nich. Trzej mężczyźni pojechali na Mokotów.

— Jeżeli nie ma jej w domu — powiedział Monter — to trzeba zawiadomić pogotowie i milicję. Nie ma innej rady.

— Z dziewczyną może stać się jakieś nieszczęście. Ten major to wielka świnią — zaopiniował — a pan — popatrzył na Radleya — jeszcze większa, ale w końcu milicja jej przecież nie zeżre.

Radley nie reagował już na niepoehlebne opinie, których nie szczędził mu Monter. Kwadratowy palił papierosa i milcząc, wpatrywał się w szybę.

— Pośpiesz się pan! — niecierpliwie przynaglał szofera, gdy wóz przyhamował na skrzyżowaniu Alei i Chałubińskiego.

Na Ursynowskiej było ciemno, a dom Zuzanny również ciemny i cichy jak ulica. W żadnym oknie nie dostrzegł światła.

Kwadratowy pchnął furtkę — zaskrzypiał żwir pod stopami trzech mężczyzn. Dom wyglądał jak wymarły.

Kamieniarz podbiegł do okna piwnicy, przykłęknął i osłaniając oczy dłońmi, zajrzał przez szybę — usiłował przebić wzrokiem ciemność. Po chwili zorientował się, że okno od wewnątrz zasłonięte jest szczelnie zasłoną. Zastukał lekko w szybę... nasłuchiwał. Radley i Monter pochylili się nad nim. Wszyscy trzej czekali w napięciu. Cisza. Nieznośna cisza.

— Nie ma jej? — mruknął Monter.

— Zuzanno, Zuzanno, otwórz! — błagalnie zawołał Radley. Kwadratowy jeszcze raz, nerwowo, zabębnił w szybę. Nie czekając na efekt tego alarmu, wpadł na klatkę schodową i stromymi schodami zanurzył się w ciemność piwnicznego korytarza. Potknął się na wyszczerbionym stopniu i tracąc równowagę, upadł na kamienną posadzkę piwnicy.

Podniósł się i po omacku zaczął szukać na ścianie kontaktu. I wtedy poczuł ten dziwnie znajomy zapach...

Kilka razy odetchnął głęboko... znalazł wreszcie kontakt — rozbłysło światło. W pobliżu drzwi Zuzanny mdlący zapach gazu był silniejszy...

Kamieniarza ogarnęło przerażenie, szarpnął klamkę. Mieszkanie było zamknięte.

— Zuzanno, Zuzanno! — zawołał gorączkowo. Z rozpaczliwą energią zabębnił w drzwi — odpowiedziało mu tylko stłumione echo piwnicznego korytarza.

- 162 -

- 163 -

Bezradnie rozejrzał się po piwnicy. Dostrzegł w kącie jakiś stary taboret z obłamaną nogą. Chwycił go i z rozmachem, jak taranem zaatakował drzwi.

Taboret rozleciał się w drzazgi — drzwi nie ustąpiły. Nadbiegli Monter i Radley.

Na górze szcęknęła klamka, rozległy się człapiące kroki, i wystraszony głos.

— Co się tam dzieje, na miłość boską? — Niezdecydowane kroki zatrzymały się na podeście parteru.

— Gaz! — krzyknął z rozpaczą kamieniarz. Odskoczył i z rozbiegu, całą siłą ramienia naparł na drzwi.

Zadudniły głucho, ale nie ustąpiły. Kamieniarz z pasją mocował się z drzwiami.

Radley na dźwięk słowa: gaz! — wybiegł do ogrodu. Włosy jeżyły mu się z przerażenia. Jednym susem dopadł okna piwnicy. Trzasnął pięścią w szybę — posypało się szkło. Nie poczuł, że ze skaleczonej ręki spływa krew. Z furią rozbił drugą połowę okienka — buchnął mu w nozdrza mocny, duszący zapach gazu.

Nie mógł wejść do wnętrza — dostępu broniły grube kraty. Szarpnął przez nie tkaninę zasłony — upadła z miękkim szelestem na niewidoczną podłogę. Już bez przeszkód, całą szerokością okna wydobywał się gaz.

Radley usiłował zajrzeć do ciemnego wnętrza, zdawało mu się, że tuż przy stole, obok krzesła majaczy ciemny kształt.

— Łom! — zawołał Monter w stronę wystraszonego właściciela domu, który tkwił w byle jak narzuconym szlafroku na górnym podeście schodów.

Mężczyzna bezmyślnie patrzył na rozgorączkowanego Montera. Chłopak szarpnął go za ramię.

— Łom, na miłość boską... trzeba wyważyć drzwi... gaz! Stary człowiek oprzytomniał i podreptał do piwnicy. Rozległ się

głuchy trzask — pod naporem ramienia Kwadratowego pękła deska w drzwiach.

- 164 -

Chłopak ze zdwojoną energią wyłamał ją, a za nią następną. Za chwilę drzwi stały otworem. Potknął się o coś na progu, zapalił światło i dopadł kurka, z którego z monotonnym sykiem płynął gaz.

Zapach gazu robił się coraz słabszy.

Zuzanna leżała na tapczanie. Wśród masy lśniących włosów jej nieruchoma, szaroblada twarz wydawała się jeszcze mniejsza. Oczy miała przymknięte.

Kwadratowego opuściła nagle cała energia. Przysiadł na tapczanie dziwnie zgarbiony, ostrożnie dotknął bezwładnej dłoni dziewczyny. Przykuł jego uwagę pantofel, który zsunął się jej ze stopy. Jak zafascynowany wziął go w swoje duże ręce i przyglądał mu się z napiętą uwagą. Widział siatkę delikatnych pęknięć na białej skórze pantofla i większe zadrapanie na cienkim obcasiku.

Jakiś nieznośny, olbrzymiejący kłęb narastał mu w piersiach i dusił krtań.

— Zaszczuli, zaszczuli — powtarzał cicho, ze zdziwieniem.

Radley stał przybity, z narastającym, rozpaczliwym poczuciem winy — nienawidził Korosza.

Nadjechała wezwana przez Montera karetka pogotowia.

Zjawiły się białe kitle lekarza i sanitariuszy, a wraz z nimi poczucie ulgi i słabej nadziei.

Lekarz był szybki i rzeczowy. Precyzyjnymi, oszczędnymi ruchami zrobił zastrzyk i skinął na pielęgniarzy z noszami. Zamruczał, że mu się nie podoba serce i że ratunek jest spóźniony, ale trzeba próbować. Podał nazwę szpitala i odjechał. Cichnącemu sygnałowi oddalającej się karetki pogotowia zawtórowała, zrazu lekko, jakaś inna schrypnięta syrena; później jej głos narastał, potężniał, zawodząc głucho i przejmująco — aż ucichł pod furtką domu na Ursynowskiej.

W piwnicy Zuzanny zjawiła się milicja — wysoki porucznik z zaczerwienionymi oczyma i plutonowy z wypchaną raportówką.

165 -

Porucznik prześliznął się wzrokiem po twarzach mężczyzn obecnych w pokoju i niespodziewanie najbardziej zainteresowała go napoczęta butelka żubrówki oraz pusta szklanka stojąca na stole.

Oglądał tę zastawę w milczeniu. Plutonowy z paskiem pod brodą stał wyprężony w pobliżu drzwi.

Kwadratowy ostrożnie postawił pantofel, który wciąż trzymał w ręku, wstał i bez słowa skierował się do wyjścia. Plutonowy z groźnym marsem na czole zastąpił mu drogę.

— Obywatel zostanie. Obywatel będzie rozpytany na okoliczności — zawiadomił z namaszczeniem.

— Nie mam nic do powiedzenia — mruknął chłopak.

— To się okaże — milicjant przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Proszę panów o pozostanie — wtrącił porucznik. W jego tonie nie było prośby. — Będę potrzebował trochę wyjaśnień.

— Jest bardzo późno — zauważył Radley. — Może odłóż pan rozmowę z nami do jutra. Proszę — sięgnął do wewnętrznej kieszeni — oto mój dowód.

Porucznik niecierpliwym gestem odsunął jego rękę.

— Niewykluczone, że jutro również będą mi panowie potrzebni — powiedział z niemiłym naciskiem.

Plutonowy znacząco poprawił kaburę pistoletu. „Chorobliwie podejrzliwi” — pomyślał z rozdrażnieniem Radley, ale nic nie powiedział. Poczł nieprzepartą antypatię do tego przejętego swoją rolą porucznika i jego podkomendnego.

Zaległa nieprzyjemna cisza. Porucznik, nie zwracając już uwagi na obecnych, zainteresował się kurkiem od gazu. Nie dotykając go obejrzał ze wszystkich stron, jakby był jakimś niesłychanie skomplikowanym urządzeniem. Rozdrażnienie Radleya wzrastało.

„Tępy waśniak — myślał o poruczniku — robi tu przedstawienie ze swoich wątpliwych umiejętności”.

— Kto wyważył drzwi? — Porucznik przeniósł spojrzenie z kurka od gazu na twarze mężczyzn.

— Ja — powiedział Kwadratowy.

— Dlaczego?

Radley zacisnął dłoń.

— Poczulem zapach gazu — wyjaśnił Kwadratowy. — Bałem się, że dziewczyna zrobiła sobie coś złego i jak pan widzi, obawa nie była pozbawiona podstaw.

— Co to znaczy „coś złego”? Co pan przez to rozumie? — porucznik wlepił w chłopaka zaczerwienione oczy.

Ten brak lotności działał na nerwy nie tylko Radleyowi.

— Popełniła samobójstwo! Teraz pan rozumie? — warknął chłopak.

— Samobójstwo? — zdziwił się nieszczerze porucznik. — Ale dlaczego pan tak sądzi? Skąd to przypuszczenie, ta pewność? Równie dobrze może to być nieszczęśliwy wypadek, a i zabójstwa nie wykluczam. Dlaczego to ma być samobójstwo? — powtórzył natarczywie.

Kwadratowy milczał. Porucznik cierpliwie czekał na odpowiedź. Widząc, że chłopak nie ma zamiaru odpowiedzieć, nie nastawał.

— Czy pan też jest zdania, że to samobójstwo? — zwrócił się do Radleya.

— Nie mam wyrobionego poglądu, panie poruczniku. Ustalenie rzeczywistej przyczyny należy do milicji — odpowiedział fotografik.

Porucznik popatrzył na niego.

— Skąd pan zna Zuzannę Herc? — zapytał.

— Jest moją asystentką, jestem fotografikiem, nazywam się Radley — wyrzucił jednym tchem.

— W jakim celu przyjechał pan w nocy do swojej asystentki? — dowiadywał się porucznik.

Radley z nienawiścią spojrzął w jego czarne oczy. Już nie uważał porucznika za zupełnego idiotę, ale czuł, że nie będzie

- 166 -

- 167 -

w stanie opowiedzieć mu nic o sobie i Zuzannie. Nie! Nie teraz i nie jemu...

— To moja prywatna sprawa.

Porucznik nie ponowił pytania ani nie skomentował szorstkiej odpowiedzi fotografa. Zainteresowały go drzwi. Obejrzał wyłamaną deskę, podłubał w zawiasach, a następnie zajął się zamkiem.

— Gdzie jest klucz? — zapytał po chwili.

— Pewnie wypadł — domyślił się Monter.

Mimo usilnych poszukiwań klucza nie znaleziono. Porucznika niezmiernie zainteresował ten fakt. Nie dawał za wygraną i razem z plutonowym szukał go we wszystkich możliwych miejscach.

Na dworze rozwidniło się na dobre — zapowiadał się piękny, letni dzień. Porucznik, nie zwracając uwagi na zgromadzonych, uporczywie szukał klucza. Mężczyzn powoli ogarniała pasja.

— Czy jesteśmy zatrzymani? — nie wytrzymał Monter. — Osobiście śpieszę się do pracy, chyba że da mi pan zaświadczenie.

— Czekam, aż panowie udzielą wyjaśnień — powiedział porucznik, nie przerywając poszukiwań.

— Po wyjaśnienia niech się pan zgłosi do majora Korosza z Komendy Głównej Milicji! — wybuchnął Kwadratowy. — Rozumie pan?

— Niezupełnie — pokręcił głową porucznik.

— To ten s... syn wyjaśni panu lepiej — Kwadratowy już nie panował nad sobą.

Porucznik ze zmarszczonymi brwiami przez chwilę przyglądał się wykrzywionej gniewem twarzy chłopaka.

Plutonowy odchrząknął i spiorunował kamieniarza wzrokiem. Kręcił się niespokojnie, był oburzony jego zachowaniem, ale widząc brak reakcji na obelgi ze strony oficera, nie był pewny, jak się ma zachować.

- 168 -

— No, no, nie podskakiwać — zamruczał bezosobowo.

— To on ją zaszczuł — ochłonął trochę Kwadratowy. — Prowadził przeciw niej jakieś śledztwo, nie wiem, o co. Niech się pan zapyta tego — wyciągniętym palcem godził w Radleya — to współnik tamtego, waszego... A mnie dajcie święty spokój!

— Tak — skinął głową Radley — to prawda, ale proszę się najpierw porozumieć z majorem Koroszem — powiedział

z ogromnym znużeniem.

— Dobrze — zgodził się porucznik. — Proszę spisać personalia panów — polecił plutonowemu.

Odesłał radiowóz do Komendy i z westchnieniem pośpieszył do najbliższego automatu. Połączył się z inspektorem.

— Melduje się porucznik... dyżurny służby kryminalnej z Komendy Dzielnicowej Mokotów — przedstawił się. — Majorze, Zuzanna Herc, asystentka Radleya prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Podobno prowadzicie...

— Gdzie?! Kiedy?! — Inspektor był zaskoczony tą wiadomością. — Zaraz przyjeżdżam.

Błyskawicznie zjawił się na Ursynowskiej. Szary wartburg majora z piskiem przyhamował przed wejściem. Korosz wpadł jak bomba do piwnicy.

— W nocy dyżurny pogotowia zawiadomił nas o zatruciu gazem. Stan dziewczyny jest beznadziejny. Czterdzieści trzy procent tlenkowej hemoglobiny we krwi. Natychmiast po przewiezieniu do szpitala dokonano całkowitej transfuzji. Jeżeli serce wytrzyma... — relacjonował porucznik.

— Jakie są podejrzenia? Samobójstwo? — niecierpliwie przerwał major.

— Podobno prowadzicie przeciw niej dochodzenie.

— Ja? — major ze zdumieniem spojrzął na porucznika. — Kto wam to powiedział?

Porucznik powtórzył stwierdzenie Kwadratowego i Radleya, pomijając epitety, jakimi obdarzył go kamieniarz, ale nie docenił zamięłowania do ścisłości plutonowego.

- 169 -

— Za przeproszeniem, panie majorze — nie wytrzymał plutonowy — ten chuliganek powiedział, że pan jest skurwelec — zażenowany milicjant spuścił skromnie oczy — i że niby pan zaszczuł tę dziewczynę, i że ten fotograf to też skurwelec i pana współnik...

— Nic nie rozumiem — major bezradnie popatrzył na porucznika. — Rozmawiałem wczoraj z tą dziewczyną, ale jak żyję, nie prowadziłem przeciwko niej żadnego dochodzenia.

Porucznik przekazał Koroszowi swoje spostrzeżenia. Majora także zaintrygował brak klucza. Polecił zabezpieczyć butelkę z resztką wódki oraz szklanę z kilkoma kroplami płynu na dnie i przesłać je do ekspertyzy

Właściwie już nic nie pozostawało do roboty na miejscu — wszystkie możliwe prace bardzo skrupulatnie wykonał porucznik. Ale majora zaciekawił jeszcze zamek u drzwi. Biorąc pod uwagę brak klucza, należało liczyć się z faktem, że zatrucie mogło być równie dobrze nieszczęśliwym wypadkiem, samobójstwem, jak i morderstwem.

Inspektor wyszedł do wozu po narzędzia niezbędne przy badaniach mechanoskopijnych.

Przed domem, zapłótląszy tłuste ręce, stała żona właścicie-

la willi, głośno rozprawiając z sąsiadką.

— ...mówię pani, blada była jak opłatek — dobiegły majora jej słowa. — Trzech się zleciało do niej i każdy rozpaczał, moja pani, a najwięcej to ten ponury, co wyważył drzwi... A ten fotograf to całą rękę pokrwawił i nic nie czuł, tak się zapamiętał, jak to okno rozbijał... Taki kłopot, moja pani, pogotowie, milicja... skaranie boskie...

— Taka desperatka! — dziwił się drugi kobiecy głos. — I dlaczego to, proszę pani?

— A kto ją tam wie, może się w czwartym zakochała?

Major zatrzymał się w drzwiach prowadzących na podwórko. Kobiety nie widziały go, stał za węglem domu. Przez mo-

170 - "

ment przysłuchiwał się wymianie opinii obu pań. Po chwili zbiegł po trzech stopniach prowadzących do ogrodu.

Trzasnęła furtka, zwirową alejką szedł spiesźnie w stronę domu wysoki, młody mężczyzna. Kobiety nagle zamilkły, wpatrując się z nieukrywaną ciekawością w nieznanego.

Major instynktownie — nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi — cofnął się za osłonę przymkniętych drzwi korytarza.

Mężczyzna, ignorując obecność natarczywie oglądających go kobiet, minął je i skierował się ku wejściu. Ale tego było za wiele dla żadnej sensacji gospodyni domu.

— Pan do kogo? — zastąpiła mu drogę, zmuszając do zatrzymania.

— Do pani Herc — brzmiała odpowiedź. Mężczyzna próbował ją wyminąć.

Majora ogarnęła wściekłość na obcesowość kobiety. Szybko wyszedł, ale nie zdążył uprzedzić wyjaśnień rozmownej niewiasty.

— Otruła się — wścibski babus poinformował prawie z triumfem.

Mężczyzna przez chwilę stał oniemiały, nierozumiejącymi oczyma wpatrywał się w kobietę.

— Tak, tak, otworzyła gaz! — zatrajkotała tamta, zadowolona z efektu, jaki sprawiła jej informacja. — W nocy zabrało ją pogotowie... była milicja... wyłamali drzwi, bo się zamknęła. A, mówię panu, blada była jak opłatek...

Młody człowiek, nie słuchając już, zawrócił na pięcie i spiesźnie zmierzał w stronę furtki.

Major bezceremonialnie zatrzymał znajomego Zuzanny Herc. Kobiety dopiero teraz zauważyły inspektora i domyślając się, że to ktoś z milicji, schroniły się na klatkę schodową. Dwie pary oczu czujnie błyszczały zza przymkniętych drzwi.

Major przedstawił się i odchylił klapę marynarki.

— Pan jest znajomym Zuzanny Herc?

- 171 -

— Tak — skinął głową tamten. Już ochłonął z pierwszego wrażenia, jakie wywołała informacja kobiety. Major za-

uważył to.

— Prowadzę dochodzenie w związku z tym wypadkiem — wyjaśnił major. — Może pan będzie mógł mi pomóc?

— Nie orientuję się, w czym mogę pomóc, ale służę wszelkimi możliwymi wyjaśnieniami — powiedział w gotowości mężczyzna. — Czy pani Herc żyje? — spojrzał na majora ze starannie skrywanym napięciem.

Major zaprzeczył ruchem głowy.

— Od jak dawna znał pan panią Herc? — zainteresował się major.

— Kilka miesięcy. Poznałem ją kiedyś na plaży, robili zdjęcia. Ponieważ fotografowanie i fotografia w ogóle to moje hobby, więc...

— Wejdźmy do mieszkania — przerwał major. — Denerwuję mnie te wścibskie babska — zrobił ruch głową w kierunku podsłuchujących kobiet.

Mężczyzna spojrzał w stronę drzwi — rzeczywiście nieodrodne córki Ewy trwały wiernie na swym posterunku.

Gdy znaleźli się w piwnicy, mężczyzna czujnie powiódł wzrokiem po pokoju.

Inspektor usiadł ciężko. Ruchem śmiertelnie znużonego człowieka przetarł oczy dłońmi.

— Przepraszam — powiedział do mężczyzny. — Jestem diabło zmęczony. Całą noc nie zmrużyłem oczu przez ten wypadek...

Porucznik z plutonowym, słysząc te oczywiste kłamstwa, wymienili znaczące spojrzenia.

— Przerwałem panu tam, w ogrodzie, słucham dalej — zwrócił się major do nieznanego, zapalając papierosa.

— Pani Herc — nie wiem, czy panu wiadomo — była asystentką znanego fotografa, więc czasami wywoływała mi filmy, no i robiła powiększenia niektórych odbitek... jako asystentka dysponowała wspaniałym sprzętem fotograficznym... którego ja nie posiadam.

— Czy mam protokołować te zapodania? — nie wytrzymał sumienny plutonowy.

— Po co? — wzruszył ramionami major. — Przecież to nie przesłuchanie. Wiecie co, kolego? — uśmiechnął się. — Pieknie chce mi się pić, jakbyście tak przynieśli kilka butelek piwa? Bardzo was proszę — wyciągnął z kieszeni zmięty banknot.

— Tak jest — rażno zawołał plutonowy.

— ...przed kilkoma dniami — podjął dalej mężczyzna — prosiłem ją o wywołanie filmu. Właśnie dziś wstąpiłem go odebrać... to wszystko.

— Więc to była bardzo luźna znajomość? — powiedział zawiadziony major. — Może pan słyszał, może przypadkiem sama mówiła o swych bliższych znajomych, przyjaciółkach, rodzinie?

— Nie. Nic nie wiem.

— A nie wie pan, czy miała jakiegoś bliskiego mężczyznę?

— Taka piękna dziewczyna na pewno miała — uśmiechnął się tamten. — Ale nic bliższego na ten temat nie wiem. Osobiście bardzo mi się podobała i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zwróciła na mnie uwagę, ale traktowała mnie bardzo oficjalnie. Z tego wnioskuje, że była już kimś zainteresowana.

— Kiedy pan ją widział ostatni raz?

— Kilka dni temu — mężczyzna zmarszczył brwi, namyślał się przez chwilę. — Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Mogło to być dziesięć dni temu... no, nie więcej niż dwa tygodnie. Wtedy przyniosłem pani Herc ten film i umówiłem się, że dzisiaj go odbiorę.

— Czy nie zachowywała się jakoś szczególnie? Może była przygnębiona? Nie odniósł pan wrażenia, że dziewczyna czegoś się boi?

- 172 -

- 173 -

— Nie — potrząsnął głową. — Zachowywała się zupełnie naturalnie. Ale czego mogła się bać taka młoda, urocza dziewczyna?

— Chciałbym to wiedzieć — westchnął Korosz. — Bo widzi pan... — spojrzał z wahaniem na swego rozmówcę — ja nie wierzę, że ona popełniła samobójstwo...

— Nie rozumiem... — zaczął tamten.

Inspektorowi wydawało się, że mężczyzna powiedział pierwsze słowo, jakie mu przyszło na myśl, jak gdyby chcąc nie dopuścić majora do sprecyzowania swojej myśli do końca.

— ...ona została zamordowana — dokończył major. Wrócił plutonowy z piwem, major sięgnął po butelkę, odbił ją zgrabnie o krawędź stołu i przytknął do ust. Pił chciwie — było widać, że był bardzo spragniony. Po chwili — lekko zażenowany — odstawił ją gwałtownie.

— Przepraszam — powiedział — bardzo przepraszam. — Otworzył pozostałe butelki i podsunął je porucznikowi, plutonowemu i mężczyźnie. — Pijcie, panowie — poprosił. Nieznajomy najskwapliwiej skorzystał z zaproszenia inspektora. Popijał napój małymi łykami, często podnosząc do ust swoją butelkę.

— Dlaczego pan sądzi, że pani Herc została zamordowana? — zaryzykował wreszcie pytanie. Znowu uniósł butelkę do ust. Major odnosił wrażenie, że butelka z piwem pomaga mężczyźnie w panowaniu nad sobą.

— Takie młode dziewczęta nie popełniają samobójstw — skwitował pytanie tamtego nieprzekonywającym ogólnikiem.

— Majorze — zwrócił się do niego porucznik — czy pozostawić posterunek w mieszkaniu? — Wydawało mu się, że inspektorowi trzeba pomóc w zakończeniu tej rozmowy. Poza tym był bardzo zmęczony.

— Wezwijcie jakiegoś stolarza, niech naprawi drzwi, no i z tym oknem trzeba też coś zrobić — a mieszkanie należy zaplombować. Aha, poszukajcie jeszcze tego klucza, może się jednak znajdzie. Zresztą to załatwi plutonowy, wy możecie już iść, poruczniku.

— Tak jest — zawołał dziarsko plutonowy.

— Dziękuję panu za informacje — major wyciągnął rękę do mężczyzny. — W którą pan stronę? Mogę pana podrzucić samochodem.

— Z przeproszeniem pana majora, pozwolę sobie zauważyć — wtrącił się plutonowy — może ja spiszę dane z dowodu obywatela, bo może obywatel major będzie chciał kiedyś jeszcze rozpytać obywatela na okoliczności.

— Dziękuję wam, sam zanotuję — powiedział major. W jego głosie brzmiała niechęć. Wszyscy się zorientowali, nawet sam plutonowy, że major poczuł się urażony uwagą milicjanta.

— Ja przepraszam, tego — wyjąkał speszony milicjant — że sobie pozwoliłem...

— Nie szkodzi — powiedział kwaśno major. — Poproszę pana o nazwisko i adres, może rzeczywiście będę musiał jeszcze z panem porozmawiać.

Nieznajomy podał dowód osobisty, major ze znudzoną miną zapisał nazwisko i adres na jakimś świstku, który niedbale wetknął do kieszeni.

Czuł niekłamana wdzięczność dla plutonowego — służbisty, który tak znakomicie pomógł mu zdobyć potrzebną informację. Widząc nieszczęśliwą minę milicjanta, postanowił wyjaśnić mu przy okazji swoje rzekome roztargnienie.

Nieznajomy — inżynier Aleksander Zakrzewski — nie skorzystał z propozycji odwiezienia go i prędko pożegnał milicjantów. Inspektorowi było to bardzo na rękę.

— Proszę zabezpieczyć butelki po piwie i zebrać z nich odciski palców — polecił major zdziwionemu plutonowemu słuźbiście.

— Przepadnie majorowi dwadzieścia złotych zastawu — uprzedził sumienny milicjant.

- 174 -

- 175 -

Inspektor pojechał na Puławską. W jego gabinecie szalał Cieślik. Błady ze złości kłócił się z kimś przez telefon.

— Takie mowy to możesz wstawiać swojej babci, jeżeli będzie cię chciała słuchać! — wykrzywił się porucznik do słuchawki. — Najpóźniej za pół godziny mam wiedzieć, gdzie wyjechał Relikwiarz. Rozumiesz? W przeciwnym wypadku, jak Boga kocham, napuszczę na ciebie Lisa...

Odezwał się natarczywy dzwonek drugiego telefonu. Cieślik przerwał rozmowę i odebrał następny telefon. Słuchając, notował na bloku — twarz mu się wypogodziła.

— ...na pewno jest u was? — upewnił się jeszcze na wszelki wypadek i słysząc potwierdzenie, odłożył słuchawkę.

— Na kogo napuścicie Lisa? — chciał wiedzieć inspektor.
— Coś się ciekawego dzieje, majorze, tylko jeszcze nie wiem co — zatarł ręce porucznik.
— To mnie zawiadomicie, jak będziecie wiedzieli.
— Weterani doliny zjechali się we Wrocławiu — poinformował Cieślik, nie zwracając uwagi na niezbyt zachęcającą minę Korosza. — Dwa dni temu wyjechał Rączka. Wyekspedio-
waliśmy go na dworzec. Nie przywiązywałem do jego podróży specjalnej wagi — zawiadomiłem Wrocław, żeby przyjęli starego i mieli na niego oko. Tego samego dnia Łódź zameldowała, że Obrączka wyjechał. Gdzie? Do Wrocławia. To już mnie trochę zastanowiło. Ale wczoraj wyjechała w nieznanym swoim samochodem nasza jedyna nadzieja — Borys Velder — i to nie sam, a jeszcze z jakimś facetem. No to posadziłem mu chłopaków na zderzaku, żeby nam przypadkiem nie zginął. Wylądował we Wrocławiu. Przed chwilą Wrocław potwierdził przyjazd Koguta z Gdańska. Tylko Relikwiarz zginął krakowiakom — widocznie nie bardzo go pilnowali — a Wrocław nie zanotował go u siebie. Biorąc pod uwagę, że Biały Max mieszka we Wrocławiu — mamy zjazd starej kadry doliniarzy.
— Velder skontaktował się z którymś z nich? — zainteresował się major.
— Dotychczas nie. Mam zamiar pojechać do Wrocławia i to możliwie szybko. Co wy na to, majorze?
— Dobrze — zgodził się inspektor. — Tylko przedtem ustalicie wszystko, co można, o tym facecie — major wyciągnął z kieszeni zmięty świstek, na którym zanotował dane personalne inżyniera Aleksandra Zakrzewskiego.
— To zrobią moje chłopaki — skinął głową Cieślik.
— Nie. Załatwicie to osobiście. Do Wrocławia będziecie mieli do dyspozycji helikopter.
— To taki ważny facet? — dowiadywał się porucznik.
— Zuzanna Herc popełniła samobójstwo. Nie wykluczam zabójstwa — wyjaśnił major. — Ten człowiek przyszedł dzisiaj do niej bardzo rano. Zachowywał się dziwnie. Bardzo dziwnie.
— Morderca wracający na miejsce przestępstwa? Nie za bardzo powieściowo? — powątpiewał Cieślik.
— Kto wam powiedział, że uważam go za mordercę? — niespodziewanie zdenerwował się major.
— Zaraz zadziałam — obiecał Cieślik.
Inspektor pozostał sam. Spokojnie odtworzył w pamięci jeszcze raz swoją wczorajszą rozmowę z Zuzanną Herc. Szczegółowo przypominał sobie nastrój dziewczyny, jej gorące zaangażowanie w obronę kamieniarza, jej całe zachowanie. Nie, nic nie wskazywało na to, że ta dziewczyna w kilka godzin później rozmyślnie otworzy gaz. Jeżeli to jednak jest samobójstwo, to coś się musiało wydarzyć w ciągu tego krótkiego czasu. Coś bardzo dramatycznego dla niej, coś, co przerosło jej siły psychiczne... To mógł być moment... czyżby Radley?
„Dobrze — pomyślał. — To wszystko później. Przede

wszystkim trzeba porozmawiać z Kwadratowym, Radleyem i tym Monterem. Nie, najpierw zadzwonię do szpitala".

Połączenie otrzymał natychmiast — poprosił lekarza dyżurnego, przedstawił się i zapytał o dziewczynę.

— Jeszcze żyje — zawiadomił lekarz. — Przywieziono ją w stanie agonii. Dokonano całkowitego przetoczenia krwi,

- 176 -

- 177 -

zastosowano sztuczne serce. Teraz namiot tlenowy — na razie udało się. Trzeba poczekać kilka dni, jeżeli przeżyje... będziemy mogli powiedzieć, że jest uratowana.

— Panie doktorze, zależy mi na tym, aby nikogo nie informować o stanie jej zdrowia, żadnych wyjaśnień, a szczególnie telefonicznych... żadnych wyjaśnień — podkreślił — nawet milicji, widzi pan, podejrzewam usiłowanie zabójstwa...

— No a informowanie pana, panie majorze? — zażartował lekarz.

— Więcej nie będę korzystał z telefonu w tej sprawie — powiedział z naciskiem major. — Będę przyjeżdżał osobiście i każdorazowo legitymował się.

Później zadzwonił do Zakładu Kryminalistyki, upewnił się, czy materiały zabezpieczone w mieszkaniu Zuzanny już do nich dotarły. Uspokojono go, że tak — zażądał szybkiego przeprowadzenia badań i powiadomienia o wynikach.

Myślał przez chwilę. Uznał, że niesłusznie zażądał zapieczętowania mieszkania. Tam trzeba pozostawić funkcjonariusza — zdecydował — no i skutecznie zamknąć gębę tej gadatliwej kumoszce — pomyślał o żonie właściciela domku. Połączył się telefonicznie z lokalem służby X—wyjaśnił, o co mu chodzi:

— Trzeba ustalić nazwiska i adresy wszystkich osób, które przyjdą dzisiaj do mieszkania Zuzanny Herc. Oczywiście należy to tak urządzić, aby te osoby nie wiedziały o tym. Poza tym trzeba bardzo stanowczo wyperswadować gospodyni domu zajmowanie się gośćmi pani Herc.

Po załatwieniu tych najpilniejszych spraw zaczął obmyślać plan rozmowy z Kwadratowym i Radleyem. Wezwać ich do Komendy? Oczywiście nic prostszego, tylko wiedział z praktyki, że atmosfera gabinetu oficera milicji, szczególnie w takich sprawach, nie usposabia do zwierzeń, jakie pragnął uzyskać.

Postanowił skomunikować się natychmiast z Radleyem.

- 178 -

Nakręcił numer telefonu jego mieszkania, ale w rozmowie przeszkodziło mu energiczne wejście Cieślika.

— Facet wyjechał z Warszawy — zawiadomił na wstępie.

— Kiedy? Kiedy zdążył wyjechać? — zdziwił się major. — Rozmawiałem z nim około szóstej rano.

— Bez przesady, majorze — uśmiechnął się Cieślik. — Teraz jest jedenasta. W ciągu pięciu godzin mogę wyjechać na-

wet do Australii.

— Dokąd on wyjechał?

— Nie mogłem się dowiedzieć — powiedział Cieślik.

— Kto to jest?

— Inżynier — geolog. Specjalność: minerały. Mieszka na Ochocie. Nie mogłem ustalić, czy bliżej znał dziewczynę. Przychodzi do niego wiele osób: kobiety i mężczyźni. Prowadzi ożywione życie towarzyskie. Jego wyjazdy mają związek z jego zawodem. Podobno pracuje naukowo nad tymi minerałami. Opinię ma dobrą. Spokojny, kulturalny. To wszystko.

— Ja muszę wiedzieć, dokąd on wyjechał — uparł się major.

— Więc co będzie z Wrocławiem?

— Veldera pilnują wasi ludzie. Weteranami w dalszym ciągu będzie się zajmował Wrocław. Zaraz porozumiem się z Komendą Wojewódzką. Was potrzebuję tutaj. Muszę wiedzieć, poruczniku, gdzie podział się tak nagle nasz geolog.

Cieślik bez słowa wygrzebał z półki gruby rozkład jazdy pociągów. Na czystej kartce papieru zaczął notować wszystkie pociągi, odchodzące z warszawskich dworców w ciągu ostatnich pięciu godzin. Urosła z tego potężna kolumna.

— To tylko dalekobieżne, ekspresy i inne torpedy — stwierdził wywiadowca. — A podmiejskie? — Z jego tonu można było zorientować się, że polecenie majora uważa za szaleństwo.

Major poderwał się do tablicy rozdzielczej selektora. Ale nie podniósł słuchawki.

- 179 -

— Chciał major zawiadomić podwarszawskie jednostki?

— domyślił się Cieślik.

— Ale już mi się odechciało — mruknął inspektor. Zdał sobie sprawę, że ten pomysł też jest chybiony. Gdyby chciał zatrzymać geologa, to takie polecenie dla milicji mundurowej miałoby sens. Ale on tylko usiłował dowiedzieć się, gdzie on jest, i do tego bardzo dyskretnie.

— Facet nie ma samochodu — monologował Cieślik. — Pozostały PKS-y i samoloty. Jeżeli opuścił Warszawę samolotem, to będziemy wiedzieli, dokąd poleciał. Wystarczy sprawdzić listy pasażerów.

Obaj pochylili się nad rozkładem lotów maszyn pasażerskich. Na szlaki krajowe między szóstą a jedenastą startowały z warszawskiego Okęcia cztery. Do Krakowa, Katowic, Wrocławia i Poznania przez Łódź.

Cieślik pojechał do LOT-u sprawdzić spis pasażerów. Nie znalazł na nich nazwiska geologa. Praktycznie biorąc, ustalenie miejsca pobytu inżyniera Zakrzewskiego w tej chwili było dla milicji niemożliwe.

Major dał za wygraną. Cieślik poleciał do Wrocławia, a inspektor poszedł do Radleya. Z nim pierwszym chciał rozmawiać o Zuzannie.

X. Dintojra sędzi

— Otwieram Wielką Radę Dintojry! — Mężczyzna lekko skłonił głowę.

Odblask płomieni świec prześliznął się lśniącem refleksem po jego białych włosach.

— Porządek narady — podjął po chwili. Wymienił kilka punktów; jego trochę schrypły głos dudnił stłumionym echem pod niskim sklepieniem grobowca. — Czy są pytania, ewentualnie propozycje? — powiódł wzrokiem po ledwo widocznych sylwetkach kilku mężczyzn siedzących pod ścianami.

W półmroku białe twarze, rubinowo żarzyły się ogniki papierosów — na sklepieniu tańczyły, układając się w fantastyczne obrazy, cienie płomieni dwóch świec. Wokół nietynkowanych ścian biegły uchwyty ze sztab z czarnego żelaza, podtrzymujące masywne, ciemne trumny.

Pod stopami zebranych szeleściły zeszcłe wiązanki kwiatów i resztki pogrzebowych szarf.

Mężczyzna o białych włosach siedział na stercie wieńców z zeszcłej jedliny. Przed nim, ustawione na metalowej trumnie, migotały świece w srebrnych lichtarzach.

Nikt z zebranych nie odpowiedział na jego apel.

— Wszyscy są? — zapytał mężczyzna o białych włosach.

— Brakuje Hrabiego — odezwał się siedzący w rogu krypty

— Czy został zawiadomiony o miejscu spotkania? — zaniepokoił się przewodniczący.

— Tak — potwierdził ten sam głos.

— Wobec tego zaczekamy — zdecydował przewodniczący.

Nikt się nie odezwał. W ciszy słyhać tylko było skwierczenie świec i trzask zapalki przypalającej kolejnego papierosa.

- 181 -

Przez małą szparę w sklepieniu krypty widać było wąski pas granatowego nieba. Szumiały drzewa. Gdzieś daleko pohukiwał puszczyk. Zebrani nasłuchiwali... Po chwili głos puszczyka stał się wyraźniejszy. Odpowiedział mu drugi, gdzieś blisko nad kryptą. Przez jakiś czas trwał ściszony koncert pohukiwań — cmentarne ptaki prowadziły nocny dialog. Zaszleścił żwir na ścieżce i kamienną płytę krypty odsunięto na bok. W granatowym prostokącie nieba zamajaczyła sylwetka, a po chwili po żelaznych schodkach zszedł na dno grobowca młody mężczyzna.

Nagrobny kamień z cichym zgrzytem nasunął się z powrotem, zasłaniając rozgwieżdżone niebo.

— Jak Boga kocham, Max! — zawołał przybyły. — Co za pomysły, żeby zwołać nas w katakumbach. W pierwszych chrześcijan się zabawiasz, czy jak? — Jego głos brutalnie rozdarł ciszę krypty.

— Nie jesteś wśród głuchych, nie wydzieraj się — skarcił go Max. — Dlatego tutaj, że za Relikwiarzem chodzą hinty. Zorientował się dopiero tu, we Wrocławiu. Cholera wie, mo-

że ich przywiózł na karku z Krakowa? A jeżeli chodzą za nim, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby chodzili i za nami. Rozumiesz, bęsiu? Mam podejrzenia, że mentownia¹ obstawiła radę związku.

— Jasne — mruknął przybyły i usadowił się w najdalszym kącie krypty.

— Dlatego też zalecam jak najdalej idącą ostrożność i ograniczenie kontaktów między sobą do minimum — powiedział Max. — Zresztą omówimy to jeszcze szerzej. Na początku rozpatrzmy sprawę Złotego — powiódł wzrokiem po mrocznym wnętrzu. — Chodź tu bliżej — skinął dłonią w kierunku postaci, usadowionej na wielkiej, dębowej trumnie.

Mentownia — milicja.

182

Zaszeleściły zeschnięte wieńce i w kręgu światła świec pojawiła się zażywna sylwetka Złotego Pola.

— Zgromadzonym znane jest uporczywe łamanie dyscypliny Związku przez Złotego — powiedział Biały Max. — Ostatnio jego zachowanie przekroczyło wszelkie prawa statutu. Samowolnie przesłał pieniądze i anonim do policji, dotyczący jej funkcjonariusza, który według naszego rozoznania cieszy się tam prawie nieograniczonym zaufaniem. Czy to prawda?

— Prawda — stwierdził Polo.

— Nie dziwiłbym się szczeniakowi, ale ty, stary jurgacz¹, i takie numery — zgorszył się Biały Max.

Polo nie odpowiedział, rozejrzał się i przysiadł ciężko obok metalowej trumny, na której stały świece — gwałtownie zachybotwały ich płomienie, zatańczyły cienie na sklepieniu.

— Mówi do ciebie Wielki Sędzia Dintojry. Kto cię prosił siadać? — z naciskiem zapytał Biały Max.

Złoty Polo poderwał się z podłogi i wyprostowany stanął z boku.

— Co masz na swoją obronę? — indagował Max. — Słuchamy! — wskazał dłonią nieme audytorium.

— Nie jesteście sprawiedliwi — zaczął Polo. — Gnębicie swoich nie gorzej od legawych². Nie jestem indyk³, więc dlaczego nie pozwalacie pracować?

— Nie masz prawa włączyć tam, gdzie pracują metery. To uchwała związku. Słuszna uchwała i nie strzep sobie gęby na próżno.

— Byłem i jestem przeciw tej uchwale. To krzywda. Rozdzieracie urków. Już się nienawidzą nawzajem.

i Jurgacz

² Legawy

³ Indyk —

— doświadczony złodziej.

— tajny funkcjonariusz milicji, złodziej partacz.

- 183

— Kto kogo nienawidzi? Mów za siebie — zwrócił uwagę Biały Max.

— Mówię za siebie i za resztę takich jak ja pariasów. Pariasi nienawidzą wielkich manusów.

— Za resztę takich jak ty w związku mówi Messer. I powiedział. Również on uchwalił prawo podziału. Słyszysz? Prawo! I kto występuje przeciw temu prawu, podlega sądowi dintojry. Skończyłem na ten temat. Dlaczego wysłałeś anonim? Kogo pytałeś o pozwolenie?

— Bronię się, jak umiem. Wy mnie przed szpagatami¹ nie wybronicie. Od tej wystawy grabacze² nie pozwalają oddychać notowanym.

— Szczególnie tobie Korosz nie daje oddychać, co? — wzruszył ramionami Max. — Głupio kręcisz, Złoty, bardzo głupio. Swaim kręctwem potwierdzasz nasze przypuszczenia. Wygląda na to, że ty już zbyt niebezpiecznie nienawidzisz wielkich marwicherów... — głuchy, ochryply głos Maksa zabrzmiał groźbą.

W nagłej ciszy, jaka nastala po tym stwierdzeniu, slychać tylko bylo skwierczenie świecy.

— Co ty, Max — zduszonym głosem zawołał Złoty. — Nie masz podstaw zarzucać mi takich rzeczy. Nigdy nie byłem ślicherem³.

— Bo to szkodzi... bardzo szkodzi na zdrowie — odezwał się z kąta ironiczny głos.

Max z niezadowoleniem odwrócił głowę w tamtym kierunku.

— Na przyszłość zaczekaj, aż cię zapytam o zdanie — rzucił przez zęby. — Mów, Złoty — powiedział do starego złodzieja. I Szpagat — tajny funkcjonariusz milicji.

² Grabacz — tajny funkcjonariusz milicji.

Ślicher — zdrajca.

— Nikomu nie chciałem szkodzić i nie zaszkodziłem — podjął Polo. — Ten maj orek bardzo chytry był. Później do Dziuni przyszedł na chawirę¹ taki nikomu nieznany szczur hotelowy. Niby wszystko okej, po wyroku, wprost z kwacza², szyfr więzienny zna, naszą mowę rozumie. Niby na kimmel zaczął chodzić³... z nikim nie chciał. Sam. Nikt go nigdy na robocie nie spotkał, mety na zapracowane klamoty nie potrzebował. Cholera wi co... lepszy od meterów, bo oni melinę na zbyt muszą mieć, a on nie. Duch Święty mu pomagał. Dziunia popytała różnych, Messer popytał, ja też... nikt go przedtem na oczy nie widział. Dziunię wziął na bajkę, że Ziółko — blitę w murach przed wyjściem widział i on go nadał do niej. Dziunia się bardzo nie boi, bo czystą chawirę prowadzi, po prawdzie to musi, bo stamtąd salcesony⁴ prawie nie wychodzą, ale już z ciekawości chciała wiedzieć, kogo u siebie ma... bo tak to się jej nawet podobał... No to daliśmy cynk do Ziółki w akademii⁵, kto i co? Przysłał gryps, że takiego na oczy nie widział ani w buchcie, ani nigdy w życiu. No to kto to mógł być? Mu-

szę ci jeszcze tłumaczyć, Max?

— Długo był?

— Ze trzy tygodnie, a później niby go dzielnicowy zabrał do wyjaśnienia, bo niemeldowany mieszkał, i kamień w wodę. Ani w żadnej furdygarnii⁶, ani nigdzie.

— Łapaja⁷ się spietrałeś? Pierwszy raz w życiu hinta zobaczyłeś? Dziwórki meta jest znana. Większość notowanych ur-I Chawira — lokal, mieszkanie, gdzie zbierają się lub mieszka-ją złodzieje.

2 Kwacz — więzienie.

3 Chodzić na kimmel — kraść.

4 Salcesony — milicjanci.

5 Akademia, бухта — więzienie.

6 Furdygarnia — więzienie.

7 Łapaj — funkcjonariusz tajnej milicji.

- 184 -

- 185 -

kiesi tam zagłada, więc i migacz¹ zachodzą. Zawsze tak było i będzie — gdzie znana melina i znane urki, tam i bażanty².

A gdzie mają być?

— Takich powinien Hrabia pomacać, nie swoich — westchnął Złoty.

— Gołda³ ci mózg wyzarła — mruknął Max. — Dolina pracuje głową, nie majchrem. Kieszonka to fach, a nie banda.

— Zostaw te morały, Max — skrzywił się Polo. — Kto tu mówi o majchrze? Wystarczy, jakby mu uśmiech wymasował.

— Jesteś stary osioł, Złoty. Z rączkami to pod kościół, a nie do policji. Niedługo byście pracowali taką metodą. A ciebie trzeba strzec przed własną głupotą. Krótko: Złoty, po co ten anonim?

— Chciałem maj orkowi trochę zamieszać — przyznał Polo.

— Sam pisałeś?

Złoty potwierdził skinieniem głowy.

— To tylko patrzeć, jak on ci zamiesza. Tak ci zamiesza, że ani się obejrzysz, jak w miechu⁴ na spacerze Ziółkę przywitasz. Macie pytania do Złotego? — Max omiółł spojrzeniem mroczną kryptę.

— Nie mamy — odpowiedziało kilka głosów.

Biały Max wstał.

— Wyrokiem Dintojry jesteś zawieszony na rok w wykonywaniu zawodu.

Wyrok został zatwierdzony przez aklamację zebranych.

— To co ja mam robić, Max? — jęknął Złoty.

— Powinieneś wziąć państwową posadę. Zgłosisz się, że chcesz pracować, to cię gdzieś na pewno umieszczą.

— Za tysiąc złotych miesięcznie? Nie żartuj, Max.

1 Migacz — tajniak.

2 Bażant — tajniak.

3 Gołda — wódka.

4 Miech — więzienie.

186

— Nauczysz się szanować rzetelny fach i prawa związku — powiedział z przekonaniem Max.

Złoty Polo stał niezdecydowany.

— Kogut, wyprowadź go — rozkazał Wielki Sędzia.

Spod ściany podniósł się szczupły mężczyzna, skinął na ogłupiałego Pola i wspiął się po metalowych schodkach pod sklepienie krypty. Odsunął nieco kamienną płytę grobowca. W granatową szczelinę posłał stłumionym głosem zew puszczyka. Za chwilę odpowiedziało pohukiwanie. Płyta została odsunięta i Złoty Polo znikł w ciemności nocy.

Biały Max zarządził krótką przerwę. Następnie przed trybunałem Sędziego stanął młody człowiek, który przyszedł ostatni. Ale w tonie i zachowaniu Maksa nie było poprzedniej bezwzględności.

— Postępujesz bardzo nieroztropnie, Al — powiedział bez wstępów. — Masz za poważną pozycję w związku i za poważną robotę, żeby pozwalać sobie na głupstwa. Możesz narazić nie tylko siebie, nie muszę ci przecież tłumaczyć jak gówniarzowi — perswadował prawie łagodnie. — Co to za wojny wydajesz jakimś mętom? Podobno o brzanę! Tak ci na niej zależy, Al? Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Ty za bardzo lubisz dziwki, chłopcze — westchnął Max.

— Ja nie mówię, że musisz być zaraz karmelita. Znajdź sobie jedną binę i żyj na zdrowie. Ale porachunki o coraz inną? To nie w naszym fachu.

— Chodziło o Kotkę, moją dziewczynę — mruknął Al.

— Kotka cię puściła? — zdziwił się Max. — To była fajna dziewczyna, z niej mogli być ludzie. Ona się nielicho w tobie durzyła, Al. Ale ty jesteś brutal, nie masz podejścia do takich delikatnych dziewczyn. Coś jej zrobił, że cię puściła? Inne dziwki, co?

Brzana — dziewczyna, kochanka.

- 187 -

— Inny facet — burknął rozzłoszczony nagle Al. — Rzeczywiście kochliwa jak kotka.

— Wykręcasz się, Al, nie mówisz wszystkiego... — zaczął Max.

Sędzia Dintojry nie zauważył nagłej błądności, jaka powlokła twarz młodego człowieka.

— ...ostrzegłem cię, że ona nie nadaje się na rozeznania.

Nie posłuchałeś, ot i masz, zwiąła. Jak myślisz, Al, ona może szkodzić?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Czuwaj nad tym, Al, i zostaw ją. Zabraniam ci — powiedział z naciskiem — tych szczeniackich wojen. To nie jest sposób na odzyskanie dziewczyny, pamiętaj.

— W porządku — mruknął tamten.

— Jeszcze jedno, Al — podjął Biały Max. — Zdasz szefostwo nad „Siódemką” Buremu...

— Dlaczego?!!

— Nie przerywaj — zniecierpliwiał się Max. — Masz za dużo zajęć. A coś niedobrego zaczyna się wokół dzieć. Zaniepokoiła nas bardzo ta opieka nad Relikwiarzem. Wszyscy dobrze wiedzą, a szulawa1 najlepiej, że Relikwiarz od lat nie pracuje, więc po co za nim chodzą? Albo coś przeważają, albo tak profilaktycznie... ale dokąd nie przekonamy się, co w trawie popiskuje...

— I to ty mówisz? Przed chwilą słyszałem, jak zjechałeś Złotego, że miał mojrę przed chatrakiem2 — prychnął z pogardą Al.

— Ja nie mam mojrę, Al — uśmiechnął się z pobłażaniem Max. — Ja mam doświadczenie trzydziestu lat i roztropność, która przychodzi z wiekiem.

— Teraz inne czasy, Max.

1 Szulawa — milicja.

2 Mieć mojrę przed chatrakiem -
bać się milicjanta.

188

— Wierz mi, że migacze szukają tego samego teraz, co i trzydzieści lat temu, i to nieraz lepiej szukają.

— Więc odsuwacie mnie od roboty — stwierdził Al.

— Pleciesz głupstwa — fuknął Max. — Będziesz pracował tylko z meterami. Tylko z doliną — położył nacisk na ostatnie słowo.

— Tracę na tym, Max. Wiesz, że stracę kupę forsy. Karzeć mnie za Kotkę?

— Nikt cię za nic nie karze. Kto ci powiedział, że stracisz? Będziesz miał tyle co teraz, a jeżeli korzystnie poprowadzisz ich interesy, to i więcej. No co, zgoda?

— Zgoda, Biały, zgoda — rozpogodził się Al.

189

XI. Hrabia Siekierok

— Czego pan jeszcze ode mnie chce? Przecież zastosowałem się we wszystkim do pańskiej woli. Pan zdecydował za mnie. O, bo ja bardzo nie lubię decydować. Unikam odpowiedzialności, unikam decyzji. Całe moje życie to właśnie unikanie odpowiedzialności... za wszelką cenę... nigdy nie pomyślałem, że tą ceną może być czyjeś życie...

Radley przerwał na chwilę monolog. Roztargnionym spojrzeniem ogarnął pracownię. Zapalił papierosa. Korosz nie przerywał, mimo że nie bardzo rozumiał, do jakiej jego woli zastosował się ten z taką goryczą oskarżający się mężczyzna.

— ...ale niech pan szczerze odpowie, jest pan przecież odważny, bezkompromisowy — Radley wyraźnie kpił — niech pan odpowie, jeżeli na to pana stać, czy pan nie czuje się w jakimś sensie odpowiedzialny za tragedię tej dziewczyny?

— Ja?!!

— Ja nie mówię, że całą odpowiedzialność ponosi pan — zastrzegł się Radley. — Nie znam się na metodach śledztwa i na tym wszystkim, co składa się na obowiązki majora mi-

licji. Mnie osobiście wydają się one brutalne i... antypatyczne. Ale nie mógł pan załatwić tego inaczej? Porozmawiać z tą dziewczyną? Sam nie wiem... Widzi pan, taka wiadomość dla człowieka mojego pokroju była szokiem. Rzeczywiście chciałem się jak najprędzej wypłatać z kłopotliwej sytuacji. Tym bardziej że miałem gotowy sposób postępowania, który podsunął mi pan... Więc zrobiłem wszystko tak, jak mi pan doradził... Nie wykonałem jeszcze tylko jednego punktu pańskich zaleceń... nie demonstrowałem zażyłości z kobietą, z porządną kobietą ze swego środowiska... ale pan rozumie, nie zdążyłem jeszcze... Zuzanna po prostu nie wytrzymała naszego wspólnego planu. Słaba dziewczyna... mała kurewka. Ja ją zaszczyłem!! — wybuchnął nagle — przy pańskiej pomocy... przy pańskim moralnym poparciu.

— O czym pan mówi? — nie wytrzymał major. — O jakich radach i jakiej pomocy?

Radley zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Ton majora zaostrzył jego rozdrażnienie.

— Mówię o wczorajszej rozmowie z panem — powiedział dobitnie. — Czyżby pan już zapomniał?

— Ależ ja z panem rozmawiam pierwszy raz w życiu! — Zdziwienie majora było tak kompletne i tak przekonujące, że zmusiło Radleya do zastanowienia. Spojrzał bezradnie na inspektora.

— Teraz ja nie rozumiem, majorze. Przecież od pana dowiedziałem się wczoraj, że prowadzi pan śledztwo przeciw Zuzannie, że to od dawna poszukiwana przez was prostytutka, która szantażowała swoich partnerów...

Oniemiały major wpatrywał się w fotografika. „Wariat?” — przemknęło mu przez myśl. Ale po chwili nasunęło mu się inne, niepokojące przypuszczenie.

— Wczoraj rozmawiał pan z majorem Koroszem? Z majorem Koroszem, inspektorem służby kryminalnej Komendy Głównej Milicji?

— Oczywiście z panem — potwierdził z przekąsem Radley.

— Telefonicznie?

— Skądże, ma pan chyba rozdwojenie jaźni.

— Niech mi się pan dobrze przyjrzy. — Major wstał z krzesła i zbliżył się do Radleya. — Niech mi się pan dobrze przyjrzy — powtórzył z naciskiem. — Czy poznaje pan mnie?

Radley przyglądał się mu z niechęcią.

— Nie mogę pana poznać — powiedział bezradnie. — W pracowni było ciemno. Poza tym nie przyglądałem się panu... Nie potrafię zapamiętać twarzy przelotnie widzianych ludzi ani...

- 190 -

- 191 -

— Na miłość boską! — major schwycił Radleya za rękę — przecież, jak pan twierdzi, rozmawiał pan wczoraj z majorem Koroszem, to musiało trochę trwać, nie zapamiętał pan nic,

żadnego szczegółu? A głos, timbre głosu?

— Pan nie chce być poznany? — z nieprzyjemnym uśmiechem zapytał Radley.

— Stare dziecko z pana. Człowieku! Czy pan jeszcze nie rozumie, że wczoraj był tu ktoś inny? Że komuś zależało na tym, aby pan właśnie tak potraktował tę dziewczynę? Zgodnie z jego sugestiami?

— Po co? Komu to było potrzebne? — nie mógł uwierzyć Radley.

— Czy ten rzekomy major okazał panu dokumenty? — wypytywał Korosz.

— Nie — zaprzeczył Radley, zbity nieco z tropu. — Odchylił tylko klapę marynarki...

— Czy to był taki znaczek? — Major podsunął pod oczy fotografika plakietkę tajnej służby wywiadowczej. — Czy tak wyglądał? Niech się pan dobrze przyjrzy.

— W ogóle nie widziałem znaczka — uprzytomnił sobie Radley. — Zresztą nie starałem się go widzieć. Facet przedstawił się... Był bardzo pewny siebie... denerwująco pewny siebie — Piotr przypomniał sobie zachowanie tamtego. — No, zachowywał się jak... — przez moment szukał porównania — jak typowy milicjant.

Major, zrezygnowany, popatrzył na fotografika.

— Niech mi pan powtórzy możliwie dokładnie wczorajszą rozmowę z tym rzekomym majorem Koroszem.

Radley milczał.

— Daję panu słowo honoru — powiedział major — że nie byłem wczoraj u pana. Nie prowadziłem aż do wczoraj żadnego śledztwa przeciwko pani Herc i nie mam pojęcia, co jej można zarzucić.

— Ona nie zaprzeczyła — stwierdził Radley. — Nie zaprze-

- 192 -

czyła ani jednemu zarzutowi. Gdy ją o to pytałem, potwierdziła wszystko, co o niej mówił ten rzekomy major.

— Więc może mi pan powtórzy, co on mówił. Jeżeli nie ma pan do mnie zaufania, proszę zgłosić się do Komendy Głównej. Może pan wybrać sobie oficera, któremu pan zawierzy. Ale musi pan powtórzyć tę rozmowę. Musi!

— On mi wczoraj pokazał fotografię Zuzanny i pytał, czy poznaję — zaczął niepewnie Radley.

— Jaka to była fotografia?

Radley ściągnął brwi, namyślał się przez chwilę.

— Nie artystyczna — powiedział z przekonaniem. — Trochę pretensjonalna odbitka z tych, co to, wie pan, mistrz każe patrzeć w obiektyw i uśmiechać się...

Major powściągnął uśmiech. Pomyślał, że Radley jest w każdym calu fotografikiem, ale stracił nadzieję, że dowie się od niego szczegółów istotnych dla oficera śledczego.

Zapytał ponownie o wczorajszą rozmowę z Koroszem.

Fotografik nie upierał się dłużej. Chwilami zacinając się,

opowiedział Koroszowi wypadki ubiegłego popołudnia, wieczoru i nocy aż do chwili, gdy razem z Kwadratowym i Monterem znaleźli dziewczynę.

— Co jest z Zuzanną, majorze? — zakończył pytaniem swoją relację. — Nie wpuszczono mnie do szpitala — dodał na usprawiedliwienie.

— Co pan wie oprócz tego o swojej asystentce? — Inspektor pominął pytanie Radleya.

— Nic więcej. Wszystko już panu powiedziałem.

— Rozumiem. Nic pan nie zauważył? Nic pana nie zastanowiło w jej sposobie bycia, zachowaniu? Czy Zuzanna starała się zbliżyć do pana? Tego pytania nie podyktowała mi ciekawość — zastrzegł się major.

— Nie — zaprzeczył Radley. — To tylko ja. Dziewczyna była jakaś bezwolna. Później wydawało mi się, i ta świadomość porządnie mnie męczyła, że może zgodziła się na ten romans

193
ze mną w obawie przed utratą pracy... Kiedyś, rozdrażniony, powiedziałem jej to. Załatwiłem jej zameldowanie w Warszawie i obiecałem referencje. Chciałem, aby zrozumiała, że jest wolna i może otrzymać pracę gdzie indziej... Nic nie powiedziała i pozostała ze mną.

— Ona nie pochodzi z Warszawy?

— Cały czas utrzymywała, że pochodzi z Wrocławia. Później okazało się, że jest warszawianką, a tylko przez pół roku przebywała we Wrocławiu.

— Czy wyjaśniła to panu?

— Nie. Kilkakrotnie pytałem i nigdy nie otrzymałem wyjaśnienia. Milczała. Taki miała zwyczaj, że gdy nie chciała czegoś wyjaśnić, to milczała. Nigdy nie szukała usprawiedliwień czy wykrętów dla swego postępowania.

— I nigdy nie zainteresował się pan, co robiła poprzednio, zanim przyszła do pana? Skąd pochodzi, jakich ma znajomych?

— Widzi pan, mnie to właściwie nie obchodziło. Myślę, że o wiele więcej wiedzą o niej ci jej koledzy z Powązek, a szczególnie ten kamieniarz. Kiedyś powiedziała mi, że zna go niemal od dziecka.

Major pojechał na Powązki.

Kamieniarz niechętnie wpuścił go do mieszkania.

— Szkoda fatygi na to zadupie, trzeba było kazać swoim, to by mnie doprowadzili — chłopak mówił zaczepnie, arogancko.

— Kwadratowy — major położył mu dłonie na ramionach — niesłusznie ma pan do mnie żal...

— Ja do pana żal? — chłopak roześmiał się nieszczerze. — Gdzieżbym śmiał mieć do pana żal, panie władzo — zaakcentował. — Ja, były kryminalista?

— Nie zgrywaj się, masz do mnie żal i uważasz mnie za świnię...

— Pan też się zgrywa. Moja opinia wisi panu kalafiolem...

— prychnął chłopak.

— Posłuchaj mnie. — Inspektor mimo woli zacisnął dłonie na barkach chłopaka. — Pierwszy raz w życiu rozmawiałem z Radleyem dzisiaj. Rozumiesz? Dzisiaj! I dotychczas nie prowadziłem żadnego śledztwa przeciwko Zuzannie Herc.

— Uważa pan, że ten mięczak sam wymyślił wczorajszą rozmowę z panem? — uśmiechnął się z politowaniem chłopak. — Gdyby chciał spławić dziewczynę, znalazłby sto innych sposobów. Mimo że to mały gnojek, nie wpadłby mu do głowy taki świński kawał...

— Radley tej rozmowy nie wymyślił — cierpliwie tłumaczył inspektor. — Rzeczywiście wczoraj był u niego ktoś, kto się przedstawił jako major Korosz. Ktoś, komu zależało na tym, aby Radley tak się zachował w stosunku do niej. Ten rzekomy Korosz zasugerował mu sposób postępowania z nią.

Chłopak z niedowierzaniem przyglądał się majorowi.

— Był pan u Radleya?

— Jadę prosto od niego — potwierdził major. — Nie potrafił mi wyjaśnić, jak wyglądał ten mój sobowtór — w pracowni było wtedy ciemno. Nie widział ani dokumentów, ani nic.

— Komu mogło zależeć na skompromitowaniu dziewczyny przed tym łachudrą? — wzruszył ramionami kamieniarz.

— Kwadratowy — major bacznie przyglądał się chłopcu.

— Ty wiesz!

— To pan więcej wie ode mnie na temat tego, co ja wiem

— mruknął chłopak, nie patrząc na inspektora.

— Wtedy w komisariacie nie powiedziałaś prawdy.

Chłopak milczał, odłupywał z pudełka od zapalek cieniutkie drzazgi i łamał je na drobne kawałeczki, wreszcie podniósł głowę i spojrzał na inspektora.

— Sądzi pan, że wczoraj u Radleya był... Hrabia?

— Tak sądzę — powiedział major.

— To może mieć sens — zachmurzył się chłopak. — I na prawdę nic pan nie wiedział o Zuzannie?

- 194 -

- 195 -

— Naprawdę. A teraz muszę dowiedzieć się wszystkiego.

Widzisz, tam u niej stała na stole taka płaska butelka żubrówki. Dziewczyna piła tej nocy... piła sama. Ale tę butelkę oprócz niej jeszcze ktoś dotykał. Nawet wiem kto... mężczyzna, który przyszedł do niej dzisiaj rano... nazywa się Zakrzewski. Inżynier Aleksander Zakrzewski. Nic ci nie mówi to nazwisko?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

— Niewykluczone, że dziewczynę usiłowano zamordować

— podjął major. — Tylko że gdyby zrobił to Zakrzewski, to trzymałby się z daleka od tego miejsca... a nie przychodził następnego dnia z samego rana.

— Nie wpuszczono mnie do szpitala, nawet nie chcą powiedzieć, czy ona żyje. — Twarz chłopaka złagodniała, wyra-

żała nieme błaganie.

— Żyje. Pomóż mi, Kwadratowy — poprosił major.

— Pan nie uwierzy, ale ja nie znam Zuzanny. Źle określiłem. Ja ją znam i mam ją za porządnego człowieka. Tylko niewiele wiem o tym, co się z nią działo, zanim ją poznałem. Nie trzeba wielkiej lotności, żeby zorientować się, że z dziewczyną działo się coś bardzo niedobrego. Taki spacer po marginesie, po dalekim marginesie. Pan wie, co to jest wirażka? Ona nie chciała mówić o sobie — nie pytałem. Kto lepiej ode mnie może zrozumieć, że jak się człowiek zacznie prostować, to nie lubi wspomnień, które chce pozostawić po tamtej stronie, a wścibskość i podejrzliwość mężczy, załamuje, a często uniemożliwia ten powrót. Skaleczonemu człowiekowi trzeba okazać trochę zaufania i życzliwości. Dlatego nie pytałem o nic. A w ogóle to nie wiadomo kiedy bardzo polubiłem tę dziewczynę — to dlatego, że jesteśmy do siebie podobni — dodał szybko. — Ona wołała Radleya. No cóż — facet jest bywały, gładki... zresztą to pana nie obchodzi — powiedział nagle ze złością.

— Mów, Kwadratowy — zachęcił major.

I Kwadratowy opowiedział wszystko, o czym wiedział.

— Czy rozpoznałbyś Hrabiego?

— W piekle bym łacha poznał.

Inspektor zabrał kamieniarza na Puławską. Rozłożył przed nim kilkanaście zdjęć mężczyzn w różnym wieku. Chłopak uważnie przejrzał kilka odbitek i podał majorowi fotografię przystojnego mężczyzny z włosami przyciętymi na jeża.

— To ten — powiedział.

Było to zdjęcie inżyniera Aleksandra Zakrzewskiego.

Major zastanawiał się, jak ma postępować dalej. Sytuacja niespodziewanie skomplikowała się. Długo i bezskutecznie poszukiwany Hrabia, szef specyficznej żandarmerii kieszonkowców, okazał się sutenerem. Na dobrą sprawę powinien go aresztować jako podejrzanego o usiłowanie zabójstwa Zuzanny Herc. Czyżby rzeczywiście chciał zamordować dziewczynę? Stracił na nią wpływ, zgubił ją z oczu, a później, gdy odnalazł, bał się, że może go wydać?

Inżynier Zakrzewski nie zginął w Polsce po swoim nagłym wyjeździe. Następnego dnia wrócił do Warszawy. Inspektor nie mógł się zdecydować, jak ma z nim postępować. Miał nieodpartą ochotę porozmawiać z nim. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że gdy wciągnie go w orbitę sprawy dziewczyny, już nigdy nie trafi poprzez niego do Asów doliny.

Czy Hrabia-Zakrzewski znał wielkich manusów? Niewątpliwie. Przynajmniej kogoś, kto przekazywał mu ich polecenia.

Inspektor poszedł na Ochotę. Szedł wolno, rozważając na chłodno wszystkie braki swego założenia. Wiedział, że być może zaprzepaszcza szansę dojścia z tej strony do środowiska, którego poszukiwał, i równocześnie wydawało mu się, że po-

stępuje właściwie, że bez względu na wyniki w sprawie kieszonkowców, musi zamknąć rozdział Hrabiego.

Zakrzewski przyjął go bez zdziwienia — doskonale opanowany Wskazał majorowi fotel, podsunął papierosy, zaproponował herbatę.

- 196 -

- 197 -

— Często pan bywał u pani Herc? — zapytał major.

— Już panu mówiłem, że nie.

— Nigdy towarzysko? Wyłącznie w sprawach fotografii?

— Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby pani Herc chciała tolerować mnie na tej płaszczyźnie, ale ona wyraźnie sobie tego nie życzyła. Nie miałem żadnych szans, o tym też już panu mówiłem.

— Czy bywał pan w pracowni pana Radleya?

— Nie. Bo pani Herc również i tego sobie nie życzyła. Zrozumiała. Nie chciała, aby jej szef wiedział, że przyjmuje prywatne zlecenia. Posługiwała się jego sprzętem i jego materiałem.

— Widzi pan, mam kłopoty — niepewnie zaczął major. — Zdawałoby się nic prostszego, niż ustalenie pewnych szczegółów z życia takiej młodej dziewczyny — niestety, jak dotychczas nie dowiedziałem się o niej nic, absolutnie nic.

— Powinien pan porozmawiać o niej z Radleyem, wydaje mi się, że był dla niej czymś więcej niż chlebodawcą.

— Skąd pan to wie? — ożywił się Korosz.

— Tak mówią na mieście — uśmiechnął się Zakrzewski.

— O Radleyu krążą różne plotki. Że kobieciarz, alkoholik, że najlepsze jego zdjęcia to prace „murzynów”, których wykorzystuje... i to, że żyje bardzo blisko ze swoją asystentką, nie było tajemnicą. Zresztą nie starał się tego ukrywać. Bywam w klubie NOT-u, Radley również tam bywa; niektórych ludzi niesłychanie interesuje życie bliźnich, stąd też docierały do mnie różne wiadomości na jego temat... Nie zajmowałem się nimi bliżej, bo to mnie niewiele obchodzi. A niech mówią, co chcą, facet robi fenomenalne zdjęcia. Zawistnych i złośliwych nigdy nie brakuje. Radleyowi było czego zazdrościć, nie wyłączając takiej pięknej dziewczyny.

— Radley twierdzi, że Zuzanna Herc była prostytutką, szantażującą później swoich partnerów — major, zamyślony, mówił bardziej do siebie niż do swego rozmówcy.

Zakrzewski bez niepokoju i bez zainteresowania słuchał inspektora.

— Podobno powiedziałem mu o tym ja...

Geolog w niemym pytaniu uniósł brwi.

— Z jego, mętnych zresztą, wyjaśnień, tak zrozumiałem.

Ponieważ wczoraj rozmawiałem z nim pierwszy raz w życiu, więc odniosłem wrażenie, że albo ktoś zabawił się jego kosztem, a raczej kosztem dziewczyny, robiąc taki wątpliwy dowcip, albo komuś zależało na skompromitowaniu dziewczyny

w oczach Radleya, albo to, co powiedział o dziewczynie mój sobowtór, jest prawdą. Miała jakąś dramatyczną tajemnicę, którą chciała ukryć. Fotografik zerwał z nią i wyrzucił z domu. Pod wpływem depresji — jeżeli go kochała — mogła popełnić samobójstwo...

— Komu mogło zależeć na jej kompromitacji wobec kochanka? — z niedowierzaniem zapytał inżynier.

— A chociażby zakochanemu w niej chłopakowi, któremu Radley przeszkadzał.

— To mało prawdopodobne, majorze — szczerze roześmiał się Zakrzewski. — To zbyt romantyczne, jak na mój gust. Kto dzisiaj, jaki mężczyzna będzie tak uparcie zabiegał o względy dziewczyny, która woli innego? Nie! Proszę mi wierzyć, to pomysł z innej epoki!

— Znam dwa uczucia, które są jednakowo silne bez względu na epokę — pokiwał głową inspektor. — Urażona miłość własna i... miłość. Ja nie mówię, że tak było na pewno — ciągnął dalej. — To jedno z moich przypuszczeń, opartych tylko na tym, co mi powiedział Radley.

— Może on to wszystko wymyślił? Może facet chciał się z dziewczyną rozstać i wymyślił taki niefortunny i, co tu dużo mówić, świński kawał... No, chciał się odczepić od dziewczyny... a po tym, co się z nią stało, czuje się nie najlepiej i prawie uwierzył w tę rozmowę z panem, która odbyła się wyłącznie w jego wyobraźni... Ale dlaczego z panem? Nie, to też niepraw-

198

- 199

dopodobne. Jak pan widzi — uśmiechnął się bezradnie — moje talenty detektywistyczne są bardzo mierne.

— Radley nie wymyślił tej rozmowy — stanowczo zaprzeczył major. — Taka rozmowa była i ma pan po części rację — roztargnionym wzrokiem ogarnął pokój, wreszcie zatrzymał spojrzenie na twarzy swego rozmówcy — tu nie chodziło o odzyskanie uczucia dziewczyny. Ktoś był z nią związany jakimiś sprawami, jakąś tajemnicą, która, ujawniona przez dziewczynę, mogła mu zaszkodzić.

— Nie rozumiem — mruknął bez zainteresowania Zakrzewski. Sprawiał wrażenie człowieka, który z grzeczności podtrzymuje narzuconą mu rozmowę,

— Ten ktoś powiedział Radleyowi prawdę o przeszłości dziewczyny. Przez związek jej z Radleyem utracił na nią wpływ i w taki sposób, usuwając jej grunt spod nóg, chciał wpływ ten odzyskać. W interesie własnego bezpieczeństwa. Domyślam się, kto to był — major uporczywie wpatrywał się w twarz swego vis à vis. — Jestem pewny.

— Ciekaw jestem... — Zakrzewski nie zdradzał niepokoju.

— Sutener — stwierdził dobitnie major.

— To bardzo możliwe — skinął głową geolog. Majorowi wydawało się, że w głosie tamtego zabrzmiała ulga.

— Kiedy pan ostatnio był u pani Herc? — zapytał Korosz nagle zupełnie innym, suchym tonem.

Twarz inżyniera stężała. Wolno podniósł papierosa do ust.

— Już panu mówiłem — powiedział, wypuszczając smużkę dymu.

— Pan mi nie powiedział prawdy — tym samym tonem stwierdził inspektor.

— Ależ panie inspektorze!...

— Chcę znać prawdę. Podejrzewam morderstwo. Kiedy pan ostatnio u niej był i w jakim celu?

- 200 -

— Bardzo naiwnie usiłuje pan znaleźć tego mordercę i wątpię, czy pan go znajdzie.

— A to dlaczego?

— Bo to samobójstwo.

— Skąd to przekonanie?

— Wyrobiłem sobie pogląd na podstawie tego, co usłyszałem od pana.

Major odczuł, że mimo doskonałego opanowania, Zakrzewski się denerwuje.

„Trzeba tak dalej — pomyślał — trzeba go wytrącić z tego doskonałego opanowania”.

Zadawał szybkie pytania, nie zmieniając tonu. Geolog, mimo usiłowań, już tak dobrze nie panował nad swoją twarzą.

— Pan mnie podejrzewa o chęć zamordowania tej dziewczyny?

— Tak, między innymi i pana.

— To jakieś nieracjonalne przekonanie. Wobec metafizyki jestem oczywiście bezsilny — wzruszył ramionami tamten. — Jakie pan ma dowody?

— Gdybym je miał — rozmawiałbym z panem w inny sposób i w innym miejscu.

— Czyżby pańskim ideałem był Porfiry Piotrowicz? — zakpił geolog. — Tylko że ja nie jestem Raskolnikow.

— Mam poszlaki — powiedział inspektor, nie zwracając uwagi na ironię inżyniera. — A dowody? Postaram się znaleźć. Pan był widziany z dziewczyną krytycznego dnia, a raczej wieczoru — zaryzykował major i już wiedział po chwili, że strzał był celny.

— U niej w domu? Ma pan na to świadków?

— Ja tego nie powiedziałem — zaprzeczył ze spokojem major. — Nie powiedziałem, gdzie...

— Oczywiście to nieprawda — ale... gdyby nawet, to daleko jeszcze do podejrzewania mnie o morderstwo.

Major nie odpowiedział.

- 201 -

— Pan obrał błędną drogę, majorze — Zakrzewski przybrał ton życzliwości. — Ja w zupełności rozumiem, pan musi wyjaśnić tę sprawę, ale ja nie mam w niej żadnego udziału. Po-

wiedział pan, że zamieszany jest wto sutener... to krzywda podejrzewać mnie o taki proceder. Krzywda i... naiwność.

„Łasi się i merda — pomyślał major. — Ależ on się boi”.

— Więc nie widział się pan z nią wczoraj wieczorem? — zapytał.

Zakrzewski z nagłą determinacją popatrzył na inspektora.

— Spotkałem ją przypadkowo na Starym Mieście, śpieszyła się, pomogłem jej złapać taksówkę — to wszystko.

— O której to mogło być?

— Około dziewiątej. Między dziewiątą a dziesiątą — poprawił z namysłem.

— A później? Co pan robił później?

— Grałem w bridża u znajomych —jednym tchem wymienił nazwisko i adres. — Wyszedłem około pierwszej w nocy.

— Dlaczego nie powiedział mi pan tego od razu?

— Bałem się.

— Proszę przyjść jutro do mnie na Puławską — zażądał major. — Podpisze pan protokół. Muszę mieć to oświadczenie na piśmie. Nazywam się Korosz. Major Korosz — powtórzył z naciskiem, przyglądając się Zakrzewskiemu.

Było dość późno, gdy major opuścił mieszkanie inżyniera Zakrzewskiego — znanego nielicznym jako Hrabia Siekierk. Ciemne, zaciągnięte chmurami niebo nisko wisiało nad miastem. Podmuchy wiatru kołysały ulicznymi latarniami, ich światło ruchomymi kręgami wędrowało po chodniku uliczki.

„Co on teraz robi? — zastanawiał się major, wychodząc na Grójecką. — Przecież coś musi zrobić”.

Przyśpieszył kroku. Gdzieś w pobliżu powinna być kaseeta z milicyjnym telefonem. Nie mylił się, niebawem otworzył metalowe drzwiczki i ujął słuchawkę.

Po drugiej stronie przewodu odezwał się Cieślik.

— Obstawić Hrabiego — polecił major.

— Przyjąłem — powiedział porucznik.

Major poszedł dalej. Żałował, że nie przyjechał samochodem. Po drodze nie spotkał ani jednej taksówki.

Gdy skręcił w Wawelską, był nawet zadowolony z tego przyklusowego spaceru. Zrywający się i cichnący wiatr przyjemnie chłodził po upalnym dniu, szumiał gałęziami drzew; ich korony otaczały chodnik gęstym półmrokiem. Cisza ulicy zwielokrotniała odgłos kroków.

Gdzieś w dali, u wylotu ulicy, przejechał samochód. Potem szum motoru ścichł.

Od drzewa do drzewa po miękkiej murawie trawnika, chrońnięc się pod zasłoną drzew, bezszelestnie przemykał cień...

Major szedł, nie śpiesząc się, cicho pogwizdywał jakąś melodię.

W perspektywie ulicy mignął biały kształt i przepadł w cieniu trawnika. Dobiegło go głuche warczenie, nerwowe, wysokie szczeknięcie. Coś białego znowu wynurzyło się z ciem-

ności, na krótko przypadło do płyt chodnika, by w wielkim salto znów zniknąć w zacienionej części ulicy.

Major poznał swojego psa.

„Owieczka wyprawia harce, pewnie zwęszył kota—pomyślał inspektor. — Aha! Gospośia robi porządki i wypuściła psa”.

Zawahał się, czy ma wracać do domu. Bardzo cenił sobie usługi pani Czerwińskiej zbliżone do ideału, poddawał się bez protestu jej despotycznym rządóm, ale dzisiaj wolał nie słuchać jej zrządzenia, że Owieczka znowu sypia na fotelu, pomimo że uszyła mu własnoręcznie poduszkę, którą ułożyła w przedpokoju i pouczyła wyczerpująco psa i majora, do czego ona ma służyć; że bieliźniarka... — major oczyma duszy zobaczył jej rozgrzebane wnętrze; że zmieniając rano koszulę, zostawił ją na środku łazienki. Był jeszcze cały szereg pomniejszych grzeszków...

- 202 -

- 203 -

Inspektor doszedł do wniosku, że lepiej uniknąć dzisiaj spotkania z gospodynią. Na przyszły raz — przyrzekł sobie na poczekaniu — poprawi się, a teraz pójdzie z Owieczką na spacer.

Cicho gwizdnął na psa.

Odpowiedział mu przepełniony uczuciem, zduszony pisk i duży, kudłaty kształt pomknął w jego stronę wielkimi susami.

Pod drzewo, które minął major, bezszelestnie przesunęła się ciemna postać. Szybko wymierzony skok na chodnik. Z tyłu, nad głową mignął stalowy ciężarek na grubej, giętkiej sprężynie...

Pies ze wściekłym, głuchym pomrukiem potężnym susem minął swego pana, zawisł u ręki napastnika w chwili, gdy mordercze narzędzie spadało w śmiertelnym uderzeniu na głowę człowieka. W ułamku sekundy szarpnięcie zębów potężnego owczarka odchyliło kąt zabójczego ciosu. Stalowa kula „łamigłówni” osunęła się po barku majora.

Korosz poczuł straszliwy, gruchoczący cios. Zatoczył się i runął na chodnik. Oszołomiony, usiłował poderwać się z ziemi. Prawa ręka, cała prawa strona jego ciała była jednym wielkim, szarpiącym bólem. Bark zwisał bezwładnie. Potworny ból rozpraszał myśli i paraliżował wolę...

Rozwścieczony pies walczył z człowiekiem na śmierć i życie.

Człowiek wolną ręką wyszarpnął z kieszeni nóż. Trzasnęła sprężyna, ręka, uzbrojona w lśniące ostrze, uniosła się nad szyją psa.

Zwierzę było szybsze. Puściło okrwawiony przegub bandyty, rozpląszczyło się na moment u stóp napastnika. Uzbrojona w nóż ręka przecięła powietrze. Pies jak sprężyna oderwał się od ziemi, całym ciężarem i rzutem dużego ciała w szybkim skoku podciął nogi człowiekowi. Napastnik zachwiał się, nie

utrzymał równowagi i rozciągnął się na murawie trawnika. Pies już był na nim — twarz leżącego skurczyło śmiertelne przerażenie. Na wysokości oczu miał wyszczerzone kły zwierzęcia, widoczne spod odwiniętych warg, nad którymi straszyla się zmierzwiona wełna uwalana krwią. Zwierzę warczało głucho, z pyskiem tuż przy jego szyi.

Człowiek słabł, czuł, jak z rozdartej tętnicy przegubu, pulsując, uchodzi krew...

Zrobił ostatni, rozpaczliwy wysiłek. Nożem, którego nie odrzucił, wymierzył cios w miękki bok psa.

Drgnęło kudłate ciało. Jękliwe, pełne bólu warknięcie i lśniące kły psa z wściekłością zagłębiły się w delikatnie pulsującą tętnicę szyi.

To już koniec — przemknęła rozpaczliwa myśl. Przerażenie sparaliżowało leżącego człowieka. Z rozwartych do krzyku ust wydobył się tylko charkot.

Przywołaj tego psa — modlił się strzępkami świadomości leżący. — Nie daj mnie zagryźć, przywołaj! — Czuł bliskość drugiego człowieka. Nie myślał, że przed chwilą chciał go zabić.

Korosz, walcząc ze słabością, ze swoim opornym, nieposłusznym ciałem zrozumiał rozpaczliwe wysiłki tamtego, aby uwolnić się od rozjuszonej bestii.

— Owieczka, wróć!! — zawołaniu, które było zawsze nkazem dla psa, nadał tym razem całą surowość.

Pies po raz pierwszy w życiu nie usłuchał rozkazu pana.

Powalony człowiek szarpnął się z desperacją — kły psa zwarły się mocniej w krwawiącym ciełe.

— Nie ruszać się!! — krzyknął major. — Absolutny bezruch!

Leżący usłuchał — ucisk zębów psa nie zelżał, ale znieruchomiał.

Inspektor wyszarpnął wreszcie pistolet. Pomagając sobie brodą, odsunął bezpiecznik i zarepetował. W lewej, zdrowej dłoni niepewnie trzymał broń — nieposłuszna ręka drżała.

- 204 -

- 205 -

Major pomyślał ze zdziwieniem, że teraz mogłoby go rozbroić nawet dziecko.

Słaniając się, podszedł do leżącego.

— Chodź, Owieczka — przemówił łagodnie do psa. —

Chodź, dobry pies, dobry.

Pies, choć niechętnie, tym razem usłuchał rozkazu. Puścił swą ofiarę i jakoś niepewnie wlokąc zad, podczołgał się do nóg majora—liznął jego but, słabo, przepraszająco powachlował puszystym ogonem. Major zobaczył, że bok zwierzęcia krwawi.

Inspektor rozejrzał się bezradnie. Z pistoletem w dłoni usiadł pod drzewem — nie miał siły dłużej stać. Tamten leżący nie ruszał się. Umarł pod kłami Owieczki? Czy boi się wściekłości tego niebezpiecznego zwierzęcia? Nie umarł —

jęczy. Boi się psa. Nie wie, że pies jest ranny, wyczerpany walką i już niegroźny.

„Czy tu nikt nie nadejdzie?” — leniwie myśli major. Wydaje mu się, że oczekiwanie trwa wieki, że już nigdy stąd nie odejdzie. Będzie tu przez wieczność tkwił, szarpany bólem, ze zdychającym psem.

Nie zdaje sobie sprawy, że krwawy porachunek tamtego, śmiertelna walka psa i jego własne cierpienie trwają zaledwie minuty.

„Tracę przytomność” — myśli z lękiem major. Jakieś cienie jak mgła przysłaniają mu świadomość.

„Pistolet” — przychodzi na niego olśnienie, czuje nieznośny ciężar trzymanej broni. Wznosi nad sobą drżącą rękę, strzela w górę, w przerwę między konarami drzew. Raz, drugi, trzeci... — rozpaczliwe trzy strzały.

Zawtórowało mu posepne, żalose wycie psa.

Cisza. A później, zawodząc syreną, z piskiem hamuje milicyjny wóz. Szybkie, podkute kroki na bruku. Ludzie, coraz więcej ludzi.

Nad majorem pochyla się głowa w milicyjnej czapce. Spod daszka patrzą uważne oczy.

Bandyta poruszył się. Chce wstać.

Owieczka wydaje głuchy pomruk i usiłuje dźwignąć się na przednie łapy.

— Ratujcie psa, obronił mnie przed napadem — żąda Korosz. — Ratujcie psa — powtarza.

Ale pies nie pozwala ruszyć się od kolan swego pana. Resztkami sił rzuca się na ludzi, zdezorientowany kąsa wszystkie życzliwe ręce.

Nie ma rady, razem z majorem jedzie jedną karetką pogotowia do szpitala.

Gdy po majora wyciągają się dłonie lekarzy, pies już nie gryzie. Trzymany, skomli przejmująco.

— Ratujcie psa — resztkami przytomności błaga major.

— Zaraz będzie opatrzony — uspokaja chirurg.

Po tym zapewnieniu major już nic nie słyszy. Łaskawa czerń zagarnia jego świadomość.

- 206 -

XII. Zuzanna

Na zamkniętych powiekach tańczą jasne, ciepłe plamy. Zuzanna ma uczucie, że ktoś delikatnie gładzi jej twarz miękkimi, ciepłymi dłońmi.

Skupia oporne myśli — jest w szpitalu, coś się musiało z nią stać. Niejasna pamięć czegoś strasznego, okrutnego tkwi w jej świadomości, męczy, napawa przerażeniem. Ale co to było, co to było?

Nieznany strach dławi, unieruchamia dziwnie słabe ciało.

Dziewczyna kurczowo zaciska w dłoniach brzeg koca.

Złana potem, z wysiłkiem siada na posłaniu — przed oczyma mnożą się świetliste kręgi. Przez chwilę nic, tylko

te biegnące kręgi: czerwone, błękitne, złote... później wylaniają się pojedyncze sprzęty, kawałek ściany, biało lakierowane drzwi.

„W głowie mi się kręci” — myśli dziewczyna, usiłując opanować okropne uczucie lęku.

Chce jak najszybciej opuścić ten pusty pokój. Zza drzwi nie dobiega żaden dźwięk. Ale przecież w szpitalu muszą być ludzie... Za wszelką cenę chce być wśród ludzi, czuć ich bliskość, słyszeć rozmowę. Wie, że w pobliżu ludzi przestanie się bać.

Ciało jest nieposłuszne, a nogi zupełnie odporne. Zuzanna z zaciśniętymi zębami, trzymając się łóżka, stawia chwiejne kroki. Musi dojść do drzwi, musi!

Krople potu od nasady włosów spływają po twarzy. Zuzanna zlizuje z wypukłych warg wilgotną słoność i uporczywie dąży do drzwi. Ale kończy się oparcie łóżka i między nią a drzwiami pozostaje wolna przestrzeń, którą musi przebyć bez żadnej pomocy.

Z rozpaczą rozgląda się po pokoju... brak jej sił. Płacze.

W otwartych drzwiach stanął lekarz. Wziął pod rękę ślaniającą się dziewczynę i ułożył z powrotem do łóżka. Delikatnie obciągnął koc, poprawił poduszkę.

— Na spacerzy troszeczkę za wcześnie — skarcił łagodnie.

— Co się ze mną stało? Co mi jest?

— Byłaś chora, Zuzanno, bardzo chora — uśmiechnął się do niej. — A teraz jesteś rekonwalescentką, niebawem będziesz zupełnie zdrowa — tłumaczył jak dziecku.

— Ale dlaczego byłam chora? Nie pamiętam — zmarszczyła brwi. — Strasznie mnie to męczy i boję się... dlatego wstałam, boję się być sama. Proszę mnie nie zostawiać samej!

— Nie myśl o tym — zbagatelizował lekarz. — Nie będziesz sama. Zaraz przyjdzie pielęgniarka. Mówiąc, nabierał do strzykawki bezbarwny płyn z małej fiołki. W niklowym uchwycie igły zamigotało odbicie słonecznych promieni.

Dziewczyna zamarła z boleśnie ściągniętą twarzą. Lekarz zatrzymał w dłoni strzykawkę.

— Boisz się zastrzyku, Zuzanno?

Zaprzeczyła ruchem głowy

— Już wiem — powiedziała bezbarwnie.

— Co wiesz? — nie zrozumiał lekarz.

— Chciałam się otruć. Odkręciłam gaz. Wtedy tak samo błyszczał kurek od gazu — wskazała nikłowy brzeg strzykawki. — Tylko to było wieczorem. Panie doktorze, kto mnie tu przywiózł?

— Oczywiście karetka pogotowia. Chorych przeważnie zabierają karetki pogotowia — z udaną powagą oznajmił lekarz.

Dziewczyna, już spokojna, przyjrzała się doktorowi.

— Czy interesowała się mną milicja? Tylko proszę powiedzieć prawdę.

— W takich wypadkach zawsze interweniuje milicja. Więc jeżeli o to ci chodzi... — mruknął speszony lekarz.

- 208 -

- 209 -

— Pan się wykręca — westchnęła dziewczyna. — Uważa pan, że z chorymi... z niedoszłymi samobójcami — skrzywiła się ironicznie — to należy jak z dziećmi, bo nie wiadomo, czy nie zechcą powtórzyć. Może mi pan wierzyć, ja nie zechcę powtórzyć. Więc czy interesowała się mną milicja?

— Zuzanno, już powiedziałem, że nie więcej niż innymi w takich okolicznościach.

— A inspektor major Korosz? — nastawała dziewczyna.

— Nie — skłamał lekarz. — Ale za to kto tu nie urywał telefonu! — chciał zaintrygować dziewczynę i odwrócić jej uwagę. Udało się.

— Kto? — bardzo chciała wiedzieć Zuzanna.

— Najślynniejszy warszawski fotografik, dzwonił, przychodził...

Po twarzy dziewczyny przemknął ledwo widoczny cień.

— ...trzech studentów i jedna dziewczyna...

— To też studentka, Kacha! — wyjaśniła Zuzanna.

— No więc ta Kacha — urocza dziewczyna — skokietowała portiera i tak go zagadała, że zapatrzony w jej dekolt, nie zauważył, jak jeden ze studentów przemknął się do szpitala. Dopiero pielęgniarka — tu przy tobie były stałe dyżury — zatrzymała go w drzwiach twego pokoju.

— Kto to był, jak wyglądał? — rozjaśniła się dziewczyna.

— Nie pamiętam nazwiska. Ale to mój przyszły kolega po fachu.

— Rentgen!

— Jaki Rentgen?

— My go tak nazywamy. Umie idealnie wyleczyć grypę! — roześmiała się Zuzanna.

— Więc Rentgen wszystko chciał wiedzieć. Zadawał mi miliony pytań. Czułem się jak na egzaminie. Ale to jeszcze nie wszyscy.

— Był Kwadratowy?

- 210

— Bardzo możliwe, że to Kwadratowy — westchnął lekarz.

— Taki potężny chłopak, ostrzyżony na jeża, w czarnym golfie. Znieważył portiera, awanturował się z pielęgniarką, zostawił kwiaty i mnóstwo dobrych rzeczy. Przebacz, Zuzanno! Zostały zjedzone bez ciebie. Ty wtedy wolałaś sól fizjologiczną... — doktor był skruszony.

— To na pewno Kwadratowy! — ucieszyła się Zuzanna. — Doktorze, czy oni teraz też przychodzą?

— Przychodzą, tylko portier już nie daje się nabierać, no i ten Kwadratowy już się nie awanturuje. Czekają, aż będzie można cię odwiedzać.

— To już chyba można?

— Trzeba będzie poczekać, aż będziesz zdrowsza.

— Nic nie jest w stanie mi zaszkodzić — zapewniła dziewczyna. — Proszę wpuścić przynajmniej Kwadratowego. Ja muszę go zobaczyć, doktorze!

Lekarz nie odpowiedział. Nie mógł powiedzieć jej, że właśnie major Korosz, o którego tak się dopytywała, wydał zakaz nie tylko odwiedzania jej, ale nawet udzielania najprostszych informacji na jej temat. Studenci swoim wybiegiem przysporzyli mu masę kłopotów. Musiał ich zobowiązać — przyrzekli mu solennie — że nikogo nie poinformują o stanie zdrowia Zuzanny, że to uzasadniona prośba wyższego oficera milicji.

— Jeżeli będziesz się dzielnie spisywała, pozwolę przyjść Kwadratowemu.

Ale Zuzanna już nie słyszała obietnicy doktora. Zmęczona rozmową, zasnęła mocnym snem ozdrowieńca.

Lekarz telefonicznie zasięgnął opinii milicji co do wizyty u Zuzanny. W zastępstwie nieobecnego majora pułkownik Lis zgodził się na te odwiedziny, oczywiście jeżeli medycyna nie ma nic przeciw temu. Medycyna nie miała.

Kwadratowy zjawił się w szpitalu następnego dnia. Niósł w opuszczonej ręce starannie opakowane kwiaty — ich główki wlokły się po podłodze.

211

— Kwadratowy, to nie miotła! — powitała go Zuzanna, wskazując wiązanek.

— Nie mam wprawy w odwiedzaniu niedoszłych umrzyków — mruknął chłopak i niezgrabnie utkał resztę bukietu w nogach łóżka. — Sie masz, Zuza! — powitał ją z udaną nonszalancją.

— Bardzo chciałam cię zobaczyć, Kwadratowy — uśmiechnęła się dziewczyna. — Chciałam ci opowiedzieć o sobie, bo widzisz, nie wszystko ci powiedziałam, nie powiedziałam ci, jak to było naprawdę i to jest źle...

— W porządku — prędko przerwał chłopak. — Zwierzenia to nie mój resort. Specjalista w tej branży to „Dziób”. Społecznik i w ogóle. A poza tym będzie jeszcze czas, kupę czasu... tylko już nie rób takich hec, Zuzanno! Nie ma sytuacji, żeby jedynym wyjściem był kurek od gazu... Masz przyjaciół, życzliwych ludzi. Możesz zawsze liczyć na nas, a nawet chłopaki przemogli się do Radleya. Nie uwierzysz, ale ten major z milicji też nie wróg...

Kamieniarz powtórzył jej wszystko, co usłyszał od Korosza.

— On szuka Hrabiego, Zuzanno — uporczywie patrzył na dziewczynę. — Szuka Hrabiego, rozumiesz?

— Rozumiem — skinęła głową. — Zawiadam Korosza, że powiem mu wszystko. Tylko najpierw chciałam, żebyś ty wiedział...

— W porządku. Ja o tobie nie zmieniłem zdania i chłopak-

ki też.

Umówili się, że Kwadratowy natychmiast zawiadomi Korosza. Ale majora nie było. Kwadratowy nie rezygnował i przez cały dzień dzwonił na numer inspektora — telefony przyjmował pułkownik Lis.

Wreszcie zniecierpliwiony chłopak przedstawił się i poprosił o powtórzenie majorowi, że Zuzanna Herc prosi go o rozmowę.

Do szpitala przyjechał pułkownik Lis.

— Jestem kolegą inspektora — oznajmił. — Nazywam się Henryk Lis.

— Major Korosz mnie zna. Łatwiej mi będzie z nim rozmawiać — powiedziała zawiedziona Zuzanna.

— Major Korosz jest bardzo zajęty — kręcił Lis. — Właśnie przysłał mnie...

— Proszę się na mnie nie gniewać — prosiła dziewczyna — ale ja poczekam, gdy major będzie miał wolną chwilę.

— Boję się, że to nieprędko nastąpi — mruknął Lis.

Dziewczyna z niechęcią odwróciła głowę — milczała.

— Co pani tam widzi? — zainteresował się Lis.

— Gdzie?

— No, na tej ścianie, tak się pani wpatruje—westchnął pułkownik. — Az majorem naprawdę teraz nie można mówić.

— Ale dlaczego?

— Bo jest ciężko ranny... miałem pani tego nie mówić, ale trudno. Jeżeli pani się zdenerwuje i będzie jakaś temperatura albo co... to pani się będzie tłumaczyła. Ja ucieknę... i w ogóle najgorzej to z dziewczynami!

— Co się stało majorowi?

— Inżynier Zakrzewski poczuł się dotknięty postępowaniem Andrzeja — major ma na imię Andrzej — i poszukał satysfakcji. Zrobił to niesportowo. Znienacka uderzył go „łamiągówką”. Nie wiem, czy pani wie, co to takiego? W tę historię wmieszał się pies majora, taki wielki biały kundel, który przypadkiem znalazł się w pobliżu... więc major ma tylko paskudnie złamany obojczyk i rękę. Leży w szpitalu. Teraz pani rozumie, że nie może przyjść.

— On go chciał zabić?!

— Mnie się też tak wydaje.

— Czy tamten został złapany?

— O, tak. Pies potraktował go dość bezwzględnie.

— Major poszukiwał Hrabiego. Zakrzewski to Hrabia.

- 212 -

- 213 -

— To wiemy.

— Wszystko przeze mnie — dziewczyna była zgnębiona. — Kłamałam. Każdemu mówiłam tylko trochę prawdy. Myślałam, że wszystko się samo wyprostuje, że wystarczy odejść od tego... Nie czułam się odpowiedzialna za nic... Cały świat był moim dłużnikiem, a ja nie byłam nikomu niewinna. Egocen-

tryzm... pamiętałam tylko własną krzywdę, a cała reszta mnie nie obchodziła... Ale przecież nie to chciałam powiedzieć i nie tego pan ode mnie oczekuje.

— Wszystko jest ważne, Zuzanno, nie tylko fakty.

— Otrzymałam staranne wychowanie. Jestem jedynaczką. Spełniano wszystkie moje zachcianki. Sam fakt, że nieźle się uczyłam, był powodem do nieustających prezentów. Kupowano moje noty w szkole, a ja to przyjmowałam jak coś zupełnie naturalnego, więcej, jak coś, co mi się należy. Nie krytykuję swojej matki — ojciec żyje osobno — chciała jak najlepiej. Prawda, jaki schemat? Znane. Ale cóż zrobić, tak było ze mną. Moją naukę, brak czasu dla mnie, rozbitcie naszej rodziny — rekompensowano mi w taki sposób. Niewątpliwie trochę upraszczam, ale te elementy odegrały jakąś rolę w moim życiu. Oczywiście to wszystko mnie nie tłumaczy. Proszę nie myśleć, że chcę się usprawiedliwić... Trudne dzieciństwo! To brzmi już jak kiepski dowcip. Zresztą moje dzieciństwo nie było trudne w potocznym znaczeniu. Wydaje mi się, że było za łatwe — to nie paradoks. Jeszcze nie zdażyłam czegoś naprawdę zapragnąć, a już to miałam. Nie szanowałam ani pieniędzy, ani tego, co można za nie otrzymać, ani pracy. Życie wydawało się wielką, nawet przyjemną zabawą. Nie do pomyslenia było dla mnie, że mogę czegoś pragnąć i nie otrzymać... później zakochałam się. Banał, prawda?

— Proszę mówić dalej.

— No więc zakochałam się. Domyśla się pan w kim? To było przed maturą. Zakochałam się z wzajemnością. Dużo później przekonałam się, co to była za wzajemność, ale wtedy? Wte-

- 214 -
dy po raz pierwszy moja matka sprzeciwiła się. Nie tak zupełnie, ale że najpierw trzeba skończyć szkołę i trochę poznać tę swoją „wielką miłość”. Nie chcieliśmy o tym oboje słyszeć... Al powiedział, żebym odeszła z domu — z nim. Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Po awanturze z matką oświadczyłam, że wyjeżdżam z Alem do Wrocławia. Matka — zupełnie bezradna — ustąpiła. Prosiła, abyśmy zamieszkali razem z nią. Nie zgodziłam się. Właściwie nie ja. Nawet chętnie zostałabym z nią — kochałam matkę po swojemu. Al nie chciał — aja? Ja wtedy chciałam tylko tego, czego chciał on... — zamilkła. Grymas ściągnął jej twarz.

Pułkownik delikatnie pogładził spoczywającą na kocu rękę dziewczyny.

— ...więc moja wielka zabawa, moja wspaniała przygoda trwała nadal. Wyjechaliśmy do Wrocławia. Zmienialiśmy hotele, noce spędzaliśmy w najlepszych lokalach. Al kupował mi wszystko, czego tylko zapragnęłam. Nie liczył się z pieniędzmi, sprawiał wrażenie człowieka, który ma ich tak dużo, że nigdy mu nie zabraknie. Nie zastanawiałam się nad tym, skąd on ma pieniądze. Między innymi dlatego, że przez wszystkie lata swego życia nigdy nie wiedziałam, skąd się je

bierze. Oczywiście wiedziałam, że się pracuje, zarabia, handluje albo kradnie, ale to tak gdzieś na marginesie. A tak naprawdę to pieniądze były problemem z innego wymiaru. Pieniądze miałam zawsze — powyżej swoich potrzeb — i koniec. Proszę nie sądzić, że się usprawiedliwiam...

— Nie sądzę tak — poważnie stwierdził pułkownik.

— Wtedy bardzo kochałam Ala. Był dla mnie wyrocznią i wszystkim... Nawet fakt, że jest o piętnaście lat starszy ode mnie, napawał mnie dumą. Nasze *dolce vita* trwało miesiąc. Potem skończyły się pieniądze. Nie wydawał się zmartwiony. Zawiadomił mnie, że musi wyjechać, ażeby postarać się o nowy zapas gotówki, a mnie w tym czasie umieści u swoich przyjaciół, gdzie będę się czuła jak u siebie w domu. Za-

215
mieszkałam u tych przyjaciół w willi na Sępolnie. Przyjęli mnie jak członka rodziny. W dalszym ciągu nie zbywało mi na niczym.

— Na Sępolnie?

— Tak. U Białego Maksa — o tym pseudonimie dowiedziałam się znacznie później. Jeżeli to panu coś mówi...

— Bardzo wiele, Zuzanno.

— Max, atrakcyjny, dowcipny starszy pan o nienaganych manierach zaczął mnie uczyć grać w pokera. Z początku była to ot, taka sobie rozrywka. Po całych dniach — oczekując Ala — nic nie robiłam. Później, sama nie wiem jak, wciągnął mnie hazard. Jestem widocznie skłonna do nałogów — uśmiechnęła się niewesoło. — Max zauważył to — wtedy poker już nie miał dla mnie tajemnic — i wyjaśnił, że jeżeli chcę grać perfektnie, to nie wolno się hazardować. Zrobił mi cały wykład. Mówiąc krótko, byłam adeptem szulerki. Al i Max ocenili bezbłędnie moje zalety i wady. Idealnie nadawałam się do tego rodzaju zajęcia. Byłam młoda, wydawało mi się, że posiadam wszystkie rozumy, zakochana. Mój sposób bycia, aparycję, nawet dobrą znajomość francuskiego wzięto pod uwagę. Wystarczyło nauczyć szulerki. Byłam pojętną uczennicą — edukacja trwała cztery miesiące. Później był egzamin. Wraz z Maksem ograliśmy doszczętnie jego dwóch kolegów. Oczywiście wszystko było na niby. Traktowaliśmy to wszyscy — przynajmniej ja — jako dobry żart. Po grze zwróciliśmy wszystko tym panom, przyznając się, że fałszowaliśmy grę.

— Nie wiedziałaś, Zuzanno, gdzie się znajdujesz?

— Nie. To wszystko było przeprowadzone inteligentnie, nieobowiązująco, w atmosferze towarzyskiej zabawy. Max miał za zadanie nauczyć mnie szulerki. Przy jego osobistym uroku poszło mu to nadzwyczaj łatwo. Skruszyć moje ewentualne opory, nawet złamać, jeżeli zajdzie potrzeba — to było zadanie Hrabiego — Zuzanna jakoś twardo, po raz pierwszy w tej rozmowie wymieniła pseudonim Ala.

216

— Zapali pani, Zuzanno? — Pułkownik odczuł, że na chwi-

lę trzeba jej dać odetchnąć. Przyjęła papierosa i zaciągnęła się dymem.

— I tu już żadnych tłumaczeń być nie może — podjęła po chwili. — Wielkich trudności z tym złamaniem mnie nie było. Niewątpliwie kochałam Hrabiego, jeszcze kochałam — poprawiła. — Byłoby kłamstwem, gdybym powiedziała, że nie zdałam sobie sprawy z tego, co robię, że to nieetyczne. Nie potrafię wytłumaczyć panu swoich wszystkich pobudek. Trochę beztroski, trochę emocji, coś w rodzaju uczucia: śmierć frajerom, ciekawości, przygody, przymusu ze strony mojej „wielkiej miłości” i jakiś cień skrupułów, o których nie chciałam myśleć. Byłam dobrym szulerem, wprowadzałam w błąd masę ludzi swoim zachowaniem, wyglądem. Wygrywaliśmy... dużo pieniędzy. W pociągach, w modnych miejscowościach... Po pewnym czasie Al zdecydował, że należy przerwać działalność, aby nie zwrócić uwagi władz. Znowu znalazłam się u Maksa. Nie powiem, żeby Biały Max był dla mnie zły, ale to już nie była ta sama serdeczność. Odnosił się do mnie z rezerwą. Poza tym był zajęty. Załatwiał interesy z jakimiś ludźmi. Niewielu było tych gości — kulturalni, elegancy. Raz zdarzyła się pomyłka. Nie było Maksa. — Przyjechał jakiś gentleman, śpieszył się i popełnił gafę. Byłam ciekawa, chciałam dowiedzieć się w końcu, co to za środowisko, czy sami szulerzy? Udało mi się sprowokować faceta. Wziął mnie za wtajemniczoną — oddał mi paczkę dla Maksa. Oczywiście rozpakowałam ją — to była biżuteria. A gość Maksa nazywał się Borys Velder. To wielki marwicher — wymówiła tę nazwę z dziwnym akcentem. — Czy pan wie, co znaczy marwicher?

— Wiem, Zuzanno — uśmiechnął się Lis.

— Max rozprawił się ze mną krótko. Szantaż i odkrycie kart. Wtedy dopiero w pełni zdałam sobie sprawę, w co wpadłam. Ogarnęła mnie panika. Jak się z tego wypłatać? Z jednej strony milicja, z drugiej... dintojra, terror. Max odwiózł mnie

217

do Warszawy, do Hrabiego. Ale to już nie był zakochany we mnie „prawdziwy mężczyzna”. Może przez krótki czas miał dla mnie jakiś sentyment, taki, na jaki go stać. Zrozumiałam, że byłam dobrym materiałem do jego planów. Młoda, rozkapryszona, niesamodzielna. Odciać mnie od rodziny i koniec — zostanę na jego łasce. Przyzwyczajone do dobrych warunków stworzenie bez charakteru. Jednym słowem to był szef. Niesił się na ubieranie oczywistych faktów w piękne słowa.

— Nie szukała pani pomocy u rodziców?

— Bałam się. A poza tym nie mogłam, nie byłam w stanie zrzucić tego na barki matki. Strach zmiądzzył mnie, pozbawił woli, uczynił uległą — bezmiar poniżenia. A najgorsze, że mimo tej zupełnej degrengolady, a może właśnie dlatego, zdałam sobie sprawę ze swojej sytuacji. Wiedziałam, że błędę po marginesie, że ginę. Uciekłam od Hrabiego pod wrażeniem chwili... było już zbyt makabrycznie... Wtedy na

moment zapomniałam o strachu. Hrabia posłał mnie na rozeznanie. Wie pan, co to jest?

— Powiedz, Zuzanno, to ważne.

— Miał taką grupę, której nadawał robotę. Tylko do mieszkań. Oni robili włamania tylko do mieszkań zamożnych ludzi. Pewnego wieczoru, było to w „Bristolu”, wskazał mi starszego mężczyznę. Miałam obejrzeć rozkład jego mieszkania... zrobić plan, odcisnąć próbki kluczy. Zawarliśmy znajomość przy barze. Po prostu pozwoliłam się „poderwać”. Podobałam mu się... zresztą po takiej ilości alkoholu, jaką on wypił... Przez szkło kieliszka każda się wyda Lollobrigida. Pojechałam z nim... W taksówce zaczął się ślinić... Gdy sobie wyobraziłam, co mnie może jeszcze spotkać — nie mogłam. Zatrzymałam taksówkę i uciekłam... Nieważne, co wtedy myślałam. Jedyne uczucie, które do dziś pamiętam to... żywiołowy wstręt do tego starego, pijanego człowieka. Nie miałam pieniędzy. W tym czasie Hrabia dawał mi minimalne sumy. Błąkałam się po Warszawie trzy dni. Bałam się, nie bez powodu, że Hrabia może mnie znaleźć. Powrócił straszliwy, obezwładniający lęk przed nim. Nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Nie miałam gdzie pójść, a do matki w takim stanie nie wróciłabym za nic... Miałam czas na obrachunki z sobą i obrachowałam się, ale ponad wszystkim górowała jeszcze moja własna krzywda... Gdy byłam u kresu wytrzymałości, znalazł mnie pod Barbakanem Monter. Podali mi rękę, jak człowiekowi, jak drugiemu człowiekowi. I oni, i studenci... Nie pytali o nic. Pan na pewno uważa, że to bardzo lekkomyślnie z ich strony? Później był Radley. Jemu nic nie powiedziałam. Gdy na Torwarze spotkał mnie Hrabia... z różnych względów wolałam przed Kwadratowym uchodzić za wirażkę, niż powiedzieć, jak było rzeczywiście... To wszystko.

- 218 -

XIII. Asy doliny

— Twarzowe? Pułkownik zadowolony? — Cieślik, trzymając w dwóch palcach arkusik listowego papieru, demonstrował go Lisowi.

— Poruczniku, jest pan tak zaprzątnięty wymyślaniem psich figlów, że już na pracę nie zostaje pomysłu — zganił go pułkownik.

— Pułkownik jest trudny we współzyciu — ciężko westchnął Cieślik. — Ja się tu podlizuję... A w ogóle to pułkownik mnie onieśmiela... Proszę powiedzieć, co pułkownik ma do tego listu? Przecież to wyjątkowo udany egzemplarz sztuki epistolarnej.

— Tępieje mi chłopaczysko doszczętnie — zmartwił się Lis.

— Co to niższy stopniem musi wycierpieć od wyższego, zanim nie dorówna mu w tym! — Cieślik wskazał na pułkownikowskie naramienniki.

— Proszę mi wytłumaczyć, w jaki sposób człowiek, który

nagle znalazł się w szpitalu, może napisać list na własnej maszynie do pisania, która została w domu. Słucham?

— Przełożony ma zawsze rację — potulnie przyznał Cieślik.

— Po drugie: kto wam powiedział, że on sygnuje swoją korespondencję literą H?

— Punkt pierwszy instrukcji: przełożony ma zawsze rację, drugi: podwładny nigdy nie ma racji. Gdyby się jednak okazało, że podwładny ma rację, zastosowanie ma punkt pierwszy

— wyrecytował porucznik. — Ale w tym wypadku rzeczywistość ma pułkownik rację. Widzicie, to dlatego, że ja nie mam serca do tego pomysłu.

— Ciekaw jestem, do czego macie serce?

— Tak w ogóle to do dziewczyn — zwierzył się porucznik.

— To są wrodzone skłonności. Pamiętam, że już jako niemowlę... ale co będę pułkownika gorszył. A w tym konkretnym wypadku proponuję „kocioł”.

— Cieślik, nie jesteś chory? — zatroszczył się Lis.

— Ależ skąd, cieszę się uporczywym zdrowiem.

— Pan nie kojarzy dzisiaj. Co przyniesie zasadzka?

— Pułkownik myśli, że tam nikt nie przyjdzie?

— Powiedzmy, że przyjdą, że nawet wszyscy przyjdą — w co wątpię — to z gotowymi dowodami, co? A jeżeli ich zabraknie, to natychmiast włożą wam rękę do kieszeni, żebyście mieli niezbita dowody? Cieślik! Cieślik! Gdzie wasza forma?

— Lis z wyrzutem pokiwał głową.

— A pułkownik koniecznie chce, żebym ich złapał za rękę, jak ją będą trzymali w cudzej kieszeni, tak? Pułkownik ode mnie za wiele wymaga. Pułkownik jest wielki teoretyk i... optymista.

— Tego od was nie oczekuję — skrzywił się Lis. — Wystarczy, jeżeli nie zginię wam następny portfel...

— Ja nie wymawiam, ale mnie nie ukradziono trzech tysięcy złotych — porucznik uśmiechnął się z nieopisaną słodyczą.

— Bo ich pan nie miał.

— Tak jest! — z udanym zapalem wykrzyknął porucznik.

— Ale wracając do rzeczy: że nie złapiecie za rękę — święta prawda. Ale w odpowiednim momencie potraficie chyba unieruchomić facetów, tak żeby nie mogli pozbyć się łupu. Przecież to już naprawdę nic trudnego. Wszystko macie gotowe. Znacie nazwiska i szefów, i tycerów. Więc co, jeszcze trudności? To po co mamy tajną służbę?

— Czy pułkownik wie, ile my się nauganiamy?

— Może ja mam się uganiać?

— No nie — skrzywił się z niesmakiem Cieślik — Kto by nas wtedy poganiał do tego ganiaania, ach, kto?

- 220 -

- 221 -

— Do roboty, poruczniku. Szybko przygotujcie ten list. Zwykły kancelaryjny papier. Próbkę jego pisma mamy?

— Mamy. Nawet jego wieczne pióro. Parker.

— Pióro zbyt cenne. Lepiej zwykłym długopisem, takim popularnym. Zaraz wam przyślę eksperta. No i ten podpis. On się nie posługiwał tym sensacyjnym pseudonimem. Podpiszcie Al albo Aleksander, to bez różnicy.

Ekspert zjawił się rzeczywiście szybko. Obejrzał jedną próbkę pisma.

— Poruczniku — zwrócił się do Cieślika — muszę mieć próbki, w których będą wszystkie litery alfabetu, a przynajmniej te, których użyję w tekście.

— Bez pedanterii. Myślisz, że to będą czytać eksperci pisma? — wzruszył ramionami porucznik, ale podał następną kartkę, zapisaną pochyłym, ostrym pismem. Biegły wypisał najpierw pojedyncze litery alfabetu. Powtórzył to kilkakrotnie. Ćwiczył rysunek ostrych liter. Później zaczął wypisywać tekst listu:

Miałem wypadek — leżę w szpitalu. Nic groźnego. Nie niepokój się. Zawiadom resztę, że chwilowo jestem nieczynny. Nie trzeba mnie odwiedzać. Pozdrawiam

Al.

Cieślik zaglądał ekspertowi przez ramię.

— Marnujesz talent — powiedział z uznaniem. — Nigdy nie miewasz chętki na wykonanie autografu dyrektora banku?

— Miewam — roześmiał się ekspert. — Ale co spojrzę na kolegów od ekspertyzy pisma, to mi przechodzi.

Tym razem pułkownik już nie miał zastrzeżeń do listu spreparowanego przez eksperta. Chwilę porównywał z nim pismo autentyczne.

— Dobra robota — mruknął z zadowoleniem.

- 222 -

— Widzi pułkownik, jakie talenty marnieją? — wsadził swoje trzy grosze Cieślik.

— Teraz, poruczniku, trzeba to natychmiast dostarczyć Rączce. Nie wolno dopuścić, żeby jego znajomi zaczęli się niepokoić nieobecnością Hrabiego vel Zakrzewskiego.

— A jeżeli Rączka nie ma z tym nic wspólnego?

— Ja podejrzewam, że ma.

— Co o tym mówi Korosz?

— Korosz nic nie mówi, Korosz pojękuje.

— Wolałbym słyszeć jego zdanie. Kto lepiej zna od niego cały ten interes?

— Nie jestem dla was autorytetem? — roześmiał się Lis. — Dla spokoju waszego sumienia: Andrzej przez cały czas tego dochodzenia podejrzewał weteranów kieszonki. A ten zjazd we Wrocławiu nic wam nie mówi? Przecież osobiście prowadziliście obserwację. Wprawdzie nie najbardziej owocną...

— Już mówiłem — zaperzył się Cieślik — że wszyscy wyładowali na cmentarzu na Krzykach. Grabarz był w zmowie

— sygnalizował krzykiem puszczyka. Co miałem jeszcze zro-

bić? Zaprosić się do ich towarzystwa?

— Jesteście pewni, że Hrabiego tam nie było?

— Kto tu mówi o pewności? — rozzłościł się Cieślik. — Włosa z głowy za to nie dam. Wiecie, jakie tam były warunki obserwacji. Noc, ciemno, rozległy pusty teren, do którego nawet zbliżyć się nie mogłem, bo wsypa. Miałem tylko rysopis pamięciowy faceta. Ciekaw jestem, czy pułkownik by poznał, co?

— Proszę mi nie zadawać kłopotliwych pytań! Korosz was do reszty rozpuścił. Ten list ma otrzymać Rączka. Proszę obstarwić faceta i sprawdzić, kogo poinformuje o wypadku Hrabiego. Jeżeli to będą nazwiska panów, które znaleźliśmy u Hrabiego vel Zakrzewskiego — to jesteśmy w domu. Jeżeli Rączka nie zareaguje — biorąc to pod uwagę — to spróbujemy przesłać identyczny list do któregoś z tych panów, a Rączkę będziemy ściśle izolować.

- 223

— Jeżeli jednak ktoś z nich zechce odwiedzić chorego w szpitalu?

— Izolować — bez względu na środki — od reszty tego towarzystwa. Czekam na meldunki.

— Tak jest. Odmeldowuję się — powiedział Cieślik, wychodząc.

Pułkownik zamyślił się. Po napadzie na Korosza osobiście prowadził sprawę kieszonkowców. Był zdumiony i nie dowierzał wynikom rewizji przeprowadzonej przy rannym Hrabim vel Zakrzewskim. Jego notes pełen był nazwisk, telefonów i adresów. Były adresy prawie wszystkich znanych milicji weteranów — kieszonkowców. Znalaziono również nazwisko Borysa Veldera. Na jednej stronie zanotowano szczególnie starannie osiem różnych nazwisk i adresów. Czyżby to byli ci nieuchwytni mistrzowie doliny? Pułkownik nie mógł w to uwierzyć. Takie zupełne poczucie bezpieczeństwa? Żadnej najprostszej konspiracji? Nieprawdopodobne.

Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że jednak jest to możliwe. Zarówno Hrabia, jak i Borys Velder — a po sprawdzeniu okazało się, że i pozostała ósemka — uchodzili za inteligentów, przeważnie przedstawiciele wolnych zawodów. Nigdy nie byli karani. Nigdy nie stykali się ze środowiskiem notowanych przestępców. Ich tryb życia, kontakty towarzyskie, sposób bycia, poziom — stawiał ich poza wszelkim podejrzeniem. Biorąc pod uwagę, że wspierało ich doświadczenie i spryt starych, wysłużonych doliniarzy — którzy potrafili świetnie ukryć kontakty ze swoimi godnymi następcami — mogli się czuć bezpieczni.

Nie mogli przewidzieć, że Hrabia zamknie na klucz doprowadzoną do ostateczności nieposłuszną dziewczynę i że ona, mając wybór między samobójstwem a jego opieką, wybierze samobójstwo.

Późnym wieczorem wiadomość od Cieślika potwierdziła założenie Lisa. Rączka zawiadomił dziewięciu gentlemanów.

Do niektórych — mieszkających w Krakowie, Wrocławiu, Łodzi — przesłał depesze, w których dosłownie powtórzył tekst spreparowanego przez milicję listu. Nie dodał nic więcej.

Hindus, doktor Dahra Elebi, przyjechał do Polski w poważnych sprawach handlowych. Zamieszkał w najbardziej eleganckim hotelu Warszawy, w „Europejskim”. Otrzymał apartament obok „apartamentu królewskiego”. Wieczorem zszedł na kolację do restauracji hotelowej. Pan Elebi nie znał polskiego, a angielszczyzna kelnera była zbyt rodzima. No cóż, kelner nie pobierał nauk w Cambridge jak doktor Elebi. Przy sąsiednim stoliku elegancki brunet obserwował Hindusa i wysiłki kelnera.

— Wyreczę pana, znam angielski — uśmiechnął się.

— Jestem panu zobowiązany — odetchnął kelner.

— I speak English — zwrócił się elegancki brunet do pana Elebi.

Hindus rozpromienił się i wyrzucił z siebie masę angielskich zdań — zaprosił go do swego stolika. Certując się trochę, brunet przyjął jednak zaproszenie.

Kelner był nie mniej ucieszony od Hindusa. Chcąc nadrobić swoje mankamenty w dziedzinie znajomości angielskiego, jak uskrzydłony podawał przekąski, rozstawiał nakrycia. Wielokrotnie, z upodobaniem powtarzając sorry!, nalewał polskie trunki.

Towarzysko nastawiony Hindus, który nareszcie znalazł człowieka nie tylko rozumiejącego, co on mówi, ale również odpowiadającego mu zrozumiale — zwierzył się swemu nowemu znajomemu, że słyszał o zaletach polskiej wódki, kiedyś nawet ją próbował i że z największą chęcią przy dzisiejszej kolacji powtórzy te próby.

Kolacja trwała — panowie rozmawiali z niesłabnącym ożywieniem. Kieliszki krążyły nieczęsto — za to metodycznie. Po godzinie panowie byli jeszcze przy przekąskach.

Przechodzący między stolikami elegancki blondyn przystanął. Na jego twarzy odmalowało się kolejno: zdziwienie, niedowierzanie, później błysk pewności w oczach. Rozpromienił się i zawołał:

— Kopę lat, jak się masz, byku kraso!

Brunet też się rozpromienił.

Hindus dowiedział się zaraz, że obaj panowie są kolegami z uniwersyteckiej ławy, że zgubili się z oczu i oto spotkali się po latach. Pan Elebi wzruszył się tym spotkaniem przyjaciół z młodości i zapewnił blondyna, że będzie się czuł zaszczycony, jeżeli ten zechce przyjąć jego zaproszenie na dzisiejszą kolację.

Niestety blondyn był umówiony z kimś przy barze i nie mógł skorzystać z tak miłej propozycji.

Hindus był zasmucony, a brunet poprosił swego kolegę, aby za godzinę przyszedł do nich na jeden kieliszek — wtedy wymienią adresy, by znowu nie zgubić się z oczu na następne lata.

— Dobrze — blondyn spojrział na zegarek— za godzinę do-
biję do was na pięć minut.

Brunet pocieszył Hindusa, że jego przyjaciel przyjdzie do
nich przynajmniej na chwilę.

Kolacja trwała dalej.

Blondyn siedział przy barze i nie śpiesząc się, samotnie po-
pijał małymi łykami sople. W ciągu zapowiedzianej godzi-
ny wypił dwa kieliszki. Po obu jego stronach siedziały pary
młodych ludzi, paplając bez przerwy. Wiadomo było, że nie-
ważne jest dla nich to, co mówią. Znaczenie miały uśmiechy,
spojrzenia, oni byli zakochani.

Dokładnie na kilka sekund przed umówioną godziną blon-
dyn rzucił pieniądze na bar i miał zamiar podnieść się ze stoł-
ka, gdy młodzi ludzie siedzący z obu jego stron rozpromieni-
li się, objęli go serdecznie i zawołali:

— Kopę lat, jak się masz, byku kraso!

Blondyn ze zdumieniem, podejrzliwie przyjrzał się obu
młodym ludziom.

— Pomyliliście się, panowie — delikatnie starał uwolnić
się z serdecznie obejmujących go rąk.

— Jak to! Nie poznajesz kolegów z uniwersyteckiej ławy?

— zawołał z wyrzutem kolega Nr 1.

— Czyżbyśmy się aż tak zmienili? — zaniepokoił się ko-
lega Nr 2.

— Pamiętasz Kraków i dziewczynki? — rozrzewnił się ko-
lega Nr 1. — Barman, trzy winiaki!

— Ależ ja nie studiowałem w Krakowie — wyjaśnia ofiara
uniwersyteckiej przyjaźni.

— Pamiętasz profesora? Tego z bródką? Barman, trzy wi-
niaki, trzeba uczcić to spotkanie! — nie dał się zdystanso-
wać kolega Nr 2.

— Panowie, to jakaś pomyłka, ja w ogóle nie studiowałem
na żadnym uniwersytecie! — jęknął delikwent.

— He! he! To ci kawalarz, on zawsze był kawalarz! — za-
nosił się od śmiechu kolega Nr 1.

— No, to chlap, za studenckie czasy! — zawtórował mu ko-
lega Nr 2.

Zrozpaczony były akademik wypił podsunięty mu kie-
liszek, sądząc, że łatwiej będzie mu przerwać te przyjaciel-
skie czułości. Nie docenił bezmiaru przywiązania obu kole-
gów. Zdusili go w uścisku tak, że nie mógł ruszyć się od baru.
Spróbował pertraktacji.

— Worek dziś się rozpruł z kolegami — roześmiał się przy-
milnie. — Właśnie umówiłem się tu również z przyjacielem ze
szkolnej ławy. Pamiętacie Heńka? Nie? No coś takiego! Naj-
lepszy matematyk na kursie! — zażył ich z mańki.

— Niemożliwe, jest Heniek?—rozpromienili się obaj koledzy.

— Zaraz będzie musiał postawić nam wódkę. Wiesz, on zrobił
karierę. Dygnitarz! — Kolegów ogarnął szalony entuzjazm. Obaj
panowie przekrzykiwali się w rewelacjach na temat Heńka.

- 226 -

- 227 -

Blondyn nie znalazł dość czasu, aby wtrącić chociaż jedno słowo. Nieszczęsny wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego w ostatniej rozpacz poszukał sprzymierzeńców wśród pań.

— Niech panie nie pozwolą się tak zaniedbywać! — zawołał dziarsko.

— Jesteśmy wzruszone taką przyjaźnią! — pisnęły zupełnie zachwycone panie.

Ogarnięty desperacją szarpnął się, próbując wysliznąć się z podwójnego serdecznego uścisku. Ramiona kolegów zwały się natychmiast — poczuł, że jego oddani przyjaciele mają żelazne mięśnie.

Niebywała radość przyjaciół trwała jeszcze kilka minut.

Później jedna z pań powiedziała:

— Załatwione. Zapał kolegów ostygł.

— Idziemy do Heńka — zdecydował kolega Nr 1. Nie zważając na protesty i bierny opór blondyna, koledzy zręcznie zszarżowali go ze stołka i, serdecznie wspierając pod ręce, skierowali w stronę sali. Próbował się opierać — ale to były dziecinne wybiegi — na które przywiązani doń koledzy nie zwrócili uwagi.

W tej chwili blondyn spostrzegł z przerażeniem, że jego kolega uniwersytecki — elegancki brunet — w podobny sposób i w podobnym towarzystwie opuszcza salę restauracyjną, odprowadzany zdumionym spojrzeniem nic nierozumiejącego Hindusa.

— Jest pan aresztowany jako tycer kieszonkowca Borysa Veldera, który przed chwilą okradł obywatela Indii, doktora Dahra Elebi — nie pozostawił blondynowi cienia wątpliwości kolega Nr 1.

— Pański szef dzięki temu, że nie zdążył pan na przyjacielski kieliszek, nie miał komu przekazać motyli i w taki sposób został zatrzymany z łupem — dobił go kolega Nr 2.

I Motyle — banknoty.

— Jest pan podejrzany, że w zamiarze pozbawienia życia dokonał pan napadu na pełniącego swe obowiązki majora milicji — wypowiedział Lis suchą formułą oskarżenia.

Zapadła cisza. Hrabia vel Zakrzewski milczał, nerwowo masując wielką bliznę na ręku. W napiętej ciszy słychać tylko było szmer obracającej się taśmy magnetofonu.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Odmawiam zeznań — chrapliwie powiedział Hrabia.

Znów zaległa cisza. Pułkownik nie był zniecierpliwiony.

Zaczekał chwilę.

— Pan jest również podejrzany o zabójstwo Zuzanny Herc.

— Dowody? — zażądał Hrabia.

Pułkownik postawił na biurku płaską butelkę po żubrówce.

— Butelka jakich wiele, prawda? Znalaziono ją w mieszka-

niu Zuzanny Herc z odciskami pana palców. Proszę, tak wyglądają badania porównawcze — podsunął przed oczy temu tablice ekspertyz. — Poza tym są zeznania świadków. O godzinie 9.15 wszedł pan w towarzystwie dziewczyny do restauracji Samson. O godzinie 10.00 opuściliście tę restaurację. Następnie odwiózł ją pan do domu, do jej mieszkania na Ursynowską. Jak zeznaje taksówkarz, który was wiozł, pan tam pozostał. Proszę, może pan przeczytać jego zeznania — pułkownik podsunął mu protokoły zeznań szofera.

— Tak mniej więcej wyglądał ten wieczór, z wyjątkiem faktu, że nie zostałem na Ursynowskiej. Odwiozłem ją tylko, a sam inną taksówką pojechałem do znajomych na brydża. Grałem do późnych godzin i zanocowałem tam. Jeżeli tak skrupulatnie sprawdził pan nawet taksówki, to dlaczego nie sprawdził pan mojego alibi?

— Sprawdziłem. Pańskie alibi jest fałszywe.

— Ci ludzie będą świadczyli zgodnie z prawdą.

- 228 -

- 229 -

— Ci ludzie — zaakcentował Lis — już odwołali swoje oświadczenie. Nie wierzy pan? Proszę to przeczytać — pułkownik podsunął mu następny zapisany arkusz papieru.

— Pan ich zastraszył!

— Nie. Tylko znalazłem tego taksówkarza, który o godzinie jedenastej wieczorem z postoju na Alejach Niepodległości zawiózł pana do domu, na Ochotę. Przed jedenastą wyszedł pan od Zuzanny Herc. Zgadza się?

— Ja jej nie zamordowałem!

— Wszystko świadczy przeciw panu, łącznie z napadem na majora milicji. Chciał pan zabić człowieka, który mógł znaleźć sprawcę zabójstwa Zuzanny Herc. Zrobił pan to niesłychanie głupio. Błąd, młody człowieku — śladów, które pan zostawił, nie sposób usunąć wraz z jednym funkcjonariuszem milicji. Nie sposób ich zabić. Będzie pan odpowiadał za zabójstwo i usiłowanie zabójstwa...

— Nie pomyślałem o żadnych śladach. Giemzał? — mruknął ponuro Hrabia. Był bardzo blady, z trudem panował nad sobą. Lis spostrzegł, że jest bliski załamania. Znał ten moment, w którym najodważniejsi, najbardziej cyniczni przestępcy tracili panowanie nad sobą.

— Ja jej nie zabiłem! — zawołał z rozpaczą Hrabia. — Nie zabiłem! — skurczył się, sflaczał, rozplynał. Dygocącymi dłońmi zapalił papierosa. Przymknął powieki — milczał. Gorączkowo, zbierając rozpierzchłe myśli, sposobił się do obrony. W tej chwili pragnął tylko wybronić własną głowę.

— Nigdy w życiu nie zabiłem człowieka! — zapewnił spiesznie. — Z tym majorem zrobiłem głupio... Ja go nie chciałem zabić — skłamał. — Bałem się... właśnie bałem się, że mnie przypisuje śmierć tej dziewczyny. Ja ją tylko zamknąłem na klucz... Zresztą to wszystko już panu mówiłem. Ale ona sa-

Giemza — kara śmierci.

230 -

ma się zabiła... gdyby żyła, potwierdziłaby to. Mówię prawdę. Wtedy rano przyszedłem otworzyć jej drzwi, a ona już nie żyła. Ten major prześladował mnie od tego czasu... nieustannie nękał. Tego wieczoru był u mnie... i jak wyszedł, wpadłem w jakiś obłąd... Nie pamiętam, co się ze mną działo... Ocknąłem się dopiero pod zębami tego rozszalałego psa — wzdrynął się. — Myślałem, że mnie zagryzie... Do tego momentu nie wiem, co się ze mną działo...

— Iw tym transie nie zapomniał pan o łamigłówce i majchrze?

Hrabia milczał — zdał sobie sprawę, że jego obrona wygląda żałośnie, ale nie znajdował innego wytłumaczenia.

— Jeżeli sądzi pan, że kłamstwo pana obroni, to proszę to robić mądrzej — poradził Lis. — Tylko proszę mi nie opowiadać o transach, obłądach i nawiedzeniach — to żenujące.

— Ja mówię prawdę. Taki był mój stan psychiczny.

— W tej chwili najmniej interesują mnie pańskie stany psychiczne. Byłe i terazniejsze — zastrzegł się Lis. — Skąd pan znał Zuzannę Herc?

— Już panu mówiłem, że poznałem ją przypadkowo na plaży — niedawno. Wywoływała mi zdjęcia, lubiłem ją. Krytycznego wieczoru dowiedziałem się, że ona żyje z Radleyem. Była roztrzęsiona, bo on z nią zerwał. Pocieszałem ją, a później zamknąłem na klucz — bałem się, że zrobi sobie coś złego — zapomniałem, że w tej przeklętej piwnicy jest gaz. Ja jej nie zabiłem!

— Słyszałem — ziewnął Lis. — O tym jeszcze porozmawiamy. Zna pan Białego Maksa?

— Nie.

Pułkownik dotknął przycisk dzwonka — w drzwiach pojawił się dyżurny.

— Następny podejrzany — rozkazał lakonicznie. Za chwilę przed biurkiem Lisa stanął Biały Max.

— Znacie się?

- 231 -

Biały Max przyjrzał się w skupieniu Hrabiemu Siekierk.

— Pierwszy raz widzę faceta — zapewnił spokojnie.

— Max! — powiedział z wyrzutem pułkownik. — Sądzi pan, że ja bym pana pytał o coś, gdybym nie miał pewności?

Max namyślał się przez chwilę.

— Panie pułkowniku, zatchnił mnie pan do saka1, pojęcia nie mam za co. Trzyma mnie pan, o nic nie pyta i raptem konfrontacja z jakimś frycem. Nóżki na stół — może sobie co nieco przypomnę, jeżeli pan pułkownik dysponuje dowodami. Przyznam się, jak Boga kocham, bo już taki jestem. Ale przecież nie powiem panu tego, czego pan nie wie. Niech pan szanuje moje białe włosy, posiwiące w fachu. Czterdzieści pięć lat w zawodzie. Pana jeszcze na świecie nie było, jak ja już ki-

cie wycierałem. Już niewielu macie takich urków! Należą mi się jakieś przywileje, no nie?

— Zgoda — roześmiał się Lis. — Słuchaj uważnie, Biały.

Dziewięciu marwicherów — pułkownik wyskandował nazwiska — siedzi...

— Pierwszy raz słyszę o takich manusach — potrząsnął głową Max.

— Max! Pan wysłucha do końca, co mam do powiedzenia. Głupio panu będzie się później wycofywać. No więc ujęliśmy dziewięciu Asów. Ich tycerów także. Ten bliciarz z Łodzi nie miał tycera — to tak dla ścisłości, żeby pan wiedział, że nie czaruję. Zresztą wszyscy są do obejrzenia... cierpliwości. Rączka, Kogut, Relikwiarz i Obrączka aresztowani za to samo co i pan, Biały. Siedzi siódemka Burego, no i ten obiecujący młodzieniec. Z nim jest bardzo źle...

Biały Max przyjął tę wiadomość bez wrażenia.

— Znaleźliśmy ciekawe rzeczy w mieszkaniu Hrabiego

— Lis po raz pierwszy podczas tego przesłuchania wymówił 1 Zatchnić do saka — zamknąć w więzieniu, w areszcie.

- 232 -

ten pseudonim. — Również ciekawy facjant na cmentarzu na Krzykach we Wrocławiu. Aha! Grabarz już się przyznał — interesuje pana jego zeznanie? Służę — Lis podsunął mu kartkę. — Wystarczy?

— W porządku. Ale co mam do tego ja i stara dolina? — nie dawał za wygraną Max.

— Widzi pan, gdy Hrabia był niedysponowany, Rączka otrzymał o tym od niego zawiadomienie. Ponieważ był ranny w rękę, wyřeczyliśmy go w napisaniu tego listu. Otóż o jego przykrym wypadku Rączka natychmiast zawiadomił — nigdy nie zgadnie pan kogo?

Max z dezaprobatą przyglądał się pułkownikowi.

— Dziewięciu marwicherów i Burego, a ten z kolei swoich chłopców, starą dolinę i... pana, Max. Gdzieś tutaj mam kopie tych depesz, potwierdzone przez urzędy pocztowe. Co pan na to? Jeszcze mogę panu przypomnieć, że grabarza zawiadomił pan... no o czym? Już dopisuje panu pamięć?

— Tak jakby, panie pułkowniku — ciężko westchnął Max.

— Zwiążaliście tego łacha — wskazał z pogardą Hrabiego — a ten zrobił w portki i zakapował?

— Co do portek nie będę się z panem spierał, Max, nie jestem drobiazgowy — zgodził się pułkownik. — Ale ten wasz wychowanek paskudnie narozrabiał. Morderstwo i usiłowanie, co wy na to? Będę chciał się dowiedzieć, jaki wpływ miała na to stara dolina. Max! Mam poważne podejrzenia, żeby tak sądzić.

Maksa zatkało — pobladł i przez chwilę przenosił wzrok z pułkownika na Hrabiego.

— Poszedł na duś, na ściółkę! — W okrzyku Maksa była niekłamana zgroza.

Pułkownik polecił dyżurnemu wyprowadzić Hrabiego.
Poszedł na duś, na ściółkę — zrobił napad, zabił.

- 233 -

— Pułkowniku — domagał się Max — kogo on zrobił, na miłość Boga, niech pan powie! Bo ja nie mam pojęcia.

— Zuzannę Herc i majora milicji.

— Panie pułkowniku, poważnie. Nie posądza pan chyba starej doliny o mokrą robotę? Czy pan w życiu widział, żeby meter był bandziochem?

— Hrabia był z wami związany, podlegał wam. Z waszego polecenia utrzymywał dyscyplinę wśród kieszonkowców. Z pańskiego rozkazu, Max, zdał kierownictwo nad szpringowcami1 Buremu, więc?

— Niech pan bierze papier, będę śpiewał — oświadczył Max.

— Na razie wystarczy taśma — pułkownik wskazał magnetofon. — Interesuje mnie Hrabia i Zuzanna Herc.

— To był dobry szulerek, ten Zakrzewski. Taki Kozaczek za dychę, rozumie pan? Kiedyś chciał mnie okpić w pokera — nakryłem go bez trudu, tak się poznaliśmy. Nędzne życie prowadził — grywał na podwarszawskich liniach kolejowych. Gdyby nie trafił na mnie, czekałby go marny koniec. Nie, nie oddaliby go na milicję. W tym środowisku w to się nie bawią. Po prostu wyleciałby z jadącego pociągu jakiegoś wieczoru i mielibyście tajemnicze zabójstwo.

— Społeczeństwo nigdy wam nie zapomni zachowania dla ludzkości tak cennej jednostki — zauważył z powagą Lis.

— Zabrałem go do siebie, to była nędza — często nie miał na obiad. Nauczyłem go grać w pokera. Zrobiłem z niego szulera wielkiej klasy. Widzi pan, pułkowniku, żeby w tym fachu móc pracować i zarabiać, trzeba rozmachu, oprawy, elegancji i na początek pieniędzy... Wszystko to mu dałem. Fakt, był zdolny do kart jak rzadko, miał je we krwi... Już wtedy przy pomocy włamania.

cowali wielcy marwicherzy. Co będę ukrywał — nasza szkoła.

— W głosie Maksa mimo woli drgnęła duma. — Ale w terenie nie było żadnego porządku. Różne czterdziestaki1 i notowani. Pałętali się, jak kto chciał i gdzie kto chciał. A zasada jest taka, że tam, gdzie pracuje marwicher, musi być czysto od wszelkiej złodziejskiej hołoty. Związek meterów podzielił teren. Podjęliśmy uchwałę. Wszystkie worychy zostały powiadomione o tym, nawet ci, którzy aktualnie sałamaczę w kiciu frygali2. Ale była różna szumowina, która nie chciała należeć do związku i słuchać uchwał...

— Złoty Polo nie chciał? — dowiadywał się pułkownik.

— To wyjątkowo uparty facet — skinął głową Max. — No, więc nie chcieli i mieszałi. Trzeba było nauczyć moresu. Hrabia nadał się do tego. Prowadził takie ruchliwe życie — przy swoim fachu. Dobrał sobie tę siódemkę Burego, znał ich

przedtem z Siekierek. Nienotowani skakierzy³ — nadali się do utrzymania porządku. Grało. Później Hrabia przywiózł dziewczynę — Kotka, wołaliśmy na nią — młodzusienska, zakochana w nim bez pamięci, z dobrej rodziny, inteligentna, rozpieszczona. — W głosie Maksa wyczuwało się podziw. — Chciał, żebym wyszkolił ją na partnera, to nie był zły pomysł. Parą gra się o wiele lepiej... a jeszcze z dziewczyną? Z taką dziewczyną to stuprocentowe bezpieczeństwo. Jednak wahałem się — taka młoda? Ale pomyślałem: zobaczę, poznam ją, jak się nie nada, to niech ją Hrabia zabiera. Zdolna była. Po paru miesiącach grała jak stara. Hrabia odebrał ją ode mnie, kiedy reprezentowała już klasę. Grywał z nią dużo, zarabia-

1 Czterdziestak — złodziej bez kwalifikacji.
2 Sałamaczę w kiciu frygać — zupe więzienną jeść, tu: siedzieć w więzieniu.

3 Skakierzy — złodzieje okradający mieszkania bez włamywania się.

- 234 -

- 235 -

li grube ho-py¹, fart ich nie opuszczał. Dziewczyna miała styl i warunki. Nikt by jej nie posądził o szulerkę.

— Dlaczego przerwali to zajęcie?

— Zawsze się tak robi, pułkowniku, w poważnym fachu.

Inaczej wpada się w wasze kartoteki, a wtedy to już klops ze stylem i ze spokojem. Wtedy więcej się siedzi w akademii niż na wolności. Co, źle mówię? Chociażby Złoty Polo albo Ziółko? Ile oni rocznie pracują? Dacie im?

— Słucham dalej.

— Dziewczyna znowu trafiła do mnie, jak zrobili sobie ten urlop. Ona była myśląca i nie miała zawodu we krwi. Na razie ją to bawiło, pan rozumie, taka przygoda. Ale przyszły refleksje, etyka. Chciałem się jej pozbyć, wyprawić do Hrabiego, ale on wtedy był bardzo zajęty — musiałem się nią opiekować. Wtedy, szpakami karmiona, podeszła jednego metra. Tak go okręciła, że ani się spostrzegł, jak sypnął. Zląkłem się nie na żarty, że i binia sypnie. Przygroziłem, nie powiem, strach ją obleciał. Wtedy wysłałem do Hrabiego, zaleciłem, żeby na pliszkę uważał, w żadnym wypadku do roboty nie posyłał i z niczego się nie zwierzał. Uważałem, że powinien się z nią ożenić — zajmie się mu domem, będzie miał reprezentacyjną żonę. Dobrze postawiony dom w takim zawodzie ma swoje nieliczne znaczenie. Znacznie później dowiedziałem się, że ten cham znalazł jej nowe zajęcie — posyłał na rozeznanie! Taką dziewczynę na rozeznanie! No, trzeba być cymbałem, żeby przypuszczać, że ona wytrzyma chociaż pięć minut w takiej robocie. Ale z Hrabiego psycholog jak z koziej... tego... trąba. W ogóle to brutal i gruboskórna bestia, mimo pozorów. Ten jego polorek to taka cieniutka politurka. Jak było do przewidzenia, dziewczyna zwiąła. Jeszcze niedawno zakazałem mu szukania jej pod groźbą sądu

dintojry. A on chciał ją z powrotem... Więcej nic na ten temat nie wiem.

— On ją odnalazł, Max, i tak ją znękał, że dziewczyna, doprowadzona do ostateczności, otworzyła gaz.

— To jednak nie Hrabia — odetchnął Max. — Dziewczyna sama sobie odebrała życie.

— Odratowano ją — wyjaśnił pułkownik.

— To ma pan świadka — zmarkotniał Max. — A co z tym majorem? — zapytał podejrzliwie.

— Jeszcze leży w szpitalu. Majora Korosza Hrabia rzeczywiście chciał zabić.

Inspektor Korosz jeszcze kilka tygodni leżał w szpitalu, zanim ramię zagoiło się i zrosło. Teraz może już chodzić z Owieczką na spacer.

Zuzanna Herc pracuje dla kilku tygodników ilustrowanych. Krytycy twierdzą, że jest utalentowanym fotografikiem, przepowiadają jej znakomitą przyszłość. Nie widuje się z Piotrem Radleyem, ale jak dawniej przyjaźni się ze studentami, Monterem, a najbardziej z Kwadratowym.

Piotr Radley nadal robi świetne zdjęcia — zarabia dużo.

Widywany jest w Klubie Aktora, klubie NOT-u i nocnych lokalach. Wtajemniczeni twierdzą, że coraz więcej pije i że jego talent gaśnie.

1 Hopy — pieniądze.

- 236 -

Spis treści

I. Czerwone drzewa.....	5
II. Kolacja u Dziadka Truciciela.....	23
III. Efekty porozumienia.....	31
IV Jedyńczka dyplomaty.....	39
V Złoty Polo.....	50
VI. Wirażka.....	69
VII. Marwicher.....	91
VIII. W mroku pracowni.....	138
IX. Szef.....	154
X. Dintojra sędzi.....	181
XI. Hrabia Siekierka.....	190
XII. Zuzanna.....	208
XIII. Asy doliny.....	220

KLUB SREBRNEGO KLUCZA

poleca:

Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię.

Uderzenie

Krzysztof Kąkolewski

Dwie z pozoru niepowiązane ze sobą sprawy - śmierć Ewy Salm, która zginęła, wypadając z okna pi-

jackiej meliny, i rabunek w biały dzień czterystu tysięcy złotych - pozostają wciąż nierozwiązane. Fakt

ten nie daje spokoju kapitanowi Siwemu, funkcjonariuszowi Komendy Głównej Milicji.

Kiedy powo-

dy zdrowotne zmuszają go do przejścia na emeryturę, podejmuje on prywatne śledztwo, które przy-
niesie rozwiązanie przestępstwa sprzed lat i odnalezienie skradzionych pieniędzy. Czas jest
wrogiem
Siwego, a kluczem do rozwiązania i splecenia tych dwóch spraw jest zbrodniarz, który ukradł
nie tyl-
ko zbrodnię. Powieść jest odpowiedzią autora na konkurs ogłoszony przez Komendę Główną
MO
w Warszawie. Na poły reportażowa historia jako całość zamyka się w ramach intrygującego
klasycz-
nego kryminału.

EuroDżihad

Marcin Wolski

Małym francuskim miasteczkiem wstrząsa masa-
kra, dokonana w biały dzień na grupie homoseksua-
listów. Do zbrodni przyznaje się dotychczas niezna-
na organizacja EuroDżihad. Krótco potem wskutek
eksplozji na moście kolejowym w nurty Renu wpa-
dają cztery wagony pociągu wiozącego Żydów do
Polski na obchody Marszu Żywych. I tym razem
sprawcą zamachu jest EuroDżihad. Służby specjal-
ne Francji stają wobec nowej fali islamskiego eks-
tremizmu, ale są zupełnie bezradne. Przypadkowym
świadkiem wydarzeń jest Stanisław Frąckowiak,
który postanawia pomóc francuskim tajnym służ-
bom. Wojna z terroryzmem zaczyna nabierać tempa.
ISBN: 978-83-7506-234-2

Cena: 24 zł 90 gr

Ekspedycja Kolutz

Katarzyna Rygiel

Lata 80. XIX wieku. Cysterski klasztor w niemiec-
kiej miejscowości Kolutz powoli popada w ruinę. Do
zniszczenia kilkusetletnich murów starają się nie do-
puścić przysłani z Berlina fachowcy, wśród których
jest Otto Kleisl. Młody historyk rusza śladem zmar-
łego przed laty ojca i rozpoczyna w Kolutz prywat-
ne poszukiwania. Zamierza odkryć sekret budowli,
podejrzewając, że ma on związek z rodzinną trage-
dią. Ponad sto lat później tropem tajemnicy sprzed
wieków podąża kilkoro archeologów. Rozwiązanie
zagadki wydaje się bliskie... Jednak nie tylko klasz-
tor kryje tajemnicę. Gdy terażniejszość coraz moc-
niej spleta się z przeszłością, bieg wydarzeń kom-
plikują nietypowe zainteresowania poszukiwaczy,
podjęte kiedyś błędne decyzje i kobieta, której trud-
no się oprzeć.

ISBN: 978-83-7506-229-8

Cena: 24 zł 90 gr